

ISSN 0039-1689 INDEKS 22622X

ISSN 0039-1689 INDEKS 2262ZX

STOLICA

NR 1-2 (2392-2393) STYCZEŃ-LUTY 2025 • 19,98 zł w tym 8% VAT

WARSZAWSKI DUNAJ



fot. Zdzisław Marcinkowski / Archiwum Państwowe w Warszawie

ISSN 0039-1689



9770039168507



Ewa Kielak-Ciemniewska z nagrodą Beylin



Jeśli nie Ewa Kielak-Ciemniewska, to kto? Warszawianka z urodzenia, wznawicielka STOLICY, której szefuje... ho, ho, niebawem już 20 lat! Niewiele osób zasługuje na wyróżnienie tą bardzo warszawską nagrodą, imienia innej bardzo zacnej i twórczej warszawianki, Karoliny Beylin. Nagrodzona obsypana została deszczem pięknych, życzliwych i ciepłych słów od przyjaciół, współpracowników, dziennikarzy i warszawianistów oraz przybyłych na uroczystość oficjeli. – Za Twoje dzieło życia, jakim jest reaktywacja, redagowanie i wydawanie STOLICY, ale też przy okazji całej kolekcji, liczącej już 18 pozycji, książek i albumów o Twojej ukochanej Warszawie, za stworzenie – ponad wszelkimi podziałami, co ważne – kręgu twórczych ludzi, zainteresowanych pisaniem o mieście, jego historii i wyzwaniach współczesnych – Ewo, szacunek i ukłony! – mówił podczas uroczystości Tomasz Miłkowski, prezes Oddziału Warszawskiego SDRP, wygłaszający laudację na cześć laureatki.

Kilka słów przypomnienia, kim była Karolina Beylin (ps. Maria Maliszewska, Karol Witkowski). Urodziła się w 1899 r. w Warszawie i tu zmarła w 1977 r. Polska pisarka, recenzentka teatralna,

dziennikarka oraz tłumaczka literatury angielskiej, m.in. Dickens, Jerome'a. Publicystka bardzo warszawska. Większość powojennej twórczości poświęciła Warszawie w XIX i początkach XX w. Odważna i niezłomna. W czasie II wojny światowej przebywała w Warszawie (do 1942 r.), aresztowana przez gestapo, uciekła z transportu więziennego. Ukrywała się pod nazwiskiem Maria Maliszewska. W latach 1946-1968 kierowała działem kulturalnym „Expressu Wieczornego”, którego była współzałożycielką. Współpracowała też z „Przekrojem”, w którym publikowała w rubryce Aktualności z myszką.

Tomasz Miłkowski podczas laudacji podkreślił, że Karolina Beylin, podobnie do nagradzanych nagrodą jej imienia, uprawiała dziennikarstwo rzetelne i solidne, dziennikarstwo, które niczego nie udaje.

Laureatka, obok pamiątkowego dyplomu i albumu opracowanego przez cenionego warszawskiego artystę Janusza Golię, otrzymała od państwa Amelii i Rafała Skąpskich fotografię zaginionego portretu Karoliny Beylin oraz bukiet pąsowych róż od prezesa Oddziału Warszawskiego SDRP. •



Gala Nagrody im. Karoliny Beylin: publiczność, były prezydent Warszawy Marcin Świąćicki, Ewa Kielak-Ciemniewska i Tomasz Miłkowski

W NUMERZE:

4 Kronika

♦ ROCZNICE – WARSZAWA 80 LAT TEMU

- 6 Cmentarz Warszawa – Tadeusz Michalski
- 10 Nowa władza wkracza o Warszawy – powojenne początki – Jerzy S. Majewski
- 20 Przeżyć wojnę – fragment książki *Dziewczyny wojenne. Opowieści o zwykłym bohaterstwie* Łukasza Modelskiego
- 22 Rzeczy utracone – o zrabowanych i zaginionych w czasie wojny przedmiotach Tatiane Hardej opowiada Mariusz Klarecki
- 25 Bezpieka kontra zmartwychwstanki – Bronisław Tumitowicz

♦ HISTORIA

- 30 Powojenne wędrówki dzieł sztuki – Michał Wardzyński
- 38 W warszawskim trzewiku po Wąskim i Szerokim Dunaju – oprowadza Adrian Sobieszczański
- 46 Bednarska 23 – losy kamienicy – Krzysztof Traczyński
- 48 Powódzie w dawnej Warszawie przypomina Michał Pilich
- 53 „W Warszawie krew się leje...” – Anna Kuligowska-Korzeniewska
- 58 Karnawałowe zabawy na królewskim dworze – Joanna Borowska
- 63 Jedwabie i aksamity w barwach karnawałowych marzeń, czyli raj dla pańienek i piekło ojców – Anna Dorota Kamińska

♦ KULTURA

- 68 Karnet teatralny – Na wieki wieków belfer – Tomasz Miłkowski
- 69 Notatnik warszawski
- 74 U cioci w domach z betonu? – Paweł Dunin-Wąsowicz
- 76 Przez uchylone drzwi – Rafał Skąpski
- 77 Jak opiekować się kamienicami
- 78 Leśmian – poeta z Warszawy – Piotr Łopuszański
- 82 Ostatni spacer ST. Olicy bez Marii Terleckiej – Ewa Kielak-Ciemniewska
- 83 Pamiątnik z utraty albo cud codzienności – Maria Terlecka
- 86 Lotne szynki – Jarosław Górski
- 88 Majstrunio – Przemysław Śmiech
- 89 Bednarska – Jacek Fedorowicz
- 90 Kamienica Abrama Włodawera, ul. Łucka 8 – Patrycja Jastrzębska



STOLICA
nr 1-2 (2392-2393)
styczeń-luty 2025

Nasza okładka:

Targ owocowo-warzywny
na Szerokim Dunaju w I. 20. XX w.,
fot. Zdzisław Marcinkowski / Archiwum
Państwowe w Warszawie

Elektroniczna wersja STOLICY: www.egazety.pl, www.warszawa-stolica.pl Partnerzy: Narodowe Archiwum Cyfrowe, www.nac.gov.pl, fotopolska.eu

STOLICA

Poprzednie numery Warszawskiego Magazynu Ilustrowanego STOLICA można nabyć m.in. w Domu Spotkań z Historią przy ul. Karowej 20, numery z poprzednich lat – w księgarni w Muzeum Niepodległości w pałacu Przebendowskich / Radziwiłłów przy al. „Solidarności” 62

Wydawca: EKBIN
ISSN 0039-1689
www.warszawa-stolica.pl, redakcja@warszawa-stolica.pl
tel. 22 741 01 30

Zespół:

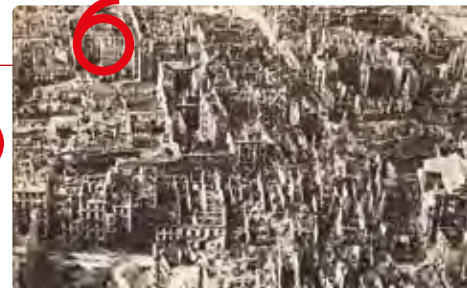
Ewa Kielak-Ciemniewska (redaktor naczelna)
ewa.stolica@gmail.com
Jerzy S. Majewski
Katarzyna Komar-Michalczyk (sekretarz redakcji)
info@warszawa-stolica.pl

Stale współpracują: Grzegorz A. Buczek, Elżbieta Ciborska, Rafał Dajbor, Paweł Dunin-Wąsowicz, Jacek Fedorowicz,

Tatiana Hardej, Mateusz Kaczyński, Michał Krasucki, prof. Anna Kuligowska-Korzeniewska, Jan Tomasz Lipski, Tomasz Markiewicz, Ryszard Mączewski, Tadeusz Michałskie, Tomasz Miłkowski, Marcin Mierzejewski, Artur Mościcki, Bogumił Paszkiewicz, Sebastian Pawlina, Michał Pilich, Norbert Piwowarczyk, dr hab. Mateusz Rodak, Rafał Skąpski, Adrian Sobieszczański, Paweł Stala, Przemysław Śmiech, Maria Terlecka, dr hab. Michał Wardzyński, prof. UW
Zdjęcia: Magdalena Hajnosz, Andrzej Katuszko, Paweł Ciemniewski, Norbert Piwowarczyk, Jacek Sielski, Muzeum Powstania Warszawskiego, Muzeum Warszawy, NAC, Fotopolska, Archiwum Państwowe m.st. Warszawy, archiwum STOLICY

Opracowanie graficzne:

Ideapress sp. z o.o.
Teksty do druku przyjmujemy tylko w formie elektronicznej.
© Copyright STOLICA / Wszelkie prawa zastrzeżone; wykorzystywanie tekstów, ich fragmentów i zdjęć, zarówno w druku, jak i w Internecie – bez zgody redakcji jest niedozwolone.
Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów, wprowadzania skrótów i zmian tytułów.
Redakcja nie odpowiada za treść i formę reklam.
Zamówienia na prenumeratę STOLICY w wersji papierowej i elektronicznej – realizowaną przez RUCH SA – można składać bezpośrednio na stronie: www.prenumerata.ruch.com.pl



48

♦ Od 3 lutego funkcjonuje rozszerzona Strefa Płatnego Parkowania Niestrzeżonego – od zachodu ograniczona ulicą Żwirki i Wigury, od wschodu Czerniakowską i fragmentem Powsińskiej, od południa linią ulic Woronicza, Wołoskiej, Domaniewskiej oraz Idzikowskiego, a od północy ulicami Kukulskiego, Różana i Gagarina. Do strefy tej niebawem dołączone zostaną nowe obszary na Dolnym i Górnym Mokotowie. Mieszkańcy mogą się zgłaszać do ZDM po abonamenty parkingowe.

♦ Kładka pieszo-rowerowa, która w ubiegłym roku połączyła dwa brzegi Wisły, jest katalizatorem zmian po praskiej stronie. Zielona przestrzeń przyjazna spacerowiczom i rowerzystom – tak będzie wyglądać ulica Okrzei, na którą wychodzi kładka. Jezdnia zamiast asfaltu zyska kamienną nawierzchnię, wzdłuż posadzone zostaną szpalery drzew. Dla samochodów i autobusów zostanie jeden pas, po północnej stronie ulicy powstanie dwukierunkowa droga rowerowa, a po obu stronach będą szerokie deptaki i miejsca na ogródki gastronomiczne. Kolejnym etapem będzie przebudowa przestrzeni pomiędzy ulicami Okrzei i Kłopotowskiego, Floriańskiej i placu Weteranów 1863 r.

♦ Już można zgłaszać się do ósmej odsłony akcji Rowerowy Maj. Akcja skierowana jest do warszawskich szkół podstawowych i przedszkoli. Zachęca do rowerów, hulajnóg czy deskorolek, słowem – promuje aktywny styl życia, także w drodze do placówek edukacyjno-wychowawczych stolicy.

♦ Nowy wybieg dla żyraf, zebra, antylop i innych afrykańskich zwierząt w warszawskim ZOO. Na ok. 10 tys. m² powstanie dużo większa niż dotąd przestrzeń ekspozycyjna, oczko wodne i taras widokowy.

Warszawa dla zabytków

Prawie 15 mln zł przeznaczyła Warszawa w 2024 r. na remonty zabytków. Dotacje przyznane zostały m.in. wspólnotom i spółdzielniom mieszkaniowym oraz kościołom i związkom wyznaniowym. Zrealizowano ogółem 84 zadania, od naprawy fundamentów po remonty elewacji. Wśród dofinansowanych projektów znalazły się m.in. remonty: willi przy ul. Modlińskiej 257, domków na Jazdowie, kamienic przy ulicach Stalowej i Małej, Elizeum, drewniaka Burkego, kina Wars. Opracowano ponadto nowelizację uchwały o parku kulturowym Historycznego Centrum Warszawy. Zabytkom mogliśmy przyjrzeć się z bliska podczas ósmej edycji wydarzenia *Warszawskie Konserwacje* – w trakcie spacerów prezentowane były obiekty, które uzyskały dotacje w 2023 r. W ramach *Staromiejskich Konserwacji* można było obejrzeć wyremontowane kamienice na Starym Mieście oraz zajrzeć do Warszawskich Historycznych Pracowni Artystycznych położonych na Starówce, jak pracownia Jarnuszkiewiczów, Zbigniewa Maleszewskiego, Jagody Przybylak czy rodziny Kann. Dodajmy, że w 2024 r. na listę Warszawskich Historycznych Pracowni Artystycznych wpisano pięć kolejnych: Kaczmarskiego, Stannych, Sachno, Stowarzyszenia Keramos i Sikorów. Łącznie na liście jest już 48 pracowni. •

Zakończyła się gruntowna modernizacja willi i dwóch oficyn przy ul. Modlińskiej 257 na Białoleścu. Budynek został wzniesiony w 1913 r. W międzywojniu działała w nim placówka dla kobiet potrzebujących pomocy prowadzona przez samarytanki, a później przez Towarzystwo Ochrony Kobiet. W czasie II wojny światowej znajdował się tu magazyn broni dla Armii Krajowej i miejsce schronienia dla Żydów. Obiekt jest interesującym przykładem architektury o formach uproszczonej secesji. We wnętrzach zachowanych jest wiele elementów pierwotnego wystroju, w tym stolarka, posadzki czy dekoracje malarskie. Te ostatnie stanowią wyjątkowo interesujący detal. Przed rozpoczęciem remontu najcenniejsze z wymalowań zostały zdemonstrowane we fragmentach razem z tynkiem. Trafiły do specjalistycznej pracowni, gdzie poddano je renowacji, a po zakończeniu remontu budynku przywrócono na miejsce. Prace konserwatorskie objęły ok. 300 m² powierzchni ścian i sufitów. Odtworzono dekoracje elewacji i dachu w formie kul i waz oraz stalowe koszyki na kwiaty przy oknach. Renowacji poddano drewniane schody, część historycznej stolarki drzwiowej, balustrady i posadzki. Odbudowano dwa piece kaflowe, okna odtworzono na wzór historycznych. Wymienione zostały wszystkie instalacje, zamontowano windę. W odnowionych budynkach będzie działać centrum lokalne prowadzone przez Białolecki Ośrodek Kultury. •



Willi przy ul. Modlińskiej 257



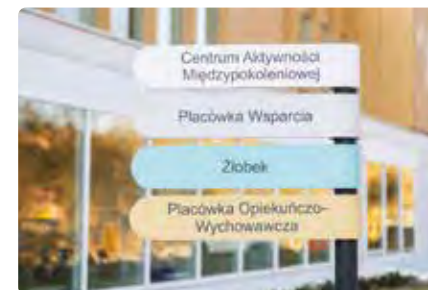
um.warszawa.pl



Dla srebrnowłosych i dla najmłodszych

Przy ul. Korotyńskiego 13 na Ochocie powstało Centrum Aktywności Młodzieży. Będzie to przestrzeń spotkań, wsparcia i rozwoju zarówno dla najmłodszych, jak i najstarszych warszawianek i warszawiaków.

Centralną część budynku przeznaczono na dom dzienny dla seniorów. Na parterze znajdują się kawiarnia ze sceną i letnim tarasem, stołówka, pomieszczenia administracyjne i mały zakład fryzjerski, a na piętrze sale warsztatowe, pracownię (plastyczną, komputerową i terapii) oraz biura dla organizacji pozarządowych. Ośrodek dla osób z niepełnosprawnościami, zlokalizowany na piętrze zachodniego skrzydła budynku, już teraz oferuje szeroką gamę zajęć: od terapii zajęciowej po warsztaty kulinarne. Jego podopieczni korzystają z sali ruchowej, pracowni ceramicznej czy pokoju wyciszeń. Na parterze zachodniego skrzydła zaplanowano placówkę opiekuńczo-wychowawczą, która stanie się domem dla 14 podopiecznych w wieku od 10 do 18 lat. Wychowankowie będą mieszkać w nowoczesnych pokojach, mając do dyspozycji m.in. wspólną kuchnię, jadalnię oraz salon. Część elewacji tej części budynku pokryta została niezwykle, przedstawiającym barwną młodzieżową narrację murem. Jego autorem jest Marcin Czaja, na co dzień wykładowca krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Mural nawiązuje do dziecięcych aktywności. Na dolnej kondygnacji zlokalizowano żłobek, z którego będzie korzystało 150 dzieci w wieku od 12 do 36 miesięcy. Sale mają bezpośrednie wyjścia na bezpieczny plac zabaw. Zaplanowano też salę do zabaw ruchowych, a łazienki w pełni odpowiadają potrzebom maluchów. Rekrutacja do placówki ruszy już wiosną br. •



♦ Do nowoczesnych magazynów Muzeum Narodowego w Warszawie przy ulicy Puławskiej trafiają wielkogabarytowe dzieła sztuki, a także zbiory wzornictwa i mebli. Nowe pomieszczenia spełniają wszystkie normy przechowywania obiektów dziedzictwa kulturowego. Co ciekawe, będą to magazyny otwarte, tj. takie, do których dostęp będą mieli wszyscy zainteresowani.

♦ Po Nowym Roku na ulice Warszawy wyjechały elektryczne, niskopodłogowe, wyposażone w klimatyzację autobusy Yutong. Jest ich 18, mają po 12 m długości, są zasilane centralnym silnikiem elektrycznym, a baterie na dachach pojazdów pozwalają przejechać ponad 400 km na jednym ładowaniu. Autobusy są wyposażone w udogodnienia dla osób o ograniczonej mobilności, niewidomych lub niedowidzących. Mają też elektroniczną informację wewnętrzną i zewnętrzną, monitoring bezpieczeństwa, system ostrzegania o możliwej kolizji z pieszym lub rowerzystą i ładowarki USB.

♦ Biuro Stołecznego Konserwatora Zabytków opracowało nowelizację uchwały dotacyjnej umożliwiającej składanie w trybie ciągłym wniosków na prace konserwatorskie usuwające pseudografity (od 1 stycznia 2025 r.). W 2024 r. BSKZ przygotowało mapę z legalnymi miejscami dla graffiti.

♦ W styczniu prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski przekazał stołecznej policji sprzęt specjalistyczny kupiony przez Miasto. Łączna wartość tej pomocy – 3,6 mln zł. Przekazany sprzęt to samochody osobowe, furgon edukacyjny, meksy, rowery, ale także koń, który dołączy do stołecznych patroli konnych. W ręce policjantów trafiają też dron, noktowizory, lornetki, kamizelki treningowe dla przewodników psów służbowych i alkomaty. •

80 lat temu, od 17 stycznia 1945 r., warszawiacy wracali z tułaczki po kraju i świecie, do zrujnowanego, wyzwolonego od Niemców miasta. Co zastali w Warszawie?

Cmentarz Warszawa

Tadeusz Michalski

Warszawa lewobrzeżna jest cmentarzem. Ja myślę o tym nie tylko w zaduszki. Zawsze. Nie trzeba się bać, to specyfika naszego miasta, tożsamość. Trzeba po prostu wiedzieć – nie epatować, nie pograżać się. W żadnym razie nie wypierać, ale zaakceptować i żyć, budować dalej, w zgodzie z duchem tego miejsca

A to miało wyglądać ludzki!... To ludzie tam stali, na tamtym brzegu, całe szeregi: szkielety, widma, cienie, bez słów, niemę, oślepię, z odrąbanym ramieniem, blade, białe, wyciągnięte wżwyż – wyniosłe jeszcze... Wszystko to w wielkiej ciszy, innej niż cisza cmentarzy” – pisarka Pola Gojawiczyńska zaklinała swoje uczucia, chciała zamknąć je na kartach powieści, ulżyć sobie. Te myśli musiały być nie do zniesienia. Powieść *Stolica* pisała w 1945 r. Jej bohaterowie przechodzą Wisłę po lodzie, szukają resztek swoich domów, grobów swoich ukochanych. Nie widzą Zamku, nie widzą Kolumny Zygmunta, znajdują zamrożone ciała. Myśl, że Warszawa jest zamordowana, wzmagala miłość do niej, oddanie i lęk, który wejdzie w nasze DNA. Tego nie da się odbudować, ten trup zarośnie trawą. To nie Warszawa, tylko miejsce po niej, widmo, które „przypominało ją w sposób przejmujący, uczuciem strasznej, nieodwołalnej straty. Była i – nie ma jej już. Była – nie będzie jej, nigdy”.

Groby

Józef Sigalin zanotował 18 stycznia na Okopowej, że „mury cmentarzy wydają się zbędne: nie dzielą już dwóch światów”. Światy mieszały się w Warszawie na zawsze. Warszawa była wysypiskiem gruzu, ulice stopniały do górskich ścieżek – pomiędzy stokami cegieł, kruszywa, desek i drutów. Place straciły twardą podłogę, płyty poszły na barykady, a ziemię spod nich zajęły groby. Kamienice sprzed ery zbrojonego betonu, te, co budowały krajobraz warszawskiego Śródmieścia, stały bez dachów i trzewi. Wszystko co drewniane

musiało spłonąć, zostały tylko zewnętrzne mury, podziurawione pustymi oknami. Wszyscy to zapamiętali – widok nieba przez puste okna, jasnego błękitu zamiast mieszkań za szybami – stały tylko ściany, w środku nie było stropów, nie było stolarki w otworach okiennych, tylko martwe twarze ścian i puste oczodoły. Zostały niepalne budowle ze zbrojonego betonu i stali, wznosiły się jak pozbawione skóry szkielety. Między murami urosły góry, sterty, zwały gruzu sięgające drugiego piętra, a w nich szczątki ludzkie i niewybuchy. Wtedy, w styczniu 1945 r., wszystko to pokrywał śnieg. Ciężko było rozpoznać miejsca znane od urodzenia, droga kiedyś na 10 minut marszu zajmowała pół godziny. Nie było gołębi, było mnóstwo szczurów. Były też „hieny” czekające na pierwszy moment, jak tylko Niemcy sobie pójdą, żeby wejść między gruzy. Szabrownicy jeszcze długie miesiące po zainstalowaniu się władz miejskich wywozili „niczyje” materiały budowlane i wszelkie wartościowe dobra znalezione w gruzach. Powracający warszawiacy ścigali się, żeby dotrzeć przed innymi do własnych mieszkań i piwnic.

Pierwszym, czym trzeba było się zająć w Warszawie, były ekshumacje i ponowne pochówki na cmentarzach. Na terenie miasta leżały dziesiątki tysięcy ciał ofiar Powstania, pochowanych w płytkich, tymczasowych grobach, zaspanych w gruzach, leżących miesiącami na ulicach, w mieszkaniach, piwnicach. Ktoś pisał „mam w głowie widok obcego trupa w mojej wannie” – przeczytane historie zostają w głowie. Niemcy pozostawili w mieście góry popiołów spalonych ludzi. Pierwsi szukali grobów bliscy i towarzysze broni, wiedzieli, gdzie szukać. Ocaleli powstańcy znów łączyli się w oddziały,

tym razem, by odnaleźć i godnie pochować ciała kolegów. Chłopcy z dawnej kompanii „Rudy” batalionu „Zośka” szukali ciała swojego dowódcy Andrzeja Romockiego, chcieli ubiec jego matkę, oszczędzić jej wstrząsu, ale nie mogli się od niej opędzić: „– Chcieliśmy sprawdzić i panią zawiadomić [wspominała Jadwiga Romocka] – Sprawdzę razem z wami – odparłam – mam do tego prawo. – A więc dobrze – mówi Witold, matowym, zduszonym głosem – pani stoi na Andrzejku, a tu jest jego but! But wystający z szarej ziemi, którego dotąd nie widziałam. [...] Chłopcy odkopali do połowy Andrzeja, wręczyli mi krzyż harcerski, odcięli koalicijkę z odznaką Agrykoli, pokazali ryngraf z Matką Boską Ostrobramską, którego nie wzięłam – zostawiłam”. Odkopywano na własną rękę ciała bliskich, pochowanych na podwórkach, w parkach, na trawnikach, ale ciał, w tym takich, których nikt nie szukał, było tak dużo, że potrzebna była operacja skoordynowana odgórnie. Już w lutym 1945 r. odbyła się zorganizowana przez Radę Miejską konferencja dotycząca rozwiązania problemu ulicznych grobów i niepogrzebanych zwłok. Zbliżająca się wiosna groziła rozkładem ciał i epidemią, urzędnicy proponowali akcję palenia ciał, ale ta koncepcja została odrzucona, przeważało przekonanie, że możliwie jak największej liczbie ofiar należy się identyfikacja i indywidualny grób. Przeważał humanizm za wszelką cenę,

oni palili ciała swoich ofiar, teraz dość. Postanowiono, że ciała, po które nikt się nie zgłosi, będą pochowane w tymczasowych grobach zbiorowych, skąd w odpowiednim czasie, po ponownej ekshumacji trafią na cmentarz. Operację identyfikacji ekshumowanych ciał prowadzili pracownicy PCK, przeważnie kobiety. W magistracie powstał Komitet ds. Ekshumacji Zwłok, przekształcony potem w Referat Ekshumacyjny. Do maja zlokalizowano w lewobrzeżnej Warszawie 25 tys. pojedynczych i zbiorowych grobów. Do drastycznej pracy przy ekshumacjach brakowało chętnych, kierowano do niej jeńców niemieckich i feldsdojczów. Byli też robotnicy liczący na szaber i junacy z Ochotniczych Batalionów Odbudowy. Odkopujący groby otrzymywali czasem służbowy przydział wódki. Tylko do maja 1945 r. wydobyto 27 tys. ciał. Większość ekshumowanych szczątków trafiła na nowo założony cmentarz komunalny na Woli, otwarty w listopadzie 1945 r. Prochy ofiar masowych egzekucji, których ciała Niemcy palili na ulicach, zostały zebrane w kilku miejscach Warszawy i pochowane w specjalnie zbudowanym sarkofagu. Podczas podniosłej ceremonii szóstego sierpnia 1946 r. pochowano tam 117 trumien wypełnionych prochami, w latach 70. stanął w tym miejscu kurhan-pomnik Polegli Niepokonani 1939-1945. Szacuje się, że pod kurhanem spoczywa ok. 20 ton ludzkich prochów. Na cmentarzu Powstańców Warszawy łącznie



Szkielety wypalonych domów Nowego Miasta, widoczne m.in. ulice: Freta, Kościelna, Franciszkańska, Bonifraterska, na pierwszym planie z lewej nowomiejski Rynek, z prawej kościół franciszkanów, 1945 r.

„Stolica” 1970, nr 2

Gruzu było w Warszawie ponad 20, a może 30 mln m³, kolejne 5 mln przybyło w efekcie burzenia obiektów nienadających się do odbudowy i kolidujących z planami przebudowy miasta, fot. Zofia Chomętowska, 1945 r.



pochowanych jest ok. 104 tys. ofiar Powstania, w tym 100 tys. we wspólnych mogiłach, 80 procent stanowią ofiary cywilne w większości bezimienne.

Gruzy

Gruzu było w Warszawie ponad 20, a może 30 mln m³. Kolejne 5 mln przybyło w wyniku burzenia obiektów nienadających się do odbudowy i kolidujących z planami przebudowy miasta. Metr sześcienny to przestrzeń sześcianu, którego każdy bok ma długość metra. Kubatura Pałacu Kultury, razem z Salą Kongresową i wszystkimi przybudówkami, to 815 tys. m³. Z ulic Warszawy trzeba było się pozbyć gruzu o masie 30 Pałaców Kultury. Do tego potrzeba było ludzi. Powołane przez magistrat brygady pracy werbowane były wśród powracających do domu warszawiaków, zapłatą były kartki żywnościowe, posiłki, a czasem tylko satysfakcja z dobrze wykonanej roboty. W marcu 1945 r. na apel „Życia Warszawy” stanęło ochotniczo do odgruzowywania 6 tys. warszawiaków. Cztery miesiące po wyzwoleniu Warszawy brygady pracy liczyły 15 tys. ludzi, w tym 80 procent kobiet. Na początku wszystko było prowizoryczne, z czasem rozrastała się struktura organizacyjna, w 1946 r. miejsce brygad zajęło Państwowe Przedsiębiorstwo Rozbiórki i Gospodarki Gruzem.

Najpierw gruz trzeba było posortować na elementy przydatne do powtórzonego użytku – przede wszystkim całe cegły – i uciążliwą resztę. Wykonujące prace na zlecenie Biura Odbudowy Stolicy Społeczne Przedsiębiorstwo Budowlane składowało w kilku magazynach na terenie miasta odzyskane z gruzów cegły, płyty, wanny, umywalki, zawiasy, wszystko, co mogło się przydać przy odbudowie. Inżynierowie znaleźli zastosowanie dla zmielonego gruzu przy produkcji rzeczy arcywarszawskiej. Gruzobeton – materiał budowlany, z którego zbudowano nową Warszawę, to zwykły żelazobeton, z tym że jako kruszywo w mieszance betonowej użyto nie drobnych kamieni, lecz zmielonego gruzu. Konkurs na projekt technologii wykorzystania gruzu jako surowca do produkcji materiałów budowlanych rozpisano

już na wiosnę 1945 r., przysłano prawie sto prac. Rok później w ramach BOS działał Samodzielny Dział Gospodarki Gruzem. W zrujnowanym mieście wszechobecny gruz był częścią krajobrazu i najważniejszym surowcem. Szacowano, że z gruzów można odzyskać 130 mln cegieł oraz stal o łącznej wartości 5 mld ówczesnych złotych. Pozostałe, niewykorzystane zwały gruzu trzeba było wywieźć poza centrum. Używano do tego ręcznie ładowanych furmanek, ciężarówek, pociągów i specjalnie wybudowanych kolejek wąskotorowych. I na te tony odpadków także szukano zastosowania, gruz nadawał się do wyrównywania terenu, usypywania wałów, umacniania skarp i brzegu Wisły. Gruz ładowano na barki i zrzucano do rzeki w celu jej regulacji. Przyczepy i wagony kolejek wąskotorowych wywoziły go na wyznaczone miejsca tzw. zwalek, w okolicę Łachy Potockiej na Marymoncie, okolice fortu Bema, fortu Szczęśliwice, Pola Mokotowskiego, brzegu Wisły na Sękierkach, nasypu kolejowego obok późniejszego Stadionu Dziesięciolecia.

Wypalone mury kamienicy, 1945 r., fot. Zofia Chomętowska



Bibliografia:

P. Gojawiczyńska, *Stolica*, Warszawa 1949; G. Piątek, *Najlepsze miasto świata. Warszawa w odbudowie 1944-1949*, Warszawa 2020; A. Przywara, *Zgruzowanie Warszawy. Historia przemiany gruzów w architekturę powojennej stolicy*, w: *Zgruzowanie. Przeszłość i przyszłość ruin w architekturze*, Warszawa 2023; J. Sigalin, *Nad Wisłą wstaje warszawski dzień. Szkice*, Warszawa 1963; A. Skolimowski, *Sigalin. Towarzysz odbudowy*, Wołowiec 2018; *Wspomnienia Jadwigi Boryta-Nowakowskiej*, w: *Nieśpalanie*, karta nr 98/2019 oraz fragment pamiętnika Jadwigi Romockiej, <https://www.facebook.com/zoskaiparasol/> (dostęp: 26.07.2024), <https://izbapamieci.muzeumwarszawy.pl> (dostęp: 28.07.2024).



Obok: ulica Puławska między numerami 69 i 83, widok na południe; poniżej: zniszczona Kolumna Zygmunta



Powstały trzy góry usypane z gruzów: Szczęśliwicka (40 m wysokości), górką w parku Moczydło (20 m) i Kopiec Czerniakowski (37 m), nazwany po latach Kopcem Powstania Warszawskiego. W latach 50. olbrzymią nieckę Stadionu Dziesięciolecia usypano z gruzów lewobrzeżnej Warszawy, współczesny Stadion Narodowy stanął na tych wałach, wywiezienie tej ilości gruzu było dla jego budowniczych nierealne. My, współcześni warszawiacy, żyjemy na gruzie. Jest on wszędzie: na nabrzeżu Wisły, pod Stadionem Narodowym, na stokach skarpy wiślanej, pod domami Muranowa Południowego, w parkach, rabatkach, pod chodnikami. Wszędzie. 🍷

Zrujnowane budynki
na Starym Mieście
przy ulicy Świętojańskiej,
z lewej widoczne ruiny katedry
św. Jana, 1945 r.

Nowa władza wkracza do Warszawy

Jerzy S. Majewski

W styczniu 1945 r. wraz z Armią Czerwoną i Wojskiem Polskim do zniszczonej Warszawy wkraczała nowa władza. Świat, jaki znali mieszkańcy stolicy sprzed wojny, miał już nigdy nie wrócić

„Gdzie Niemcy? – krzyknął w moją stronę motocyklista z czerwoną gwiazdą na furażerze. Siedział w koszu, trzymając w rękach dziwny pistolet maszynowy z dziurkowaną chłodnicą i bębnowym magazynkiem. Kierowca zgasił motor, omiatając wzrokiem okolice. Wkrótce wokół motocyklistów powstało małe zgromadzenie mieszkańców Śródborowa. [...] Był ranek końca lipca 1944 r. Od wschodu wchodziła Polska Ludowa” – wspominał Aleksander Jerzy Wieczorkiewicz w książce *Mój PRL*. Jak pisał, kilka godzin później należący do jego rodziny dwunastoizbowy pensjonat Mazurka został zarekwirowany przez Armię Czerwoną dla oficerów sowieckiego

sztabu. Ale Wieczorkiewicz pisał, że jego rodzina i tak miała wiele szczęścia: „Zostaliśmy wprawdzie stłoczeni z rodzicami w stróżówce, ale ominęły nas gwałty i grabieże dokonywane przez sowieckich żołdaków. «Dawaj czas!» – czyli: oddaj zegarek – było rutynowym powitaniem czerwonoarmisty z napotkanym Polakiem. Rowery zabierali bez słowa. W Śródborowie i Soplicowie rabowali nawet damską bieliznę i sukienki powyrwane z szaf. Matka mojej szkolnej koleżanki mogła wyjść z domu dopiero wtedy, gdy uszyła odzienie z... franki”. Czy w jego słowach była przesada? Raczej nie. Całego katalogu zbliżonych opowieści wysłuchiwałem od dzieciństwa od swoich dziadków, który tuż przed

NAC: A. Gycuk / Wikipedia

wybuchem II wojny wyprowadzili się ze stolicy i pod Warszawą zbudowali dom na linii do Mińska Mazowieckiego, za Sulejówkiem. Zarekwirowanie roweru przez żołdaka o mongolskich rysach było pierwszym spotkaniem mojego dziadka z czerwonoarmistami w 1944 r. Kolejnym stało się zajęcie przez nich domu.

Dziś mało kto o tym pamięta, ale to od dość ordynarnego rabunku zaczęły się w 1945 r. rząd polskiej władzy ludowej na terenach zajmowanych przez Armię Czerwoną i „lubelskie” Wojsko Polskie. Nie dość, że mocą kolejnych dekretów zarówno okupacyjne złotówki drukowane przez Bank Emisyjny w Polsce, jak i marki niemieckie wymieniano po zaniżonych cenach, to jeszcze wprowadzono bardzo niskie limity wymiany: 300-500 lub 500 krakowskich złotych na osobę. Tracił każdy, kto miał większe oszczędności zgromadzone w gotówce.

Nowy prezydent

Dwa dni po zajęciu Pragi przez Armię Czerwoną i Wojsko Polskie 16 września 1944 r. z Lublina przybyła delegacja PKWN-u z Edwardem Osóbką-Morawskim. Rząd lubelski zaczął pospiesznie konstruować władze miejskie – nie tylko dla Pragi, lecz także „zaocznie” dla wciąż walczącej Warszawy. 18 września PKWN oficjalnie wyznaczyło prezydenta Warszawy. Został nim działacz komunistyczny płk Marian Spychalski, z zawodu architekt. Przed wojną brał on udział w przygotowywanym przez Starzyńskiego planie *Warszawa przyszłości*, a w czasie okupacji uczestniczył w konspiracyjnych projektach przygotowujących odbudowę miasta. Spychalski w Warszawie pojawił się jeszcze przed premierem Osóbką-Morawskim. W kilka samochodów ruszyli z Lublina już 15 września 1944 r. Na Pragę padały niemieckie pociski, na lewym brzegu wciąż trwało Powstanie, na praskich ulicach widać było liczne ślady zmagania. Mosty przez



Marian Spychalski



Michał Rola-Żymierski

Wisłę były wysadzone. Jak pisał Spychalski w książce *Wspomnienia pierwszego powojennego prezydenta stolicy*, Osóbka-Morawski był niezadowolony z jego nominacji na prezydenta, ponieważ nie należał on do jego partii, czyli PPS-u. „Wspólne przeżycia frontowe powodowały niezręczną sytuację dla niego, gdyż nie mógł jawnie wyrazić sprzeciwu co do mojej osoby. Nominacji nie podpisał sam, lecz zlecił to sekretarzowi Prezydium PKWN, Janowi Karolowi Wendemu” – wspominał Spychalski. Dodajmy, że w pierwszych miesiącach, przynajmniej do 17 stycznia 1945 r., Spychalski niemal co tydzień musiał jeździć do władz w Lublinie dla, jak pisał, „załatwiania spraw warszawskich”. Podróżował samochodem. Na jego wniosek gen. Michał Rola-Żymierski załatwił dla władz Warszawy emkę (GAZ-M1), willysa, półciężarówkę dodge oraz ciężarówkę. Nieco później Warszawa otrzymała od wojska 20 kolejnych ciężarówek i pięć gazików.

Budynki Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych przy ul. Targowej 74



Gmach pod ostrzałem

15 września w trakcie pobytu w Warszawie Spychalski wraz z towarzyszącymi mu ludźmi dotarł do przedwojennego gmachu Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych przy ul. Targowej 74, który był jedynym dużym gmachem biurowym w prawobrzeżnej Warszawie. Znajdując się w bezpośrednim polu ostrzału od strony Mariensztatu i Starego Miasta, był celem niemieckich pocisków. „Solidna, betonowa budowla nie poddawała się artylerii. Zastajemy na miejscu paru towarzyszy z Warszawskiego Komitetu



Partii. Jest Towarzyszka Izolda Kowalska, którą wyznaczono w wyzwolonej części Warszawy na pierwszego sekretarza, jest także towarzysz Konarzewski «Pietrek», który był sekretarzem na Pradze w okresie okupacji» – wspominał Spychalski. Jak pisał, wraz ze współpracownikami, których przywiózł z Lublina, zajął do pracy kilka pokoi na pierwszym piętrze. Z góry były chronione przez potężne, żelazobetonowe stropy. Pokoje usytuowane w głębi gmachu w bocznych skrzydłach były też mniej narażone na ostrzał z Wisły. W budynku brakowało światła. Spotkania wieczorne odbywały się przy świecach, siadano przy stołach i na krzesłach zebranych z całego budynku. Na Pradze w tym czasie nie działała też łączność telefoniczna, wodociągi, kanalizacja i komunikacja publiczna. Dzielnica znajdowała się pod sporadycznym ogniem artylerii niemieckiej, ale też narażona była na ostrzał z samolotów.

Wraz z żołnierzami zajmującymi Pragę i prezydentem Marianem Spychalskim do Warszawy wyruszyli też „lubelscy” milicjanci. Ci jednak nie mieli odwagi ułożyć się w gmachu DOKP. Dowództwo milicji, do której werbowano rozmaite typy spod ciemnej gwiazdy, zakotwiczyło początkowo z dala od niebezpiecznej linii frontu w Aninie. W gmachu DOKP poza prezydentem usadowił się jedynie komendant wojskowy miasta, „ale poza paroma ludźmi do prac biurowych żadną siłą bojową nie rozporządzał”. Aż do 17 stycznia pojedyncze pociski uderzały w gmach przy ul. Targowej 74. Pocisk moździerzowy zniszczył wspomnianą emkę prezydenta Warszawy.

Jeszcze jesienią 1944 r. władze stolicy, czyli rada narodowa z zarządem miasta i prezydentem Marianem Spychalskim, przeniosły się do mniej narażonego na niemiecki ostrzał kompleksu szkolnego przy ul. Otwockiej 3 na Szmulowiznie. Jest to zespół solidnych gmachów wzniesionych w latach 20. XX w. przez magistrat na pomieszczenie m.in. szkół powszechnych nr 126, 130 i 192. „Była tam wielka sala, a ponadto ogromne, obszerne podziemia, w których funkcjonowała znakomicie urządzone kuchnia i duża stołówka, która mogła pomieścić kilkuset stołowników. [...] Każdego przed skierowaniem do pracy trzeba było pożywić, jakoś urządzić. A nieoceaniona towarzysząca Janicowa niezmordowanie dniem i nocą karmiła wygłodzonych” – wspominał Spychalski.

Jeszcze na lewym brzegu Wisły byli Niemcy, kiedy Spychalski 22 grudnia 1944 r. określił strukturę nowych władz Warszawy. Przewidywał utworzenie 36 wydziałów. 25 września na Pradze powstało starostwo grodzkie, a dzień później komuniści zwołali wielki wiec ludności, na którym agitował Władysław Gomułka. Kompetencje prezydenta Warszawy w 1945 r. były szersze od kompetencji Stefana Starzyńskiego w drugiej połowie lat 30. XX w.

Jak pisał przed laty Zygmunt Ogrodzki na łamach „Studiów Warszawskich”, w 1945 r. wciąż obowiązywała w Warszawie ustawa o samorządzie Warszawy z 1938 r. Samorząd terytorialny został przywrócony,

lecz bez demokratycznych wyborów radnych i zarządów gmin. W dodatku ustawa z 1938 r. w dużym stopniu stała w sprzeczności z podjętą przez nowe władze lubelskie ustawą z 11 września 1944 r. o organizacji i zakresie działania nowego tworu, jakim były rady narodowe. W odróżnieniu od lat 30. XX w. prezydent Warszawy zyskiwał jednocześnie funkcję wojewody stołecznego, sprawowaną przed wrześniem 1939 r. przez komisarza rządu dla m.st. Warszawy. W Polsce „lubelskiej” urząd ten nie został odtworzony. Wybiegając w przyszłość, dodajmy, że już po 17 stycznia 1945 r. terytorium miasta podzielono na dzielnice, w których początkowo utworzono komitety obywatelskie, później zaś dzielnicowe rady narodowe. Jak czytamy w książce Jana Górskiego *Warszawa prawie współczesna*: „Organem administracji na tym szczeblu były starostwa grodzkie, które po utworzeniu rad dzielnicowych stały się organem wykonawczym, choć – w ówczesnym ustroju administracyjnym – określenie to nie jest całkiem ścisłe.”

Kiedy Spychalski przeniósł się na Otwocką na Pradze, przeciwnicy pozostawienia stolicy w Warszawie rozpuszczali plotki, że prezydent miasta z Warszawy uciekł i pozostawił ludność na pastwę losu. „Dlatego codziennie otwartym willysem objeżdżałem miasto

Piwnice kamienicy przy ul. Strzeleckiej 8, na ceglach widoczne napisy wyrzeźbione przez więźniów aresztu



Ruiny Dworca Głównego, w tle zabudowa Alei Jerozolimskich, m.in. Hotel Polonia, 1945 r.

i spore odległości przemierzałem pieszo. Zawsze starałem się parę słów zamienić z napotkanymi ludźmi. Odwiedzałem zakłady przemysłowe i różne instytucje” – wspominał Spychalski.

Katownia przy Strzeleckiej

Za plecami wkraczającej do Warszawy Armii Czerwonej szło NKWD. Już jesienią 1944 r. ulokowało się ono przy ul. Środkowej 11 u zbiegu ze Strzelecką (ul. Strzelecka 8) na Nowej Pradze. Stała tam spora modernistyczna kamienica, której budowę tuż przed wybuchem wojny podjął Zygmunt Jórski, ziemianin i malarz. Wybuch wojny przerwał realizację inwestycji, jednak częściowo ukończony budynek, o mocnej, żelbetowej konstrukcji, w czasie okupacji niemieckiej został zaanektowany przez dzikich lokatorów. Wraz z ulokowaniem się w budynku NKWD mieszkańcy zostali z niego wyrzuceni. W obiekcie swoją działalność rozpoczęła centrala NKWD na środkową Polskę. Kamienica wykorzystywana była jako kwatery gen. Iwana Sierowa, zastępcy ludowego komisarza spraw wewnętrznych ZSRR i od 1945 r. pełnomocnika NKWD przy froncie białoruskim. Rosjanie otoczyli dom drutem kolczastym.

Tymczasem przerażeni okoliczni mieszkańcy szepotali, że z budynku dochodzą krzyki i jęki torturowanych. Już 20 lutego 1945 r., nieco ponad miesiąc po zajęciu przez Armię Czerwoną i Wojsko Polskie ruin lewobrzeżnej Warszawy, miejsce sowiektów zajęła komunistyczna, polska bezpieka. Budynek stał się siedzibą Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie. Mieszkania na piętrach od strony Strzeleckiej zamieniono w pokoje przesłuchań. Z kolei w piwnicach zamienionych w cele i z zamurowanymi okienkami przetrzymywani byli m.in. więźniowie.

Czasem przez wiele tygodni. W przestrzeniach pod żelbetowymi schodami bez światła i wentylacji znalazły się dwa karcery. Przez cele oraz pokoje przesłuchań aż do 1948 r. przeszły tysiące osób. Przetrzymywani tu byli m.in. komendanci różnych okręgów AK: Mieczysław Grygorcewicz „Miecz”, Zygmunt Marszewski „Kazimierz”, mjr Jerzy Sasin „Rosa”, płk Janusz Szalski „Prawdź”, ppłk Lucjan Antoni Szymański „Janczar”. Więziony był tu też działacz PPS-u Kazimierz Pużak.

Ślady aresztu w piwnicach czytelne są do dziś. Na drzwiach piwnicznych komórek napisy z numerami cel, na murach wydrapane daty i nazwiska więzionych. Czasem modlitwy. To, że napisy ocalały, wydaje się niezwykle. Tym bardziej że po 1948 r. dawny areszt ponownie zamienił się w zwykłe piwnice

lokatorów. Od 2020 r. w dawnych celach w piwnicy i na parterze kamienicy mieści się Izba Pamięci IPN „Strzelecka 8”.

Już 28 września 1944 r. w Warszawie odbyło się pierwsze posiedzenie Krajowej Rady Narodowej. W tym czasie Powstanie Warszawskie dogasało. W dniu jego kapitulacji, 2 października, Praga opleciona była całą siecią placówek milicyjnych.

Pomimo bliskości linii frontu na Pradze powoli ożywało życie gospodarcze i kulturalne. To nie do wiary, ale już trzy dni po zajęciu przez kościuszkowców Pragi, 17 września 1944 r., Jan Mroziński przystąpił do organizowania teatru przy Inżynierskiej. Po drugiej stronie rzeki słychać było wybuchy, na Nową Pragę niekiedy dolatywał jakiś zabłąkany pocisk, a 7 października w szkole na Otwockiej zajmowanej przez władze miasta dano pierwszy koncert. Był on załącznikiem powstania Teatru Warszawy. 15 października 1944 r. ukazał się pierwszy numer dziennika „Życie Warszawy”, a 7 listopada uruchomiono tu pierwszy urząd pocztowy. Mniej więcej w tym samym czasie wznowiono produkcję w fabrykach Schichta i u Wedla.

Ruiny pod śniegiem

17 stycznia 1945 r. Warszawa została zajęta przez żołnierzy Wojska Polskiego i Armii Czerwonej prawie bez walk. Niemcy wycofali się, porzucając przygotowywane wcześniej stanowiska obronne. Kiedy polscy żołnierze wkraczali do lewobrzeżnej Warszawy, ruiny przykryte były grubą warstwą śniegu. Pod nim kryły się groźnie wyszczerbione ruiny domów, porozrzucone, przemielone i częściowo spalone połamane meble, nadpalone książki, porozbijane kawałki porcelany, stopione srebrne łyżeczki i cukiernice, zabite dziecięce lalki. ➔

W ruinach Warszawy, pod śniegiem, wszędzie czaiła się śmierć. W gruzach, piwnicach, na ulicach można się było natknąć na przysypane śniegiem szkielety i zamrożone szczątki ludzkie. „Pod jednym z domów, blisko powstańczej barykady, leżał nieopogrzebany szkielet człowieka, niewielki, o drobnych kościach, zapewne jakiejś dziewczyny, gdyż na czaszce utrzymywały się opierające się rozkładowi długie blond włosy. Obok szkieletu leżał zardzewiały karabin, na kości prawego ramienia widniała obok strzepów odzieży biało-czerwona opaska z wyblakłym nadrukiem AK” – czytamy w *Pianiście* Władysława Szpilmana.

W zimne styczniowe dni 1945 r. nie wszystko leżało jednak w ruinie. Dziennikarz „Życia Warszawy” ze zdumieniem odkrył, że na Powiślu i w południowym Śródmieściu wciąż stoi wiele domów. „Ze straszliwie ściśniętym sercem brnę przez spiętrzone zwały lodu na Wiśle. Zimny wiatr gna nad Warszawą gęste ciemne chmury. Po pięciu miesiącach jestem w Warszawie. Solcem do Tamki. O radości, stoją bloki całych domów na Smulikowskiego, Czerwonego Krzyża. Tamka spalona, ale trzy domy obok Konserwatorium ocalały [...] Słońce, które nagle wyjrzało z za chmur, ozłaca pogorzelisko Nowego Świata i do reszty spalone pałacyki w Al. Ujazdowskich. Ulica Wiejska poza kilkoma wyjątkami ocalała cała wraz z Hotelem Sejmovym. Drzewa w Alejach też stoją po dawnemu. W parku Ujazdowskim brak tylko gromad dzieci, bo nawet Neptun ocalał. Początek Kruczej spalony zupełnie, natomiast odcinki między Kruczą a Marszałkowska, Wil-

czą, Hożą, Wspólną są względnie całe. Mokotów obronną ręką wyszedł z pożogi i przedstawia się o wiele lepiej niż Saska Kępa” – czytamy.



„Życie Warszawy”, wydanie z 17 stycznia 1945 r.

Zanim do Warszawy zaczęli powracać mieszkańcy, w kierunku ruin ruszyli szabrownicy. „W opustoszałych domach grasują już jak spod ziemi wyrosłe rzesze rabusiów. Rabują wszystko: ubrania, pościel, nakrycia. Garnki, nawet meble wywożą na wózkach ręcznych i furmankach przybyłych nie wiadomo skąd” – relacjonował

dziennikarz „Życia Warszawy”. Pierwsi pojawili się w mieście już 17 stycznia. Autorka wspomnień, Sabina Dłużniewska, natyka się na wypełnione meblami wozy szabrowników już 18 stycznia.

Zachwatowicz staje na czele BOS-u

21 stycznia 1945 r. do Podkowy Leśnej, gdzie po Powstaniu Warszawskim znaleźli się Jan Zachwatowicz i Piotr Biegański, wojskowym samochodem przybyło trzech architektów: Bohdan Lachert, Lech Niemojewski i Józef Sigalin. Zaangażowali się już po upadku Powstania w ratowanie z opustoszałej Warszawy pomiarów i dokumentacji, które miały potem stanowić podstawę do odbudowy zabytków warszawskich. Przybyli, by ściągnąć Zachwatowicza i Biegańskiego. Na Pragę, gdzie oczekiwał ich prezydent Marian Spychalski.

Tak wizytę tę wspomina Piotr Biegański, który kilka chwil wcześniej w domu zajmowanym przez Zachwatowiczów uczestniczył w podziale zdobytych na wsi ziemniaków. „Zobaczyliśmy z okna, że pod dom zajeżdża ciężarówka okryta brezentem ze znakami rosyjskimi” – ten widok zaniepokoił ich. Z ciężarówki wysiadł wojskowy w mundurze. Towarzyszyli mu jacyś cywile, wśród których była kobieta. Rozglądali się wokół. Zaczęli przechodzić. Wreszcie słychać było ciężkie odgłosy wojskowych butów i pukanie do drzwi. Chwila przerażenia. Może to aresztowania? Pierwsza zareagowała żona Zachwatowicza, Maria. Bez słowa podeszła do drzwi i otworzyła je: „Nieznajomy zwrócił się do niej po polsku. – Czy to prawda, że są tu Jan Zachwatowicz i Piotr Biegański? Usłyszawszy nasze nazwiska, wyszliśmy na spotkanie i ku naszemu największemu zdziwieniu rozpoznaliśmy w wojskowym kapitana Józefa Sigalina w polówce z polskim orzełkiem! Prysło napięcie. Łzy stanęły w oczach – oto po pięciu latach stanął przed nami po raz pierwszy prawdziwy żołnierz polski” – wspominał Biegański.

Jak się okazało, Sigalinowi towarzyszyło kilku architektów. Kobieta była Eleonora Sekrecka, absolwentka Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej, która dyplom uzyskała w 1932 r. W Podkowie Leśnej odszukali Zachwatowicza, aby złożyć mu propozycję udziału w odbudowie Warszawy.

Jeszcze tego samego dnia o godz. 18 Biegański wraz z Zachwatowiczem ruszyli ciężarówką Sigalina na Pragę, która wieczorem tonęła w absolutnych ciemnościach. Jedynie na skrzyżowaniach ulic stały reflektory umieszczone w wysokich skrzynkach. Zanim zawieziono ich na spotkanie z prezydentem, przybyli na Kowelską



Ciężarówka BOS-u, 1945 r., fot. Zofia Chomętowska

na Nowej Pradze. Tu, w domu nr 4, przygotowano dla nich kwatery zarezerwowane w starej czynszówce. Otrzymali nieopalany pokój w mieszkanku, którego właściciele gnieździli się w kuchni. Następnego ranka o godz. 9 mieli już spotkanie w szkole przy Otwockiej, gdzie urzędował Spychalski. Prezydentowi towarzyszył Jerzy Albrecht, I sekretarz komitetu warszawskiego PPR. Spychalski nazwał ich kolegami i zwrócił się z prośbą, aby niezwłocznie zabrali się za organizowanie Biura Odbudowy Stolicy. „Marian Spychalski powierzył mi organizację Biura Odbudowy Stolicy. Przyszedł nowy optymistyczny etap wielkich zadań, a jednocześnie okres podsumowania straszliwych strat czarnego okresu hitlerowskiej okupacji” – wspominał Zachwatowicz w tomie *Walka o dobrą kulturę*. Oficjalnie Zachwatowicz został tymczasowym kierownikiem Biura Organizacji Odbudowy Warszawy.

Zachwatowicz do dzieła odbudowy stolicy przystąpił natychmiast. Miał na to błogosławieństwo delegatury rządu londyńskiego. Wraz ze Spychalskim podpisał się pod gorącym apelem do architektów napisanym przez prof. Lecha Niemojewskiego: „Koledzy, Warszawa Was wzywa! Trzeba natychmiast przystąpić do pracy. Wojska nasze, w pogoni za armią niemiecką, walcząc ramieniem z żołnierzem radzieckim, wkroczą wkrótce w granice Rzeszy. Trud ich zbliża się do końca. Gdy walka ustanie, gdy kielnia i kilof zastąpią bagnet i karabin, rozpocznie się wielkie dzieło odbudowy” – apelowali.

Jak wspominał Biegański, zaraz po wyjściu z gabinetu Spychalskiego Zachwatowicz z Biegańskim spotkali Sigalina. Wsiadli razem do przydzielonego samochodu

i pojechali na Mokotów. Z zaskoczeniem wypatrzyli w rejonie Skolimowskiej i Chocimskiej niezłe zachowane domy. „Zdecydowaliśmy, że po oszkleniu większości okien dyktą będzie można w ciągu paru dni podjąć urzędowanie. Nad wejściami do tych domów widniały już napisy «min nie ma», wobec tego umieściliśmy nasze urzędowe karty z napisem i pieczęcią – budynki zostały zajęte przez władze miejskie” – czytamy.

Warszawa stolicą

Zanim jeszcze ruszyła ofensywa sowiecka, w trakcie której zajęte zostały ruiny Warszawy, 14 stycznia 1945 r. Rząd Tymczasowy RP podjął decyzję o odbudowie Warszawy. Tydzień później, 20 stycznia, rząd przyjął umowę o przeniesieniu stolicy z Lublina do Warszawy. Nie nastąpiło to jednak natychmiast. Wobec ogromu zniszczeń miasta nie brakowało wątpliwości, czy w ogóle warto tu wracać. Realne stawały się domysły, że władze państwowe przeniosą się tymczasowo choćby do niedalekiej Łodzi. Zaprzeczał jednak temu sam Bolesław Bierut. „Wkrótce po odzyskaniu Warszawy władze państwowe będą chciały

się przenieść do stolicy. Bez względu na to, w jakim stanie znajdziemy miasto. Choćby dlatego, żeby przyspieszyć samą odbudowę Warszawy” – zapowiadał w wywiadzie udzielonym „Życiu Warszawy” 7 stycznia 1945 r., czyli na 10 dni przed wygnaniem Niemców z ruin stolicy. Te słowa dowodzą, że decyzja o odbudowie Warszawy już zapadła. Historyk prof. Jerzy Kochanowski przypuszcza, że to Stalin mógł przekonać Bieruta do konieczności odbudowy miasta i utrzymania jego stołeczności. Warszawa była przecież symbolem. 7 stycznia 1945 r., gdy zza Wisły leciały na Pragę niemieckie pociski, Bierut nie miał skonkretyzowanych wyobrażeń odbudowy miasta. „Nie umiem powiedzieć o szczegółach. Zna je prezydent Spychalski – ale plan był opracowany jeszcze przed tragedią Warszawy [...] W zasadzie reorganizuje on strukturę miasta. Będzie ono podzielone na szereg dzielnic, jak reprezentacyjną, handlową, przemysłową, naukową itp.” – mówił w wywiadzie. Warszawa miała być lepsza niż przed wojną, ale nie było jeszcze powiedziane – jaka.

Nowe władze, pomimo różnicy zdań, potraktowały odbudowę w sposób prestiżowy, tym bardziej że można było na niej ugrać społeczne poparcie działań PPR. Efekt propagandowy był dość łatwy do uzyskania przy wykorzystaniu autentycznego entuzjazmu i zapału mieszkańców, pragnących jak najszybciej podnieść z ruin swoje miasto. W kilka dni po wspomnianej uchwale rządu Bolesław Bierut uzyskał od Stalina obietnicę pomocy w odbudowie Warszawy, a miasto miało od ZSRR dostać pomoc żywnościową, 300 domków fińskich, 500 ciężarówek do wywożenia gruzu, ponadto 30 trolejbusów. ➔

Rząd wraca do stolicy

20 stycznia, czyli tego samego dnia, kiedy Rząd Tymczasowy RP podjął decyzję o przywróceniu Warszawie stołeczności, w centrum zniszczonego miasta urządzono defiladę Wojska Polskiego. Z Lublina przyjechali na nią najważniejsi funkcjonariusze. Trybuna stanęła w pobliżu ruin Dworca Głównego, wysadzonego przez Niemców zaledwie kilka tygodni wcześniej. Widniał na niej biały orzeł piastowski oraz flagi Polski i ZSRR. Na trybunie stanęli Bolesław Bierut, premier Edward Osóbka-Morawski i naczelny dowódca „lubelskiego” Wojska Polskiego gen. Michał Rola-Żymierski. Co znamienne, obok nich stanął minister bezpieczeństwa publicznego Stanisław Radkiewicz. Stali tam też prezydent Warszawy Marian Spychalski, a także sowiecki gen. Wasilij Szatilow. Ten ostatni był jednym z głównych dowódców frontu białoruskiego (3 Armia Uderzeniowa).

Ludzie, widząc kolumny żołnierzy polskich, nie mogli jednak ukryć autentycznej radości. Poprzez gruzowisko w rejon Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej przybyło blisko 10 tys. osób. Tak defiladę relacjonował 20 stycznia 1945 r. dziennikarz „Życia Warszawy”, które powoli stawało się tubą propagandową: „Rozpoczyna się defilada. Żołnierze polscy idą dziarsko. Prężą się przed najwyższymi zwierzchnikami naszego państwa [...] Tłum wita żołnierzy żywiołowymi okrzykami. Defilada trwa prawie półtorej godziny. Przechodzą prawie wszystkie rodzaje broni. Na horyzoncie przelatują polskie samoloty. Ich przelot budzi uczucie pewności i spokoju. Ludność ogarnia entuzjazm. Szaleją niemal z radości”.

Dopiero 1 lutego gazety poinformowały o przeniesieniu się do Warszawy władz państwowych. Z Lublina przyjechali Bolesław Bierut oraz rząd z premierem Edwardem Osóbką-Morawskim oraz wicepremierami Władysławem Gomułą i Januszem Stanisławem. Jeszcze tego samego dnia, podczas pierwszego posiedzenia Rady Ministrów, rozdysponowano przydziały lokalizacyjne dla urzędów centralnych. „Wobec dotkliwego zniszczenia Warszawy przez Niemców i konieczności gruntownego remontu ocalałych budynków Rada Ministrów postanowiła rozmieścić czasowo część urzędów państwowych w okolicach Warszawy i w Łodzi” – pisano w „Życiu Warszawy” 1 lutego 1945 r. Urzędy ulokowano w zajętych we wrześniu 1939 r. przez władze miasta gmachu DOKP przy ul. Targowej 74. Po 17 stycznia miasto na własną rękę remontowało i przygotowywało pomieszczenia w budynku na siedzibę PKWN-u. Po zajęciu lewobrzeżnej Warszawy szybko przystąpiono do wyszukiwania ocalałych gmachów rządowych na lewym brzegu i ich remontowania. Jednym z pierwszych obiektów rządowych lewobrzeżnej Warszawy stał się budynek Urzędu Telekomunikacyjnego przy ul. Nowogrodzkiej 45. W lutym 1945 r. na lewym brzegu Wisły otwarto kilka urzędów pocztowych: na rogu Chmielnej i Żelaznej, przy Ludnej i Puławskiej

oraz w gmachu Urzędu Telekomunikacyjnego przy ul. Nowogrodzkiej 45.

Spychalski wspominał, że jako pierwszy na lewy brzeg, od razu z Lublina, przeniósł się Komitet Centralny PPR: „W pierwszych dniach po wyzwoleniu Warszawy, po szczegółowym oglądzie nadających się do szybkiej odbudowy obiektów, zaproponowałem na jego siedzibę prawie niezniszczoną okazałą kamienicę w Al. Ujazdowskich 9. [...] W kamienicy były wielkie mieszkania, toteż po niewielkich przeróbkach urządzono wygodną siedzibę wraz z odpowiednią salą na posiedzenie KC”. Spychalski dodawał, że niektórym „towarzyszom” nie podobało się, że ich siedziba znajdowała się w samym centrum przy reprezentacyjnych Alejach. Od razu też zaczęto myśleć o remoncie Belwederu i Pałacu Rady Ministrów przy Krakowskim Przedmieściu (dziś Pałac Prezydencki).

Targowa zamiast Marszałkowskiej

W 1945 r. na tle ruin lewobrzeżnej Warszawy pokąsana wojną, lecz nieburzona Praga wydawała się tętniącą życiem metropolią. To tutaj lokowały się kolejne agendy władzy przybywające z Lublina. Na Pradze kwitły w tym czasie handel, życie towarzyskie i kulturalne. Wystarczy wspomnieć, że 1 stycznia 1945 r. ludność Pragi wynosiła 140 tys. osób, zaś w maju 1945 r. – 190 tys. Już 2 stycznia, jeszcze przed sowiecką ofensywą i wyparciem Niemców z lewobrzeżnej części miasta, zaczęły funkcjonować pierwsze po wojnie wydziały UW: medycyna, farmacja i weterynaria. Przy ul. Wileńskiej 7 Janusz Strachocki otworzył w mieszkaniu szkołę weterynarii. Nim brzegi Warszawy zostały połączone przez łódzie, nazywane szumnie tramwajem wodnym, oraz przez pierwszy drewniany most zbudowany przez saperów u wylotu Ratuszowej, mieszkańcy przechodzili przez Wisłę, która zamarzła bodaj po raz pierwszy od ponad stu lat. Od 3 marca działał Teatr Powszechny przy Szwedzkiej, a od 7 marca pociągi odjeżdżały już z Dworca Wileńskiego. Jednak na pierwszy pociąg elektryczny z Dworca Wschodniego do Otwocka trzeba była czekać aż do 14 lipca 1946 r. A 16 marca z prywatnego mieszkania przy Targowej zaczęła nadawać warszawska Rozgłośnia Polskiego Radia, zaś 19 kwietnia ruszyły pierwsze stałe połączenia z Pragi na plac Narutowicza. Były to początkowo zwykłe ciężarówki z platformami przystosowanymi do przewożenia pasażerów. Pierwszy tramwaj ruszył dopiero 20 czerwca. Jechał od pętli przy Kawęczyńskiej do Wiatracznej. 29 czerwca druga linia tramwaju połączyła Dworzec Wschodni z Gocławkiem. Jak czytamy w książce *Warszawskie tramwaje elektryczne 1908-1998* (red. A. Bojanowski), już 1 sierpnia 1944 r., po otrzymaniu o godz. 13 nakazu, aby w ciągu godziny wstrzymać ruch tramwajowy, ówczesny dyrektor tramwajów Kozłowski polecił niezwłoczne przeprowadzenie przez mosty na Pragę jak największej liczby wagonów tramwajowych. Dzięki



Most pontonowy na Wiśle, 1945 r., fot. Zofia Chomętowska

temu sporo wagonów przetrwało wojnę. Zniszczona za to została zajezdnia przy ul. Kawęczyńskiej 16. Do odgruzowywania jej już we wrześniu 1944 r. przystąpili tramwajarze. Jednak jesienią 1944 r. część zabudowań zajezdni zajmowało wojsko.

6 czerwca 1945 r. odrodził się bazar Różyckiego przy Targowej. Tego dnia otwarto aż 200 nowych budek. Zdały się tworzyć gęsto zabudowane miasteczko pełne towarów, krzyków, przekupniów i tłumów kupujących. W dziejach bazaru tego dnia zaczynał się złoty okres, który w gruncie rzeczy trwał aż do schyłku lat 80. XX w. Im bardziej w PRL-u szwankował handel uspołeczniony, tym większego znaczenia nabierał bazar Różyckiego. Nic nie trzeba było tu zmieniać. Ludzi i tak przychodzili, masowo kupując to, czego nie można było nabyć w oficjalnych sklepach.

Odrodzenie się bazaru w 1945 r. zaowocowało powstaniem jeszcze jednej, bardzo specyficznej instytucji. Był nią bar Zakąski. Ulokował się w częściowo zniszczonym budynku przy ul. Targowej 68. Jego założycielem był jeden z braci Hirszfeldów. Przed wojną Hirszfeldowie byli potentatami, ich nowoczesnie urządzone delikatesy, rozsiane w różnych punktach Śródmieścia, konkurowały z delikatesami braci Pakulskich. Na rzesze amatorów czekały różnego rodzaju wyroby garmażeryjne czy sandwichy od Hirszfeldów. Teraz było biedniej, ale Hirszfeld, który otwierał Zakąskę wraz z żoną, nadal był zwolennikiem nowoczesnej organizacji handlu. W gruncie rzeczy odtwarzał przedwojnie, patrząc jednocześnie w przyszłość. Zakąska na Pradze była prawdziwie nowoczesnym lokalem o charakterze baru szybkiej obsługi. Bliskim lokalom w Zachodniej Europie, niemającym

w sobie nic z siermięgi, jaka miała nadejść wraz z bitwą o handel u schyłku lat 40. XX w. Jak czytamy w książce Wiernickiego: „przy bufecie za szklanym blatem, pod którym znajdowały się przekąski zimne, siedzieli goście na wysokich, barowych stolikach. Ściany obłożone były lustrami, a pod sufitem wisiały żyrandole oświetlające ostrym światłem cały lokal. Niektórzy klienci, pijąc alkohol już o godz. 11 rano, odnosili wrażenie, że zbliża się północ. Hirszfeld znał dobrze psychikę gości knajpiarskich. Gabloty bufetu wypełniały półmiski i tace z różnorakimi apetycznymi kanapkami, reszta – to bogaty wybór ryb, jak karp, lin, szczupak, łosoś, węgorz, głównie wędzony, najprzeróżniejsze zimne mięsa, platy cielęciny,

połędwicy wołowej i pieczeni. Na niewielkich talerzach podawano na gorąco baranie *ragoût*, kielbasę pieczoną, serdelki, parówki i flaki zapiekane z tartą bułką w kamiennych kokilkach”. Czytając ten opis, trudno doprawdy uwierzyć, że Warszawa leżała w ruinach, zaledwie kilka miesięcy wcześniej trwało jeszcze Powstanie Warszawskie, a na Pragę wkroczyła Armia Czerwona wraz z całym komunistycznym systemem opresji. Zaledwie dwa miesiące wcześniej skapitulowały Niemcy, zaś w zwycięskiej Anglii nadal obowiązywały kartki na żywność.

W Zakąsce w drugiej połowie 1945 r. jadała niemal cała ówczesna Warszawa. Wszyscy, którzy mieli jakieś pieniądze. Byli to zarówno urzędnicy kolejowi z gmachu przy Targowej, różni pracownicy i funkcjonariusze „lubelskich” urzędów państwowych, ale też cinkciarze z Żąbkowskiej, właściciele sklepów powstających jak grzyby po deszczu czy choćby przedsiębiorcy budowlani zarabiający krocie przy odgruzowywaniu stolicy. Wreszcie nie mogło pomiędzy nimi zabraknąć tajniaków z posterunku milicji na Cyryla i Metodego czy ubeków z katowni u zbiegu Środkowej i Strzeleckiej. „Trzeba było uważać na to, co się mówi i z kim rozmawia. Największy galimatias panował wówczas, gdy sprytny i inteligentny barman [Walenty Kędziorek] zaczął tytułować różnych cywilnych gości a to kapitanem, a to majorem, czasem nawet pułkownikiem. Nikt już wówczas nie wiedział, z kim naprawdę rozmawia i kto jest kto. Trzeba przyznać, że styl ten utrzymał się w knajpach powojennych dość długo” – czytamy w książce Wiernickiego.

Mapa knajp i restauracji stołecznej Pragi była jednak bogatsza. Wiele knajp powstało długo przed wojną, inne wyrastały po styczniu 1945 r. I tak, na rogu Wileńskiej i Inżynierskiej egzystowała knajpa A’la Hawełka, ➔

przy ulicy 11 Listopada restauracja Woźniaka, na rogu Wileńskiej i Zaokopowej restauracja znana ponoć z bilardów. Z kolei przy ul. Targowej 19 był bar Winkol Ciborowskich. Zdaniem Wiernickiego specjalnością Winkolu były kanapki z taternem, kawiozem i królewskim śledziem oraz minogi.

Trzeba wspomnieć o jeszcze jednym praskim lokalu, otwartym w 1945 r. Był to bar Oaza [czytaj także w STOLICY nr 11-12/2024], mieszczący się w kamienicy z 1914 r. przy ul. Targowej 32. Zapewne bywalcem Oazy był przedsiębiorca budowlany i kolekcjoner dzieł sztuki Władysław Płachciński, którego wspomnienia gastronomiczne opublikował Wiernicki w książce *Wspomnienia o warszawskich knajpach*. Obok kawioru czy śledzi matjasów specjalnością zakładu były kotlety *de volaille*. I tutaj „dyżurowali” tajniacy z urzędu bezpieczeństwa. A mieli kogo podsłuchiwać. Wśród gości było wielu handlarzy z pobliskiego Różyca. Spotykano też przedwojennych sportowców, „którzy mimo iż początkowo pili niewiele, mieli jednak powoli coraz większe zamiłowanie do alkoholu, aż wreszcie niektórzy stali się ofiarami nałogu”. Stałym klientem Oazy był Antoni Kolczyński „Kolka”, były olimpijczyk i mistrz Europy w boksie. W Polsce lat 30. XX w., kochającej się w boksie, był wielką sławą. Przeżycia okupacyjne złamały mu karierę. Po wojnie nie odzyskał dawnej formy, choć brał udział w różnych międzynarodowych zawodach sportowych, a zaraz po zakończeniu wojny zdobył mistrzostwa Polski. „Asystował mu najczęściej bramkarz piłkarski – Rudnicki. Kolczyńskiego i innych znanych sportowców rozpijali goście biorący sobie za punkt honoru spełnienie toastu ze znanym człowiekiem. Niektórzy klienci chcieli użyć Tolka do załatwienia osobistych porachunków, na co on się nie godził, nawet za obiecujące spore pieniądze” – czytamy u Wiernickiego.

Zamiast Zachwatowicza Piotrowski, zamiast Spychalskiego Tołwiński

Jan Zachwatowicz Biurem Odbudowy Stolicy kierował przez kilka tygodni, stworzył jednak fundamenty jego działalności. W pierwszych miesiącach swego istnienia BOS skupiał 300 inżynierów i architektów. Już na początku lutego 1945 r., kiedy w stolicy ulokował się rząd PKWN, z Krakowa do Warszawy przyjechał Roman Piotrowski. Jak wspominał Zachwatowicz, miał on w kieszeni sądową nominację na stanowisko kierownika Biura Odbudowy Stolicy. Na jego mocy oficjalnie przejął od Zachwatowicza kierowanie BOS-em. Swoimi zastępcami mianował Józefa Sigalina i Witolda Plapisa (późniejszego kierownika Zakładu Architektury Krajobrazu i współtwórcę Kampinoskiego Parku Narodowego).

Wprawdzie Zachwatowicz był predestynowany do kierowania Biurem Odbudowy Stolicy, jednak był apolityczny, związany z polskim państwem podziemnym,



całkowicie oddany sprawie odbudowy Warszawy, zbyt przywiązany do tradycji i przedwojennego obrazu miasta. Nie dziwi zatem zastąpienie go na stanowisku szefa BOS przez Romana Piotrowskiego. Ten przedwojenny architekt, związany z awangardową grupą Praesens, potem zaś architekt „dworski Zakładu Ubezpieczeń Społecznych (autor m.in. luksusowego gmachu biurowo-mieszkalnego Zakładu Ubezpieczeń Społecznych przy ulicy 10 Lutego w Gdyni), w odpowiednim momencie wstąpił do Polskiej Partii Robotniczej. Z punktu widzenia władz komunistycznych ta nominacja była racjonalna. Piotrowski gwarantował przebudowę miasta zgodną z wizją ludzi narzucających Polsce nowy ustrój” – przekonuje historyk Tomasz Markiewicz. Niedługo po przybyciu Romana Piotrowskiego Jan Zachwatowicz, w marcu 1945 r., został szefem jednego z kilku wydziałów tworzących strukturę BOS-u. Był to Wydział Architektury Zabytkowej (AZ). Miał nie tylko skupiać architektów, konserwatorów i historyków sztuki, lecz także być rodzajem urzędu. Architekt Bohdan Lachert objął kierownictwo Wydziału Architektury, Jan Chmielewski – Wydziału Urbanistyki, Stanisław Michotek – Planowania Gospodarczego, Witold Plapis – Inwentaryzacji i Statystyki.

Niebawem nastąpiła też zmiana na stanowisku prezydenta Warszawy. Spychalski został odwołany, a jego miejsce 5 marca 1945 r. zajął Stanisław Tołwiński, poseł do KRN. Dwa miesiące później zakończyła się wojna, a odbudowa i przebudowa Warszawy zaczęły nabierać wielkiego tempa.

Dekret na jednej kartce

Na zakończenie wspomnijmy pokrótce o dwóch aktach prawnych z 1945 r., których konsekwencje odczuwane są do dziś. 26 października 1945 r. jednym aktem prawnym nowa władza odebrała w Warszawie prywatną własność gruntów, przekazując ponad 40 tys. posesji gminie. Był to jeden z pierwszych etapów stalinizacji kraju. „Dekret niniejszy wchodzi w życie z dniem ogłoszenia” – mówił artykuł 12. Cały tekst *Dekretu o własności i użytkowaniu*



Brygady odgruzowujące Warszawę, 1945 r., fot. Zofia Chomętowska

gruntów na obszarze m.st. Warszawy (zwanego dekretem Bieruta) jest krótki, klarowny i wyraźnie napisany przez dobrych, „przedwojennych” prawników. Mieścił się na jednej stronie maszynopisu. Inny z artykułów omawiał: „Wszelkie grunty na obszarze m.st. Warszawy przechodzą z dniem wejścia w życie niniejszego dekretu na własność gminy m.st. Warszawy”. Opublikowano go w Dzienniku Ustaw 21 listopada 1945 r.

„Gnieździliśmy się wtedy w kamienicy przy Stalowej na Pradze z kilkoma innymi rodzinami. Pamiętam, jak jeden z naszych sąsiadów ze stoickim spokojem mówił do mamy, że teraz to już stracił wszystko. Przed wojną oszczędności zainwestował w kamienicę gdzieś na Powiślu. Została zburzona, liczył, że jak znajdzie współników, to ją odbuduje. Teraz tę nadzieję stracił” – opowiadała mi pani Danuta. Komunalizacja gruntów w stolicy do dziś budzi niejednoznaczne oceny. Nie brak obrońców dekretu Bieruta, przekonujących, że bez odebrania właścicielom gruntów miasto nie byłoby odbudowane. Trudno się nie zgodzić z ich argumentacją w przypadku odbudowy zniszczonych, centralnych części miasta. Bez komunalizacji gruntów ciężko byłoby w ogóle myśleć o odbudowie kompletnie zniszczonego Muranowa. Domy były tu zrównane z ziemią, a większość żydowskich właścicieli wymordowana przez Niemców do 1943 r.

Ciężko jednak uzasadnić odbieranie własności gruntu na mało zniszczonej Pradze czy w dzielnicach powstałych w latach międzywojennych. Nie wymagały one przekształceń urbanistycznych, a stojące tu budynki były stosunkowo łatwe do odbudowy. Wracający do nich mieszkańcy dość szybko podejmowali remonty. „Nasz dom na Żoliborzu przy Fortecznej został zaraz po wojnie rozszabrowany. Złodzieje wyrwali nawet podłogi. Mój ojciec wrócił jednak do budynku i go wyremontował wraz z przyjacielem z obozu w Auschwitz Zbigniewem Poredą” – opowiadał mi Piotr Rodowicz. W podobny sposób odbudowywały swoje życie tysiące warszawiaków w 1945 r. Wracający do Warszawy mieszkańcy Kolonii Staszica na Ochocie zastali domy spalone, ale nadające

się do odbudowy. Remontowali je nielegalnie. Na odbudowę nie godzili się urbanisci z Biura Odbudowy Stolicy. W miejscu Kolonii Staszica, jednym z symboli Warszawy lat 20., urbanisci planowali urządzenie „terenów zielonych”. Dopiero w początku października BOS zgodził się, by te „burżuazyjne” wille i szeregowce można było tymczasowo odbudować – z zastrzeżeniem, że w przyszłości zostaną zburzone. To w tym czasie Bolesław Bierut podpisał dekret komunalizujący grunty w całym mieście. Właściciele ziemi pod wille i domy w Kolonii Staszica teraz mieli być tylko ich dzierżawcami lub użytkownikami. Ten drobny w skali odbudowy incydent ukazywał absurdalność wielu ówczesnych pomysłów urbanistów pracujących w Biurze Odbudowy Stolicy, dążących do totalnego przekształcenia odbudowywanej Warszawy. Zamiana w park łatwej do odbudowy dzielnicy, z przemysłaną siecią uliczek, placów i chętnymi do odbudowy właścicielami była utopią, możliwą jedynie w warunkach całkowitej komunalizacji gruntów.

Jeszcze przed końcem 1945 r. uchwalono kolejny dekret. Stał się on na wiele dekad udręką dla właściciela niejednego mieszkania. To dekret z 21 grudnia 1945 r. o publicznej gospodarce lokalami i kontroli najmu. Wprowadzał on przymusowy kwaterunek. Wraz z jego wprowadzeniem wiele ocalałych mieszkań w kamienicach zamieniło się w zamieszkałe przez wiele rodzin „kołchozy”, ze wspólnymi korytarzem, łazienką i kuchnią.

Dekret Bieruta sprawił, że zarówno przed władzą komunistyczną planującą budowę nowego świata, jak też przed urbanistami i architektami otwierała się niczym nieskrępowana możliwość nowego kształtowania miasta, wbrew jego skali i tradycji. Mogli poczuć się demiurgami – podobnie jak Bolesław Bierut. Z czasem sam zaczął kreować się on na mecenas, który, podobnie jak inni dyktatorzy, czuł nad przebudową swojej stolicy. 📌

RADA MIASTA USTANOWIŁA ROK 2025 ROKIEM 80. ROCZNICY ROZPOCZĘCIA ODBUDOWY

Wydany 24 maja 1945 r. dekret o odbudowie Warszawy był początkiem długiego, złożonego i wymagającego wielkich nakładów pracy i środków finansowych procesu. Kluczowa rola należała do powołanego kilka miesięcy wcześniej Biura Odbudowy Stolicy, w którym pracowało ok. 1,5 tys. architektów, planistów, specjalistów w zakresie konserwacji zabytków. Projektowano nowe gmachy, odbudowywano Stare i Nowe Miasto, Trakt Królewski, Łazienki i inne historyczne ważne dla stolicy obiekty. W związku z upamiętnieniem rocznicy odbudowy Warszawy czeka na nas wiele wydarzeń artystycznych, kulturalnych i naukowych.

Przeżyć wojnę

Fragment książki *Dziewczyny wojenne. Opowieści o zwykłym bohaterstwie* Łukasza Modelskiego, która ukaże się wkrótce nakładem wydawnictwa Replika.

[...] Poszłam zamykać. Patrzę – jakieś dwa tobołki leżą, myślałam, że coś nam przerzucili. Ze strachu zamknęłam furtkę i przyglądałam się bliżej – z tobołków patrzył na mnie oczka. Widzę – dwoje żydowskich dzieci, jedno małe, drugie trochę większe. Typowy wygląd. Pytam: „Co wy tu robicie?”. „Mama nas zostawiła i powiedziała, że dobrzy ludzie się nami zaopiekują”, słyszę. [...] Zawszone, brudne, uciekły z getta. Ich ojca zastrzelili Niemcy, a matka z tymi małymi dziećmi przysłała pieszo z Warszawy do Otwocka. Były zagłodzone, wyglądały na znacznie młodsze niż w rzeczywistości. Umyłam je, ogoliłam do łysa, ubrałam, położyłam spać. Myślę – muszę czekać, aż ktoś przyjdzie od męża, zameldować o nich, dowiedzieć się, co dalej. Rano ktoś puka do drzwi, ale tak delikatnie, czyli nie Niemcy. Pytam kto, słyszę: „Mam boczek do sprzedania”. Kobieta w chuście z typowo żydowskim nosem. Mówię: „Pani pewnie dzieci szuka?”, a ona klap – zemdlą na korytarzu. Kiedy się ocknęła, powiedziała, że zemdlą z głodu, od trzech dni nic nie jadła. Umówiliśmy się, że ona będzie przez dzień chodzić handlować i jakoś się ukrywać, a przed godziną policyjną będzie przychodzić do mnie i nocować z dziećmi. I tak było przez prawie dwa lata. Dzieci były tak nauczone, że jak tylko ktoś pukał, to one już były w swoich kryjówkach. U mnie miały taką deskę, za którą były schowki na broń i na gazetki.

[...]

Halina i Lech przechowują Spielreinów do lata 1944 roku. Przez cały ten czas prowadzą normalną działalność konspiracyjną. Zwiększa się ilość broni przerzucanej do lasów w związku akcją „Burza”. Wojska sowieckie podchodzą do Praги, w Otwocku nie ma już Niemców. Zbliża się powstanie.

Od dawna mówiło się o powstaniu. Miałam nawet przydział – miałam być noszową. W lipcu rzadko bywaliśmy w Otwocku, produkcja i transporty broni bardzo się nasiliły. Pracowałam w jakimś punkcie przerzutowym na Pradze. Pod koniec lipca pojechaliśmy do Otwocka, żeby wypuścić Żydów, zabrać broń i pieniądze. I już nas Rosjanie nie przepuścili przez Świder. W tym czasie pani Spielreinowa dostała wiadomość, że jej kuzynka w Łodzi się uratowała i że może przyjechać do niej z dziećmi.



Dwudziestoletnia Halina Rajewska, Szczepieszyn, 1941 r.

Zostawiła mi kartkę z adresem, że jedzie, dziękuje, niech Bóg prowadzi, piękny list. Że jakbym miała jakieś potrzeby, to zawsze mogę na nią liczyć i mam przyjeżdżać do niej do Łodzi. I pojechała z dziećmi. A Leszek poszedł na wojnę. Bardzo na niego byłam rozżalona. Był w konspiracji porucznikiem, ujawnił się i zgłosił do Berlinga. Swojemu dowódcy powiedział, że idzie na odsiecz Warszawie. Dostał pozwolenie. Bardzo wielu wtedy poszło, z Leszkiem jeszcze trzech – wszyscy oficerowie, wszyscy z AK. Poszli do RUKU, dostali mundury. Leszek posłał do Lublina – tam stało Wojsko Polskie i przyjmowali żołnierzy „na odsiecz Warszawie”. Przez dwa miesiące był nawet dowódcą kompanii... Nie chciałam, żeby szedł. Powiedziałam mu: „Nie wracaj już, ja cię nie chcę, rozwód biorę”. Mówiłam poważnie, że jeśli pójdzie do wojska, nie ma po co wracać. Poszedł. Przez jakiś czas przysyłał mi paczki, kielbasę. I w listach pisał: „Jeszcze twój”. Aż listy przestały przychodzić. Leszek przestał się ze mną kontaktować. Któregoś dnia ktoś dotarł do mnie z informacją, że Leszek aresztowali. Dał znać, że siedzi pod Lublinem w obozie. Tylko tyle. Pojechałam go szukać, sprawdzić, czy uda się go jakoś wyciągnąć. W Lublinie okazało się, że wojsko poszło już na front, że o żadnym obozie nie słyszeli. O Leszku nic nie wiadomo. Nie wiedziałam, co robić, gdzie szukać. Poszłam do kościoła się pomodlić. Wychodzę i wpadam na jakąś lubliniankę: „Jak leziesz, wpadasz na ludzi!”, ona do mnie z pyskiem. Ja na to: „Jakby pani męża aresztowali i pani nie wiedziałaby, gdzie jest, też by pani wpadała na ludzi”. Zaraz zmieniła ton: „A pani wie, tu siedzą niedaleko, w Lubartowie, zaraz za Lublinem. Niech pani jedzie, tu jest taki autobus. Niech pani sobie zrobi małą paczkę – powie pani, że chce oddać mężowi, jak przyjmą, to znaczy, że on tam jest”. I rzeczywiście zrobiłam taką paczkę, pojechałam, oddałam. Za chwilę słyszę z okna zakratowanego, zza drutów kolczastych: „Haluś, Haluś,

skąd wiesz, że ja tu jestem? Przyślij mi buty, bieliznę, bo nie mam na zmianę”. Tak gadaliśmy przez płot. Widziałam go przez kraty. Pojechałam do domu, uszykowałam dużą paczkę i z powrotem do Lubartowa. Przyjeżdżam, widzę, że stoi warta. I zaraz: „Co pani tu robi?”. „Do męża przysłałam z paczką”. Zabrali mnie do jakiegoś małego pokoiku, potem przyszedł jakiś starszyzna rurski. Mówię, że mąż tutaj jest i nie wiem, dlaczego mnie zamknęli, ja nic nie robiłam, stałam grzecznie i czekałam. Rurski powiedział mi, że męża nie ma, wywieźli go wczoraj, a dokąd to nie wie. Puścili mnie. Od ludzi dowiedziałam się, że w takich wagonach bydłych wywozili. Do Rosji. Jakaś pani mówiła, że bardzo dużo kartek wyrzucali przez okno. Inna pani powiedziała, że ma w domu cały plik tych kartek i chce je rozszyfrować i poodsyłać. Poszłam z nią. I znalazłam kartkę od Lecha. „Jesteśmy aresztowani, jedziemy do Rosji, nie wiadomo, czy nie spełnią się twoje marzenia o rozwodzie. Na razie cię całuję”. Jeszcze do niedawna miałam tę kartkę, ale gdzieś się zapodziała.

Halina traci kontakt z mężem. Nie wie, dokąd go wywieziono. Lech najpierw trafił na daleką północ, do wyrębu lasów, co kilka miesięcy jest przerzucany z jednego obozu do drugiego. Potem, dzięki znajomościom i szczęściu, trafił do Odessy. Kończy się wojna.

Raz tylko przyszedł list do mojej teściowej: „Kochana mamo, całuję cię, bardzo mi jest dobrze. Leszek”. Doszedł jeden jedyny list. Wolno im było pisać dwa razy w miesiącu – żadna inna wiadomość nie dotarła. Zaczęłam pracować w Biurze Odbudowy Stolicy. Na Pradze. Bywał tam Jaruzelski. Któregoś dnia poszłam

Fotografia wykonana tuż przed ślubem Haliny i Lecha. Państwo młodzi z prawej. Szczepieszyn, 1941 r.



do kierownika i powiedziałam, że chcę się zobaczyć z Jaruzelskim. Ciągłe mówiło się, że gdzieś tam rozstrzelali kilku, tam rozstrzelali cały transport. Chciałam ściągnąć Leszka, nie wiedziałam, gdzie jest. Poszłam do Jaruzelskiego, on – że nic nie może zrobić, że jego adiutanta też aresztowali, żeby w ogóle się nie starać, bo nic się nie da zrobić...

Zaraz jak w 1945 roku otworzyli Warszawę, wróciłam do miasta. Z bratem zaczęliśmy znów robić wody kolońskie i pasty do zębów dla wojska. Mieszkaliśmy na Ogrodowej, a brat miał mieszkanie

na Woli, za sądami. Wszystko było zwalone doszczętnie, jeden gruz. Brat mieszkał na trzecim piętrze. Gruzy sięgały właśnie trzeciego piętra, do jedynego okna, które było z szybą. Z czterech pokoi ocalał jeden – z drzwiami, z oknem z szybami. Po gruzach weszłam do środka, a tam łóżko rozścielone, meble brata, gabinet, szklanka po kawie na stole. A na gruzach pod oknem był mój krzyż z Panem Jezusem. Weszłam na te gruzy, wzięłam ten krzyż i do dzisiaj noszę. Po pięciu latach wrócił Leszek. Odnalazł mnie. Ważył trzydzieści dziewięć kilo. Cały w czyrakach. Od razu do lekarza. Trzymałam go w domu tak długo, aż wyleczyłam. Potem postarałam się dla niego o pracę biletera w kinie Polonia. Ponieważ znał cztery języki, dostał się na handel zagraniczny. Potem pracował w Animeksie. Kupiliśmy mieszkanie na Mokotowskiej, urodziłam córkę, mam dwie wnuczki... Mój zięć pracował w Locie. Na początku lat 80. został wysłany do Sydney – miał przygotowywać połączenie lotnicze Sydney-Warszawa. Na gwiazdkę '81 dzieci zaprosiły nas do Australii. Moja wnuczka była wtedy mała, opiekowała się nią trochę „ciocia” Wandzia, sąsiadka, Żydówka, która wyemigrowała z Polski. Kiedy przylecieliśmy, przyszła „zobaczyć kogoś z kraju”. Zaczęliśmy opowiadać, padło moje nazwisko. A ona: „Wittig? A może Lech?”. Tak. „Halina?”. Tak. „No to przecież uratowała pani moją szwagierkę z dziećmi. Oni są w Melbourne, my w Sydney”. Pojechała z moim mężem do Melbourne. I tam Leszek spotkał się z tymi dorosłymi już dziećmi. Nazajutrz Basia zostawiła rodzinę, wsiadła w samolot i przyleciała do mnie do Sydney. Ich matka, która zmarła dwa miesiące wcześniej, podobno ciągle im powtarzała: „Pamiętajcie, że uratowali was Lech i Halina Wittigowie”.

Halina Wittig mieszkała w Warszawie, zmarła w 2013 roku, w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat. Lech zmarł dwadzieścia trzy lata wcześniej. W 1987 roku obydwie zostali uhonorowani tytułem „Sprawiedliwych wśród Narodów Świata”. W 2009 roku Halina otrzymała Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski [...]



Rzeczy utracone

O dziełach sztuki i kolekcjach, które stracili w czasie wojny zwykli warszawiacy, Tatiane Hardej opowiada Mariusz Klarecki, autor książki *Zrabowana Warszawa*

Czy przedwojenna Warszawa była zasobna w dzieła sztuki?

Kultura materialna Warszawy przed II wojną światową była znacznie wyższa, niż nam się wydaje. Ludzie mieli w mieszkaniach i obrazy, i ryciny, i akwarele, nie mówiąc o meblach czy rzemiośle artystycznym – to był standard w każdym inteligenckim domu. Trzeba też wspomnieć o pamiątkach rodzinnych. Nie wydawały się niczym niezwykłym portrety przodków, począwszy od XVII w., czy pamiątki po przodkach, którzy brali udział w wyprawie na Wiedeń – ktoś przywiózł stamtąd ołtarzyk, ktoś szabłą, inny ryngraf. Pewna kobieta miała archiwum dotyczące bitwy pod Grunwaldem, ale były też rzeczy pozornie banalne, np. kromka czerstwego chleba – pamiątka po dziadku, który przetrwał oblężenie Paryża.

Skąd wiemy, co zginęło?

Zachowały się kwestionariusze rejestracyjne Wydziału Strat Wojennych Zarządu Miasta, wypełniane obowiązkowo przez osoby, które wracały do Warszawy po wojnie – ok. 100 tys. dokumentów, niecałe 50 metrów

bieżących akt, od których włos się jeży. Każda rodzina musiała złożyć taki kwestionariusz i wpisać do niego wszystko, co zginęło – od radia, przez szcztokę do zamiatania, po węgiel. Aż 1686 przypadków dotyczyło utraty dzieł sztuki lub innych kolekcji.

Czy możemy mieć pewność, że w kwestionariuszach zostały umieszczone prawdziwe informacje?

Ci ludzie ponosili odpowiedzialność karną za złożenie fałszywego zeznania. Tylko tyle i aż tyle. Natomiast żeby zweryfikować dane dotyczące utraconych zbiorów artystycznych, zacząłem docierać do świadków, przeglądać dzienniki, relacje Niemców, niewydane pamiętniki, często pisane na karteczkach ołówkiem w piwnicy w czasie Powstania Warszawskiego. Wyłowilem czasem po 1-2 zdania i tę swoistą „książkę telefoniczną”, którą uzyskałem z kwestionariuszy, uzupełniłem o opowieść.

W kwestionariuszach należało nie tylko wykazać poniesioną stratę, lecz także ją wycenić. To już było bardzo trudne i subiektywne, zwłaszcza że dotyczyło też właśnie dzieł sztuki czy np. utraty bliskich.

Czemu to miało służyć?

Jest taka zasada, że zawsze po wojnie robi się najpierw wycenę strat, a dopiero później się działa. Tym właśnie zajmował się Wydział Strat Wojennych Zarządu Miasta.

Wymienione w kwestionariuszach rzeczy zostały zniszczone? Skradzione?

Ludzie piszą: utracone. Nie wiedzą, co się stało. Wiedzą, że wygnali ich Niemcy, a kiedy wrócili, mieszkanie było puste. Zeznają przykładowo, że na miejscu zastali tylko pogięty garnek, a przed wojną mieli obrazy, stół, pierzynę... Poza Starym Miastem i Czerniakowem, które były kompletnie zniszczone, wręcz zmiażdżone, miasto zostało całkowicie splądrowane, a grabież często łączyła się z masakrą.

Na ile były to działania indywidualne, a na ile metodyczna akcja zakrojona na szeroką skalę?

Warszawa po Powstaniu została doszczętnie zrabowana. Do szabrowania wykorzystano kilka tysięcy pracowników przymusowych przywożonych z obozów. Szóstkami szli w ruiny, opróżniali – ulica po ulicy – każdą kamienicę. Niemcy decydowali: do tego samochodu tylko pierzyny, do tego tylko radia, do tego tylko obrazy. Ale były też wyjazdy specjalistyczne. Jest taka relacja, że ktoś przyjechał samochodem wyłożonym słomą i wybierał tylko artystyczną porcelanę. Niektóre historie są wstrząsające. Kiedy ludzie byli już zapakowani na Dworcu Zachodnim w pociąg do Pruszkowa, pewien oficer niemiecki krzyczał, że daruje wolność każdemu, kto ma znaczki poczty powstańczej. Kilka lat temu taka kolekcja znaczków powstańczych pojawiła się na aukcji niemieckiej i została kupiona przez Muzeum Powstania Warszawskiego. Można przypuszczać, że te fakty są ze sobą powiązane.

Jaka była skala tych działań?

Do połowy sierpnia 1944 r. odbywała się zupełnie dzika grabież. Żołnierze wpadali i zabierali, co się dało, szczególnie ci z ROA i RONA. Plądrowali domy, bili ludzi kolbami, gwałcili kobiety, zrywali kolczyki z uszu bez odpinania albo odcinali palce, jak ktoś za wolno zdejmował pierścionek. Chwalili się, że codziennie wysyłają po sześć walizek „pamiątek z Warszawy” do swoich rodzin.

Po połowie sierpnia 1944 r. Niemcy zorientowali się, że miasto jest bardzo zasobne, można z grabieży po prostu zrobić przemysł i tak wzbogacić Rzeszę. Karol Pędrowski, lekarz z powstańczego szpitala, pisał w pamiętniku, że dzień po kapitulacji Mokotowa w miasto wyszły tysiące żołnierzy. Poszli plądrować. Jeden ciągnął wózek z książkami z biblioteki, drugi prowadził krowę obwieszoną obrazami, inny niósł koszyk z kryształami... Domy ograbione podpalali. Na mapie krzyżykami oznaczali, co już spalili. Ciężarówkę wyładowanych zdobyczami było tak dużo, że na Woli tworzyły się korki. Na podstawie relacji można oszacować, że od chwili, kiedy Niemcy zaczęli metodycznie wywozić majątek Warszawy, w kierunku zachodnim wyjechało 85 tys. wagonów.

Warszawskie straty wiążą się tylko z czasem Powstania?

Mniej więcej 10 procent strat to jest wrzesień 1939 r. Drugi etap to okupacja i to – wbrew pozorom – też była znaczna wartość, zwłaszcza że dotyczyła także majątku żydowskiego. Żydzi to ¼ przedwojennej Warszawy, a w kwestionariuszach rejestracyjnych – raptem kilkanaście przypadków. To ci, którym udało się ocalać, tylko ci. Kilka kolekcji zostało też zniszczonych podczas bombardowań rosyjskich w czasie okupacji, samo Powstanie Warszawskie odpowiada za ok. 30 procent, a po Powstaniu już wszystko zostało metodycznie

Książkę Mariusza Klareckiego można bezpłatnie pobrać w wersji pdf ze strony MKiDN



zrabowane. Tak naprawdę w warszawskich domach nie zostało kompletnie nic.

Ludzie się tego nie spodziewali? Nie próbowali ukryć cennych przedmiotów?

To jest bardzo ciekawe. Wielu zamożniejszych warszawiaków miało majątki gdzieś na Mazowszu. Ci ludzie, nauczani doświadczeniem z czasów I wojny światowej, kiedy wszystkie starcia odbywały się na przedmieściach, przewozili kosztowności do Warszawy, bo liczyli na to, że miasto przetrwa. A tu było zupełnie odwrotnie.

Warszawa ucierpiała pod tym względem najbardziej?

Zdecydowanie, Warszawa i Gdańsk. W obu tych miastach wnętrza budynków, mieszkań po prostu przestały istnieć. Po wojnie została odbudowana architektura, natomiast bezpowrotnie straciliśmy wnętrza.

Czego najbardziej szkoda? Jakie straty związane ze sztuką wydają się najdotkliwsze dla miasta?

Najbardziej żał tego, co się wiąże z historią rodzin. Pewna kobieta miała np. cały cykl archiwaliów wykazujących jej związek z Tadeuszem Kościuszką – to zginęło. Ale zniknął też dorobek artystyczny wielu artystów warszawskich, takich jak Józef Rapacki czy Tadeusz Pruszkowski, którzy nie zdążyli szerzej zaistnieć, bo ich prace zostały zniszczone. Inną kwestią są straty o ogromnej wartości materialnej. Izabella Gelbard zeznała, że miała w domu kilka obrazów pierwszorzędnych impresjonistów. Z kolei *Pejzaż morski z okrętami* Willema van de Veldego st. ze zbiorów Rykaczewskich został skonfiskowany przez Niemców na rzecz przyszłego muzeum Hitlera w Linzu. To były rzeczy absolutnie bezcenne.

W tytule książki jest mowa o zbiorach i kolekcjach artystycznych. Co obejmowała ta druga kategoria?

Ludzie mieli czasem zadziwiające rzeczy. Kobieta na Pradze zgromadziła kolekcję skór dzikich zwierząt, zebranych z całego świata, m.in. tak egzotycznych, jak antylopy czy lwy. Ktoś inny zbierał kalendarzyki od XIX w. No oczywiście znaczki, numizmaty, poroża, modele okrętów, zielniki, karty do gry, minerały, motyle, owady. Pewien Żyd zbierał dzwonki dla służby, miał m.in. takie z XVI-XVII w. Są zdjęcia tej kolekcji, ale nie ma śladu po zbiorach ani po ich właścicielu.

Czy po latach da się oszacować wartość tych strat?

Zawsze bronię się przed podawaniem liczb. Wolałbym, żeby najpierw zwrócono nam to, co zostało skradzione.

Ludzie, z którymi Pan rozmawiał, nadal mają żywe poczucie straty?

Oni w czasie wojny mieli po kilka lat – co może zapamiętać siedmiolatek? 10-20 lat temu można by było usłyszeć



Władysław Michalski z synem, fot. z archiwum rodziny Michalskich, ilustracja z książki

jeszcze wiele historii, teraz już raczej nie ma z kim rozmawiać. Dlatego tak ważne są te relacje – ja je cytuję, nie parafrazuję.

Czy jakieś przedmioty udaje się odzyskiwać?

Cóż, prawda jest taka, że te rzeczy wyjechały z Polski głównie do domów prywatnych. Bardzo często potomkowie nie mają pojęcia, że to zostało zrabowane. Liczę, że ta książka przyczyni się do odzyskiwania zagrabionych dzieł sztuki. Kilka rzeczy już zostało rozpoznanych i procedura jest rozpoczęta. Szkoda tylko, że nie ma już tamtych warszawiaków. 📖

Mariusz Klarecki, *Zrabowana Warszawa. Straty w prywatnych zbiorach i artystycznych kolekcjach mieszkańców Warszawy w latach 1939-1945*, t. 1 i 2, wyd. MKiDN, Warszawa 2024

Za książkę *Zrabowana Warszawa. Straty w prywatnych zbiorach i artystycznych kolekcjach mieszkańców Warszawy w latach 1939-1945* Mariusz Klarecki otrzymał nagrodę KLIO I stopnia w kategorii Varsaviana w 2024 r.

Bezpieka kontra zmartwychwstanki

Bronisław Tumiłowicz

Chłopiec ma w głowie taki obrazek: jest bardzo śpiący, ledwo się trzyma na nogach, a mama ubiera go z uporem – zakłada mu spodnie, kurtkę, buty itd. Potem obrazek się zamazuje

Chłopiec – późniejszy autor niniejszego tekstu, dziś zupełnie już siwy mężczyzna – śpi potem smacznie na kolanach mamy, którą wieziono ciężarowym samochodem do Urzędu Bezpieczeństwa, w nieznane.

Szkolne lata mamy

Dopiero po 70 latach ów chłopiec dowie się, że był nieświadomym świadkiem represyjnej akcji politycznej o kryptonimie „X-2”. Mówią o tym akta zgromadzone w Instytucie Pamięci Narodowej, z których korzystało wielu autorów, ale wiedza o tym wydarzeniu wciąż nie jest upowszechniona, nawet w kręgach związanych z zakonem zmartwychwstanek. Zresztą i rozproszone źródła w zasobach IPN nie są zbyt precyzyjne. Jedne mówią, że akcja objęła tylko zakonnice z pięciu zgromadzeń, a wśród nich zmartwychwstanek nie było. W innych źródłach podaje się, że represje objęły aż 10 zakonów żeńskich.

Zacznijmy od początku. Zofia Tumiłowicz, moja mama, od dzieciństwa była związana ze zmartwychwstankami – zaczęła swoją edukację od trzeciej klasy w szkole podstawowej prowadzonej przez zakonnice tego zgromadzenia. Szkoła mieściła się w okazałym budynku przy ul. Krasińskiego 31 w Warszawie.

Okres szkolny dla siostr Tumiłowicz przypadł na czas reformy szkół średnich. Zmartwychwstanki prowadziły również Seminarium Nauczycielskie i jego uczennice, a potem absolwentki, praktykowały we wprowadzanych właśnie klasach gimnazjalnych. Tu nauka trwała cztery lata. Potem w szkole zgodnie z przepisami wprowadzono jeszcze dwuletnie liceum. Zosia i Hania zakończyły naukę egzaminem maturalnym. Moja mama została absolwentką liceum zmartwychwstanek podczas okupacji w 1943 r. Oczywiście liceum było prowadzone w systemie „tajnego nauczania”, bo formalnie

polskie szkoły nie miały prawa kształcić na poziomie średnim ani wyższym. W klasach na ul. Krasińskiego 31 działała zatem szkoła zawodowa ucząca dziewczęta szycia. Kiedy do szkoły wkraczała niemiecka inspekcja, nauczycielki kazały uczennicom wyciągać przybory do szycia, a chować podręczniki i zeszyty.

Mama już za okupacji zrobiła u siostr maturę i zaczęła studia na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. Zaliczyła cały pierwszy rok farmacji – to siostry zmartwychwstanki przez swoje kontakty nakierowały ją do zakonspirowanej uczelni.

Gdy po Powstaniu Warszawskim ludność cywilną stolicy wyprowadzono do Pruszkowa, gdzie był obóz przejściowy, kontakty z zakonnicami się zerwały, ale po zakończeniu wojny znów się odnowiły. Tym razem listownie. Zofia Tumiłowicz skończyła studia na Uniwersytecie Łódzkim, wyszła za męża, urodziła syna. Kiedy potomek podrośł, zdecydowała się wyjechać z nim na wczasy do jednego z domów zakonnych w górskiej okolicy. O tym, co się wtedy wydarzyło, nie mówiła zbyt często. Były to jakieś urywki wspomnień. Nocna interwencja służb, szybkie pakowanie się, wsiadanie do podstawionych pojazdów. Niepokój męża Zofii, czyli taty autora tego tekstu, co się stało z rodziną.

Tajna i niewygodna akcja „X-2”

Zacytujmy wyimki z opracowań materiałów zgromadzonych w Instytucie Pamięci Narodowej:

„3 sierpnia 1954 r. w nocy milicja wtargnęła do domów zakonnych. Zakonnicom pozwolono zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy i wywieziono je do obozów pracy w całej Polsce. Wysiedlono w ten sposób ok. 1300 siostr zakonnych z klasztorów na terenie województw: opolskiego, wrocławskiego i katowickiego, fałszywie oskarżając je o rewizjonizm niemiecki”.





W czasie okupacji zmartwychwstankom zezwolono jedynie na prowadzenie szkoły powszechnej, ale odbywało się tajne nauczanie, 1939 r.

„Okolo 1050-1060 sióstr z sześciu zakonów umieszczono w ośmiu obozach pracy utworzonych w klasztorach na terenie województw krakowskiego (dwa w Staniątkach, po jednym w Stadnikach i Wieliczce), poznańskiego (w Otorowie, Gostyniu i Kobylinie) oraz bydgoskiego (w Dębowej Łące), z których między 27 lipca a 2 sierpnia 1954 r. usunięto tamtejszych zakonników i zakonnice. Pozostałe okolo 240-250 sióstr z czterech zgromadzeń przesiedlono z placówek zakonnych do ich własnych centralnych domów wspólnotowych. Łącznie z zakonnicami wypędzonymi z klasztorów zamienionych na obozy pracy (ofiarami przymusowego wysiedlenia stały się m.in. siostry benedyktynki ze Staniątek) w ramach tej akcji, prowadzonej pod kryptonimem «X-2», represjonowano okolo 1430 sióstr zakonnych”.

„Akcja przesiedlenia i scentralizowania sióstr wpisywała się szerzej w walkę z zakonami i ogólną politykę władz komunistycznych wobec życia konsekrowanego w krajach bloku sowieckiego. Przeprowadzono ją w sposób zsynchronizowany, tego samego dnia, pomiędzy godz. 4.00 a 6.00. Odosobnienie sióstr rozpoczęło się z chwilą wkroczenia na teren placówek zakonnych tzw. trójek likwidacyjnych (lokalny sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, przewodniczący prezydium powiatowej rady narodowej, szef powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa)

i towarzyszących im osób. Wszystkie najważniejsze decyzje w sprawie akcji «X-2» podejmował premier Józef Cyrankiewicz. Całość operacji nadzorował wicedyrektor Wydziału ds. Wyznań Roman Darczewski. Decyzje w terenie podejmowali przewodniczący wojewódzkich rad narodowych”.

„Akcję przeprowadzono w dniach 27-29 lipca 1954 r., przesiedlając siostry do tzw. «klasztorów scentralizowanych», które utworzono poza Śląskiem, w klasztorach, z których wcześniej wysiedlono innych zakonników: w Stadnikach, Wieliczce, Otorowie, Kobylinie, Gostyniu, Dębowej Łące i dwa w Staniątkach. Akcja «X-2» wiązała się z przekonaniem, że zakony są szczególnie istotną i wyjątkowo trudną do złamania i podporządkowania władzy siłą w Kościele oraz że tworzą one swoiste grupy do zadań specjalnych”.

„Po likwidacji 323 placówek siostry przewieziono najpierw do tzw. ośrodków przejściowych, a stamtąd do docelowych miejsc odosobnienia. Przez pierwsze dwa miesiące (do końca września 1954 r.) państwo finansowało wyżywienie zakonnic oderwanych od źródeł zarobkowania i utrzymania. Jednocześnie władze przygotowywały się do tzw. produktywizacji izolowanych sióstr (nawiązanie do stereotypu o «bezproduktywności» zakonnic dla społeczeństwa). Dążono do przekształcenia

Archiwum autora

ośrodków internowania w samowystarczalne obiekty utrzymywane przez pracujące w nich zakonnice. W ramach akcji o kryptonimie «Z» (zatrudnienie) w miejscach odosobnienia sióstr utworzono szwalnię pod patronatem lokalnych spółdzielni odzieżowo-włókienniczych, w których zakonnice wykorzystywane były jako tania siła robocza pracująca dla państwa. Warunki pracy i sytuacja socjalno-bytowa zakonnic były bardzo trudne. W obozach pracy zmarły 24 siostry. Represją objęto ok. 1500 sióstr z 10 zgromadzeń. Ostatecznie udało się zgromadzeniom odzyskać jedynie 188 [placówek]. Domy te zresztą były często zdewastowane i w strasznym stanie”.

Jak widać z przytoczonych fragmentów opracowań, przedstawionych na Ogólnopolskiej Konferencji Historyków zajmujących się dziejami zakonów żeńskich, prowadzonej wokół 70. rocznicy akcji o kryptonimie „X-2”, opisy represji i samej akcji różnią się ze sobą w szczegółach. Nawet daty przeprowadzenia scentralizowanej wywózki zakonnic są w nich różne: raz to 3 sierpnia 1954 r., innym razem 27-29 lipca 1954 r. W różnych materiałach podawane są też rozmaite okoliczności tej akcji. Mowa jest np. o tym, że pukający nocą do drzwi domów zakonnych mieli przygotowane pisma przełożonych zgromadzeń zakonnych wyjaśniające konieczność „ewakuacji”. Pora nocna była podyktowana obawami przed reakcją okolicznej ludności. Niekiedy zakonnice wsadzano do autobusów oznakowanych *Wycieczka*, aby postronni niczego nie podejrzewali.

Autor niniejszego tekstu dotarł do doniesienia skierowanego do naczelnika Wydziału VI UB w Krakowie, wystawionego w Departamencie VI Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, odnoszącego się do jakichś wydarzeń z listopada 1953 r. w „placówce zgromadzenia zmartwychwstanków” w Stryśzowie na Ziemi Żywieckiej, na którym widnieje kryptonim „X-II”. W tym doniesieniu podane jest nazwisko kapelana sióstr ks. Bartkowskiego. Z innych dokumentów wiadomo, że chodzi o księdza Bronisława Bartkowskiego, który w klasztorze ss. zmartwychwstanków w Stryśzowie (Stryśzawie) był m.in. spowiednikiem mistyczki Kundusi (Kunegundy) Siwiec (1876-1955), bohaterki książki ks. Bartkowskiego pt. *Miejsce mojego miłosierdzia i odpoczynku*. Siostry zakonne pomagały wiejskim dziewczętom w zdobyciu dobrego wychowania i zawodu, służyły chorym i prowadziły świetlice

dla potrzebujących, przedszkole i dom dziecka. Nie jest wykluczone, że opisany na wstępie najazd na posesję sióstr zmartwychwstanków dotyczy właśnie Stryśzawy.

W czasie II wojny światowej w tym budynku klasztoru zmartwychwstanków funkcjonował posterunek niemieckiej straży granicznej. Po wojnie komunistyczne władze zakazały siostrze wychowawczej działalności. Później Stryśzawa-Siwcówka (od nazwiska Kundusi Siwiec) stała się sławna, bo ten dom zmartwychwstanków upatrzyli sobie w latach 60. na miejsce wypoczynku prymas Stefan Wyszyński i kard. Karol Wojtyła.

Nękać zakonnice

Dla nas interesujące są przede wszystkim trudne czasy stalinowskie w stolicy, kiedy komunistyczne państwo, prowadzące politykę wyznaniową na wzór radziecki, nie wahało się nękać zgromadzeń zakonnych, zwłaszcza od końca lat 40. Początkowo Departament V Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, na którego czele stała dyrektorka Julia Brystiger, starał się zebrać jak najwięcej informacji o zakonach. W archiwum IPN znajduje się notatka Departamentu V z grudnia 1949 r. nakazująca ustalić, które siostry przyjechały z Rzymu oraz które się tam wybierają i w jakich sprawach. Brzmi to jeszcze niewinnie. O kolejnym kroku informuje Departament V MBP „wiarygodne źródło” – „co tydzień lub 2 tygodnie przyjeżdża z Rzymu jedna z zakonnic zgromadzenia dla zbierania wiadomości, a po powrocie do Rzymu dzieli się nimi”. To już pachnie posądzeniem o szpiegostwo. Mimo to wyjazdy delegacji sióstr za granicę na konferencje Kapituły Generalnej Zmartwychwstanków odbywały się nadal. Czasem niektóre zakonnice wyjeżdżały na stałe – by zastąpić w „centrali” siostry zmarłe w czasie wojny. Departament miał adres Domu Głównego zgromadzenia przy Via Marcantonio

W 1948 r. gimnazjum zmartwychwstanków zamieniono na liceum



Colonna w Rzymie. Niektóre siostry wyjeżdżały do Rzymu „w celu pogłębienia swej wiedzy humanistycznej”. Jednak powoli pętla się zaciskała. 23 kwietnia 1949 r. na skutek orzeczenia kuratorium oświaty w Sopocie zamknięto prywatną Szkołę Podstawową Sióstr Zmartwychwstania Pańskiego w Wejherowie: „Cofnięcie uprawnień szkoły publicznej – szkoła przestała spełniać warunek przewidziany w paragrafie 2 rozporządzenia Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z 1936 r.” – brzmiało „orzeczenie”. Władze powoływały się zatem na przedwojenny przepis (i informowały, że decyzja jest ostateczna), choć oficjalnie krytykowały czasy sanacji.

Podobnie było w Warszawie. Choć po wojnie szybko podjęto starania o odbudowę zniszczonego w 80 procentach gmachu szkoły i już na początku 1946 r. uczennice mogły wrócić do budynku na Krasińskiego – otworzono przedszkole, szkołę powszechną i pierwsze klasy gimnazjum – to w 1949 r. władze zamknęły szkołę powszechną. Mimo starań sióstr i rodziców tej decyzji nie udało się wówczas zmienić.

Nadal działała jednak szkoła średnia sióstr zmartwychwstanków przy Krasińskiego, co było dla władz jak cierni, bo nie miały nad nią bezpośredniej kontroli. Zakon dysponował też dodatkową bursą dla uczennic przy ul. Mokotowskiej 55. Działania bezpieki koncentrowały się najpierw na zdobyciu dokładnej wiedzy o stanie posiadania zakonu i funkcjach poszczególnych obiektów. Później starano się sporządzić listy wszystkich zamieszkałych i zatrudnionych w danych obiektach. Szkoła zmartwychwstanków była wciąż pod ścisłą obserwacją. W archiwum IPN przechowywany jest wykaz świeckiego personelu Szkoły Ogólnokształcącej przy ul. Krasińskiego 31 z 1954 r. Aż dziewięć nauczycielek różnych przedmiotów nie było zakonnicami, co być może stwarzało

nadzieję skłonienia ich do informowania o tym, co się dzieje w tej placówce oświatowej. Ścisłe tajny raport z grudnia 1953 r. dotyczy próby zwerbowania byłej wychowanki wspomnianej szkoły, pracującej w Polskim Radiu. W dokumencie znalazło się stwierdzenie: „po linii zakonu nie posiadamy żadnego dotarcia agenturalnego. Jednak ze względu, iż zakon szkoli młodzież, należy zdobyć dotarcie agenturalne do poznania właściwej politycznej działalności i wpływów na młodzież. Zakon ten zapewne utrzymuje kontakty z byłymi wychowankami”. Jak podaje informator „Marek” z wydziału III Departamentu XI: „dwie zakonnice odwiedziły (kandydatkę na kontakt agenturalny) w miejscu pracy (czyli w Polskim Radiu)”. Z dalszych dokumentów dotyczących tej sprawy wynika, że osoby tej nie udało się zwerbować jako informatora. Próbę zwerbowania podjęto też w stosunku do dwóch studentek mieszkających w bursie przy ul. Mokotowskiej 55. Najpierw sprawdzono, czy są religijne i czy chodzą do kościoła. Wśród meldunków dla służb jest informacja o przechwyceniu paczki z USA (wciąż poszukiwano dowodów na szpiegostwo). Paczka zawierała „materiał nylonowy koloru białego”. To był wynik zamówienia na „opracowanie paczek zagranicznych” przychodzących do zmartwychwstanków. W 1953 r. coraz więcej jest dokumentów świadczących o poszukiwaniu informatora. Nagłówek dokumentu brzmi „Plan operacyjny na werbunek informatora” – i tu widnieje nazwisko kandydata, z którym ma być przeprowadzona wstępna rozmowa. Po rozmowie kandydat miał podpisać *Zobowiązanie*. Jego treść brzmiała: „Zostałam pouczona, że w razie ujawnienia treści rozmowy wobec osób trzecich, a także mojej rodzinie i ks. spowiednikowi, zostaną pociągnięta do odpowiedzialności karno-sądowej jako zdrada tajemnicy państwowej i sądzona będą przez sąd wojskowy”. Dokument ma datę 24 marca 1953 r.

Atmosferę tamtych trudnych lat oddają też wspomnienia byłych uczennic szkoły sióstr zmartwychwstanków. Przede wszystkim była to walka o przetrwanie szkoły, która musiała co roku starać się o przedłużenie praw:

„Klasa moja, zdająca maturę w 1951 r., była objęta jako pierwsza nowym systemem nauczania w tzw. 11-latce – wspomina na portalu internetowym szkoły E. Jaxa-Bykowska. – Ponieważ nie było wiadomo, czy szkoła otrzyma «prawa» i czy maturę będziemy zdawały z pięciu przedmiotów

(w tym z dwóch pisemnych), czy z jedenastu przedmiotów, to na dwa lata przed ukończeniem nauki prawie połowa uczennic odeszła do szkół państwowych, aby nie mieć kłopotów przy staraniu się na wyższe studia. Szykany szkoły zakonnej i jednocześnie uczennic polegały m.in. na tym, że nie udzielano wcześniej praw szkoły państwowej. Była to prawdziwa wojna nerwów. Uczennice zdające maturę w 1951 r. do ostatniej chwili nie wiedziały, z ilu przedmiotów będą musiały zdawać. Zawiadomienie o otrzymaniu praw nadeszło w ostatniej chwili, kiedy zasiadały one do egzaminu pisemnego z trzeciego przedmiotu”:

„Był to wspaniały Dzień Zwycięstwa. Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy w czasie lekcji matematyki w mojej klasie z hukiem otworzyły się drzwi i uczennica z klasy maturalnej zawołała od progu: «mamy prawa!», a my wszystkie łącznie z nauczycielką poderwałyśmy się z miejsc i pędem bez jednego słowa – bo wiedziałyśmy KOMU i gdzie mamy za to podziękować – pobiegłyśmy do kaplicy, która była chyba na pierwszym piętrze. Podobno i dzieci z przedszkola, słysząc powszechną radość, również zaczęły wołać «mamy prawa» – oczywiście nie rozumiejąc, o co chodzi”.

„Moja klasa w następnym roku szkolnym wiedziała o otrzymaniu praw trochę wcześniej. Osoba, która prowadziła o to starania przez wiele miesięcy czy tygodni, była siostra Angelina Kakietek – dyrektorka szkoły. Kiedy wracała z Ministerstwa Oświaty jak «zbity pies», z opuszczoną głową, wiedziałyśmy, że wraca bez pozytywnej odpowiedzi i mogłyśmy się tylko domyślać, ile znosiła tam upokorzeń. Odpierała. Ona również ataki władz partyjnych z dzielnicy, aby w szkole powstało koło ZMP”.

„Pamiętam także zebranie w sali gimnastycznej w obecności Siostry Angeliny i uczennic ze starszych klas. Dwóch panów rozpoczęło słowną agitację. Po jej zakończeniu głos zabrała Siostra Angelina – była to miażdżąca krytyka, mądra i przekonująca. A my uczennice dosłownie «rosłyśmy w górę» z dumy i radości, że mamy tak mądrą i wspaniałą dyrektorkę oraz wzór niezłomności do naśladowania w naszym dalszym, dorosłym życiu”.



Klasa licealna w szkole sióstr zmartwychwstanków, lata PRL

Już wówczas szkoła miała wprawdzie prawa państwowe, lecz komisja egzaminacyjna była głównie spoza szkoły. Siostry zakonne nie mogły zadawać pytań, nawet jeśli uczyły przedmiotów egzaminacyjnych.

Próby nacisków i zarzutów w pozornie spokojniejszych latach 60. też się pojawiały. Zachował się list z 1961 r. od naczelnika Komendy Milicji Obywatelskiej Warszawa Śródmieście informujący o rzekomym niezadowoleniu niektórych rodziców dziewcząt, którzy, płacąc 760 zł miesięcznie, nie uzyskują dla swych córek odpowiednich warunków bytowych, żywienia, ogrzewania, nawet oświetlenia w salach lekcyjnych i internatu. „Zależy nam na kontroli w liceum i internacie” – mieli napisać rodzice. Do szkoły przyszła inspekcja, przejrzała jadłospisy stołówek, przeanalizowała stawki żywieniowe, policzyła ilość węgla, drewna na opał, po czym stwierdziła, że nie ma podstaw do skarg na warunki pobytu uczennic.

Powrót do normalności

Minęła cała epoka. Szkoła Podstawowa i Liceum Sióstr Zmartwychwstanków w Warszawie przetrwały trudne lata. Wiele się zmieniło, dziś jest to placówka koedukacyjna, kształcąca chłopców i dziewczęta. Ale poziom i styl nauczania są nadal imponujące. W rankingu „Perspektyw” z roku na rok pojawiają się wyróżnienia dla placówki oświatowej zmartwychwstanków. 🌹

Bronisław Tumilowicz – dziennikarz, pracę rozpoczął w Redakcji Zagranicznej Polskiej Agencji Prasowej. Był związany z redakcjami czasopism, m.in. „Sztandar Młodych”, „Argumenty”, „Motor”, „Rynki Zagraniczne”, „Przegląd Tygodniowy”. W latach 1998-2002 był naczelnym miesięcznika „Życie Muzyczne”. Aktualnie związany jest z tygodnikiem „Przegląd”

Liceum żeńskie sióstr zmartwychwstanków w latach 30. XX w.



Tarczyn, kościół
parafialny,
barokowy obraz
Oczekiwanie na Marię
z ołtarza głównego
(ob. nieistniejący)
w kościele
archiopackim
cystersów w Lubiążu
na Dolnym
Śląsku, olej
na płótnie, 1681 r.,
wyk. Michael L.L.
Willmann z Lubiąża,
fot. z 2018 r.



Powojenne wędrowki dzieł sztuki

M. Wardzyński

Michał Wardzyński

W powszechnej opinii badaczy kultury i sztuki Warszawa i region Mazowsza były i wciąż są uznawane za obszary tak dalece doświadczone przez wielkie europejskie konflikty i klęski elementarne, że badania nad nimi muszą być obarczone wielkim nawiasem niedopowiedzenia, a niekiedy skazane na porażkę z powodu niewiedzy

Liczba warszawskich zabytków architektury i dzieł plastyki zniszczonych w trakcie wojen i kryzysów (znanych dziś tylko z ikonografii) albo translokowanych w rezultacie kasat placówek kościelnych i instytucji publicznych jest w porównaniu z innymi regionami kraju wyjątkowa. W ten sposób kolejne warstwy, rozdziały czy etapy rozwojowe kultury artystycznej wymieszały się. Obraz całości, ujęty w dotychczasowych kanonach historii sztuki i kultury materialnej, gmatwa dodatkowo warstwa najnowsza – zapomniana, w części niechciana i z pewnością niedoceniana. ➔

Warszawa-Wilanów, ogród pałacowy, taras dolny, późnobarokowa statua Ledy z ogrodu rezydencji hrabiów von Kospoth w Brzezince pod Oleśnicą, piaskowiec, lata 1724-1728, wyk. Johann Albrecht Siegwitz z Wrocławia, fot. z 2016 r.





Warszawa, katedra polowa Wojska Polskiego, boczny ołtarz Ukrzyżowania Pańskiego utworzony wtórnie na początku lat 60. XX w. z elementów późnobarokowej nastawy z ewangelicko-augsburskiego Kościoła Łaski w Kamiennej Górze, 1723 r., drewno iglaste i lipowe, polichromowane i złożone płatkowo i malarsko, wyk. Benjamin Gottlieb z Lubania

Z Ziem Odzyskanych na Mazowsze

W 1945 r. władze polskie przystąpiły do zabezpieczania dóbr kultury i sztuki na tzw. Ziemiach Odzyskanych, uprzedzając działania pacyfikacyjne i związane z nimi grabieże Armii Czerwonej. Dzięki wielkiemu poświęceniu osób wyznaczonych przez ówczesny rząd, jak również ochotniczych grup historyków sztuki, muzealników i konserwatorów sztuki udało się w ciągu zaledwie kilku miesięcy zidentyfikować w terenie, zinwentaryzować i zabezpieczyć najcenniejsze zabytki plastyki dawnej przeniesione przez Niemców

Domena publiczna; M. Wardzyński

z zagrożonych bombardowaniami alianckiego lotnictwa głównych miast Pomorza, Warmii, Pomorza Zachodniego, Lubuszy, Górnych Łużyc i całego Śląska – do rozlokowanych na głębokiej prowincji składnic muzealnych.

Na Dolnym Śląsku były to tajne placówki w Lubomierzu (niem. Liebenthal) i Szklarskiej Porębie Średniej (Mittel-Schreiberhau), z kolei w pobliskiej Przesiece (Hain) ukryto dzieła zagrabione ze zbiorów polskich, m.in. zespół obrazów historycznych Jana Matejki. Już latem 1945 r. kontrolę nad nimi objął oficjalnie Centralny Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków przy Ministerstwie Kultury, a bezpośrednio – pracownicy Muzeum Narodowego w Warszawie. Wielkie zasługi na tym polu położyli prof. Stanisław Lorentz i prof. Jan Zachwatowicz, podówczas odpowiednio dyrektor MNW i generalny konserwator zabytków. Z inicjatywy wymienionych instytucji utworzono nowy skład w pałacu Paulinum pod Jelenią Górą w Kotlinie Jeleniogórskiej, skąd zaczęto kierować do Warszawy i Rogalina pod Poznaniem specjalne transporty kolejowe i samochodowe.

Tą drogą w 1952 r. dotarło z Paulinum do stolicy 10 wagonów ze słynnymi obrazami Michaela Lucasa Leopolda Willmanna z archiopactwa cysterskiego w Lubiążu (Leubus) oraz m.in. dziełami rzeźbiarzy dolnośląskich Matthäusa Knothego, Matthiаса Steinla, Johanna Christopha Königa, Johanna Antona Urbansky'ego i Franza Josepha Mangoldta. Lubiąskie arcydzieła Willmanna z lat 70.-90. XVII w. w liczbie 34 rozdzielono wtedy w porozumieniu z kuria metropolitalną jako „artystyczne zadośćuczynienie” za niemieckie zniszczenia wojenne między kilkanaście świątyń w stolicy i na jej przedmieściach, Pałac Prymasowski, kolekcję Muzeum Archidiecezjalnego oraz samo Muzeum Narodowe. Dwa inne lubiąskie obrazy Willmanna zidentyfikowano również w sanktuarium w Loreto nad Liwcem i w kościele parafialnym w podwarszawskim Tarcynie. Z tym samym transportem wiąże się ściśle historia powstania powojennego wystroju kościoła parafialnego w Stężycy pod Dęblinem, gdzie prof. Zachwatowicz posłużył się w 1952 r. figurami anielskimi i fragmentami ornamentów ze stall lubiąskich dłuta współpracowników Steinla (1676-1696) i dwiema z czterech figur Ojców Kościoła dłuta Urbansky'ego z balustrady prezbiterium katedry wrocławskiej (1726) do kreacji trzech fantazyjnych neostylowych nastaw oraz stalli kapłańskich. Liczne *silesiaca* malarskie i rzeźbiarskie z MNW zasilili następnie zbiory filii w warszawskiej Królikarni oraz w Łowiczu, Nieborowie czy Oporowie pod Żychlinem. Innym, tym razem małopolskim przykładem tego procesu jest zidentyfikowany ostatnio w kaplicy zamkowej w Pieskowej Skale wspinały XVIII-wieczny snycerski ołtarz z pałacu w Krosnowicach (Rengersdorf) pod Kłodzkiem, przekazany Muzeum Narodowemu w Krakowie po 1954 r.



Poręba Średnia, kościół parafialny, wczesnogotycka figura Madonny z Dzieciątkiem, drewno lipowe, polichromowane temperą, 3. ćw. XIV w., wyk. nieustalony mistrz śląski z kręgu warsztatu Mistrza Madonn na Lwie, fot. z 2018 r.

Niezależnie od tych działań podejmowano też w wielu miejscach na Ziemiach Odzyskanych akcje ratunkowe – najlepszym *exemplum* jest w tym wypadku zorganizowana w 1949 r. translokacja kilkudziesięciu statui, grup rzeźbiarskich i waz ogrodowych autorstwa sławnego wrocławskiego rzeźbiarza Johanna Albrechta Siegwitza z pałacu i ogrodu hrabiów von Kospoth w Brzezince (Briese) pod Oleśnicą. Prof. Lorentz planował początkowo wykorzystać je przy rekonstrukcji ogrodu Zamku Królewskiego w Warszawie, wówczas czekającego na odbudowę, lokując obiekty w stołecznym lapidarium na Mariensztacie. Po rezygnacji władz komunistycznych z tego kluczowego dla kraju i stolicy przedsięwzięcia Muzeum Narodowe przekazało wydzielone grupy rzeźb i waz do muzeów rezydencjonalnych w Wilanowie i Łańcucie pod Rzeszowem, pozostałe „zagospodarowano” zaś m.in. do dekoracji terenów zielonych... osiedla mieszkaniowego przy ulicy Szwoleżerów. Finalnie, ich część trafiła różnymi drogami także do prywatnych właścicieli.



Sarnaki, nowy kościół parafialny, rokokowy prospekt organowy z kościoła ewangelicko-augsburskiego w Lwówku Śląskim, drewno iglaste i lipowe, polichromowane temperą i złożone płatkowo i malarsko, 1752 r., proj. i wyk. Johann Heinrich Meinert młodszy z Wlenia

Równoległe działania podejmowały terenowe dowództwa Ludowego Wojska Polskiego. I tak, dla własnych potrzeb do stołecznej katedry polowej przy ulicy Długiej przeniesiono elementy wyposażenia ze zniszczonych kościołów ewangelicko-augsburskich z kilku miejsc na Dolnym Śląsku i Górnych Łużycach, m.in. z Jeleniej Góry (Hirschberg; krata z kaplicy grodowej rodu Martensów przy Kościele Łaski), Kamiennej Góry (Landeshut; marmurowo-alabastrowa chrzcielnica i prospekt organowy z Kościoła Łaski) i Lubania (Lauban; liczne elementy ze snycerskiego ołtarza głównego i kazalnicy). Podobny los spotkał kilka zborów w Kotlinie Jeleniogórskiej. Kolejnym beneficjentem takich akcji był Kościół Polskokatolicki, który od 1951 r. w wyniku brutalnych działań Urzędu Bezpieczeństwa został w pełni podporządkowany władzom stalinowskim. Zabytkami małej architektury i rzeźby późnobarokowej z Dolnego Śląska przyozdobiono wtedy wnętrza dawnej cerkwi wojskowej pw. św. Martyniana przy ulicy Szwoleżerów, przemianowanej na katedrę

pw. Ducha Świętego tej wspólnoty wyznaniowej. Inną świątynią polskokatolicką „obdarowaną” w taki sam sposób jest kościół parafii w Gródkach na Roztoczu. Proweniencja wymienionych zabytków w obu tych miejscach nie jest póki co możliwa do ustalenia.

Warto też nadmienić, że w 1956 r. kuria metropolitalna we Wrocławiu przekazała do Muzeum Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego 26 obiektów rzeźby późnogotyckiej i barokowej, pochodzących m.in. z Gałowa (Gross Gohlau), Kliczkowa (Klitschdorf), Mycielina (Metschlau) i Szymocina (Simbsen) oraz z samego Wrocławia. Spory zbiór destruktorów kamieniarki renesansowej i manierystycznej najprawdopodobniej ze składu w Rogalinie znalazł się z kolei w zbiorze lapidaryjnym Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Wśród innych miejsc, do których po wojnie translokowano zabytki z Dolnego Śląska, warto wymienić kościoły parafialne w Domanowie na Podlasiu (barokowa intarsjowana kazalnica), Orchówku i Wytycznie pod Włodawą

Domena publiczna

(elementy późnobarokowych ołtarzy i ambon), Żelichowie nieopodal Tarnowa (tryptyk z Tymowej / Thiemendorf koło Lubina) czy Parźnie koło Bełchatowa (późnobarokowe kazalnica i figury).

W świetle najnowszych badań obejmujących Mazowsze wiadomo, że powojenne *silesiacy* artystyczne wskutek dalszych decyzji władz kościelnych znalazły się w zrujnowanych lub ograbionych w czasie II wojny światowej świątyniach parafialnych lub zakonnych, m.in. w Porębie Średniej nad Bugiem (figura Madonny na lwie oraz luterkańska ambona i konfesjonał z XVII w.).

Odrębną grupą *silesiacy* na Mazowszu są historyczne pozyskane zwłaszcza ze świątyni ewangelickich prospekt organowe, którymi po 1945 r. handlowano, transferując je do kościołów silnie doświadczonych działaniami wojennymi. Najciekawszymi przykładami tego procesu są świątynie: katedralna Wojska Polskiego w Warszawie (instrument Ignaza Mentzla z Kościoła Łaski w Kamiennej Górze, 1724-1729) oraz parafialne w Radzyminie (z Piechowic / Petersdorf koło Jeleniej Góry, początkowo przeznaczony do kościoła pw. Wszystkich Świętych przy placu Grzybowskiem w Warszawie) i Jadowie (z Rościszowa / Steinseifersdorf pod Dzierżoniowem). Najwybitniejszym dziełem organmistrzostwa dolnośląskiego epoki późnego baroku na terenie obecnego województwa mazowieckiego jest pochodzący ze zboru we Lwówku Śląskim (Löwenberg)

prospekt w kościele parafialnym w Sarnakach nad Bugiem. Autorem szafy organowej z 1752 r. był Johann Heinrich Meinert młodszy z Wlenia (Lähn), a instrument trafił tutaj w 1950 r. nieznaną jeszcze drogą.

Wszystkie te zespoły *silesiacy* powojennych są dobrze znane varsavianistom oraz badaczom kultury i sztuki Wrocławia i Dolnego Śląska, niemniej weszły na stałe do kanonu wiedzy dopiero w kilku ostatnich latach, przede wszystkim dzięki wystawom oraz nagłaśnianym w mediach „powtórny odkryciem” inwentaryzatorów i konserwatorów. Niezależnie od poczynionych identyfikacji to właśnie powojenne *silesiacy* stanowią póki co najnowszy, „ostatni poziom” nawarstwienia sztuki i kultury artystycznej Warszawy i Mazowsza. O tym, że jest to w niektórych środowiskach wciąż tematyka zapomniana lub nawet niechciana, świadczą wnioski z lektury książek, opracowań lub treści internetowych im poświęconych, gdzie na ogół pomija się milczeniem ich pochodzenie. Z kolei braki merytoryczne w wiedzy o sztuce obu historycznych części Śląska w stołecznym kręgu naukowym i popularyzatorskim, zwłaszcza varsavianistycznym, sprawiają, że zabytki takie pozostają niedoceniane – czekają na ponowne odkrycie i przywrócenie pamięci o nich. Ponieważ nie brakuje wśród nich dzieł wybitnych, zdecydowanie górujących artystycznie nad współczesnymi obiektami z Mazowsza, a nawet z samej Warszawy, z pewnością na to zasługują. ●

O powojennych losach figury św. Jana Chrzciciela z kamienicy Fukierów

Michał Wardzyński

Hekatomba II wojny światowej, zwłaszcza zniszczenie historycznego centrum Warszawy w Powstaniu Warszawskim oraz w wyniku późniejszych planowych wyburzeń niemieckich, przesądziły o losie większości dzieł plastyki ze Starego i Nowego Miasta. Nieliczne relikty starano się po 1945 r. zachować, w czym pomagały rozporządzenia Biura Odbudowy Stolicy i ówczesnych władz Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków, kierowanej w kluczowych latach 1945-1951 przez prof. Stanisława Lorentza, długoletniego dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie [czyt. także w STOLICY nr 3-4/2024]. Dzieła kamienne i marmurowe gromadzono w lapidarium miejskim, zlokalizowanym na Mariensztacie u podnóża skarpy wiślanej i ruin Zamku Królewskiego, natomiast dzieła z bardziej wrażliwych materiałów deponowano na ogół

Sień kamienicy Fukierów, fotografia, wewnątrz pokazano na pocztówce wydanej przez Zakład Graficzny Bolesława Wierzbickiego i Spółki z inicjatywy Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, ok. 1911 r.





Wojciech Gerson, *Widok sieni wielkiej Kamienicy Fukierowskiej*, litografia prasowa, „Kłosy”, 1868, nr 135

Snycerska figurka św. Jana Chrzyciela, ok. 1718 r., wyk. warsztat Bartłomieja Michała Bernatowicza z Warszawy (atryb.), d. kaplica seminarium misjonarskiego św. Karola Boromeusza, ob. Muzeum w Łowiczu, fot. z 2014 r.



w podziemiach i magazynach gmachu Muzeum Narodowego. Stamtąd przekazywano je z powrotem do świątyń, kamienic i instytucji lokowanych w odbudowywanych gmachach dzielnicy staromiejskiej. Równolegle do stolicy trafiło kilka transportów kolejowych wybitnych dzieł sztuki z Dolnego Śląska, Gdańska i innych obszarów na zachodzie i północy przejętych w 1945 r. jako tzw. Ziemie Odzyskane. Pochodzące z niemieckich wojennych składnic muzealnych obiekty trafiły później do kolekcji MNW oraz w kilkadziesiąt różnych miejsc w całym mieście. Swoistym symbolem tego procesu jest przechowywany dzisiaj w kilku kościołach Warszawy sławny zespół płócien sakralnych pędzla Michaela Lucasa Leopolda Willmanna (1630-1706) z kompleksu sławnego opactwa cysterskiego w Lubiążu (niem. Leubus) pod Legnicą. Powojenne *silesiaca* warszawskie trafiły również do zbiorów regionalnych oddziałów Muzeum Narodowego, m.in. w Łowiczu, Oporowie pod Żychlinem czy Nieborowie – funkcjonują one obecnie jako samodzielne instytucje muzealne.

Jednym z zaginionych varsavianów rzeźbiarskich, które przykuły przed laty uwagę piszącego te słowa, jest niewielka snycerska figura św. Jana Chrzyciela, przedstawionego w dynamicznej pozie jako dziecko w stroju pustelnika (wyłożona na wewnętrzną stronę skóra wielbłądia), któremu towarzyszy jagnię. Układ uniesionej ku górze lewej ręki świętego, z poutrącanymi palcami, wskazuje, że pierwotnie dłoń ujmowała krzyż. Statuetka o cechach rzeźby późnobarokowej z kręgu środkowoeuropejskiego, wycięta w dębinie i bejcowana na ciemnobrązowy kolor, o wymiarach 92 x 54 x 40 cm, pochodzi z pierwszej ćwierci XVIII w. Dzieło znajduje się obecnie na ekspozycji Muzeum w Łowiczu, w latach 1945-1995 administrowanego przez MNW jako oddział. Jako depozyt, opatrzone numerem inwentarzowym 193121 MNW (należącym do kolekcji Muzeum Rzeźby im. X. Dunikowskiego w Królikarni), dekoruje w większej grupie statui *silesiaków* przeszło prezbiterialne dawnej kaplicy seminaryjnej misjonarzy pw. św. Karola Boromeusza. Imponujący trójskrzydłowy gmach tej szkoły duchownej

dla wschodniej części archidiecezji gnieźnieńskiej, wzniesiony w ostatniej dekadzie XVII w. z fundacji prymasa Michała Stefana Radziejowskiego według planów sławnego Holendra Tylmana van Gameren z Utrechtu, należy do najwybitniejszych nowożytnych zabytków Łowicza i zachodniej części historycznego Mazowsza i mieści dziś zbiory Muzeum w Łowiczu.

Warszawską proveniencję figury łowickiej potwierdza ją przekazy ikonograficzne z sieni głównej Kamienicy Fukierowskiej [o tej kamienicy czyt. także w STOLICY nr 7-8/2023] przy Starym Rynku nr 27 (budynek tylny od ul. Piwnej nr 44), od 1945 r. siedziby Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Dzięki rysunkowi Wojciecha Gersona sprzed 1868 r., przerytowanego w „Kłosach” jako ilustracja do artykułu Kazimierza Władysława Wóycickiego (1807-1879) pt. *Kamienica Teofila Fukiera, z piwnicami win węgierskich, na Starem Mieście w Warszawie*, oraz zdjęciu z ok. 1911 r. umieszczonemu na pocztówce wydanej przez Zakład Graficzny Bolesława Wierzbickiego i Spółki z inicjatywy Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, wiadomo, że omawiany posąg dekorował do 1944 r. kapitel kolumny stojącej między dwoma ciągami komunikacyjnymi na ścianie zachodniej sieni wielkiej tego domu. W świetle zebranej wiedzy na temat historii budowy i późniejszych przekształceń Kamienicy Fukierowskiej można przyjąć, iż rzeźba św. Jana Chrzyciela pochodzi najprawdopodobniej z ok. 1718 r., kiedy to doszło do kompleksowej rozbudowy gmachu przedniego o najwyższą, czwartą kondygnację, z nadbudową latarni mającej doświetlić klatkę schodową. Zasklepiono wtedy także omawianą sien, porządkując jej zwężoną przestrzeń. Ówczesnym właścicielem posesji był Johann Ernst Schindler, superintendent ceł królewskich, który podlegał jako urzędnik państwowy Komisji Skarbu Rzeczypospolitej. Statuetka byłaby zatem pełnoplastycznym upamiętnieniem świętego patrona właściciela budynku. Pochodzący ze

sławnego augsburskiego rodu bankierskiego Fuggerów Fukierowie, trudniący się handlem i wyszynkiem luksusowych win, weszli w jej posiadanie dopiero w 1810 r.

Zestawienie ikonografii z cechami formalnymi i stylistycznymi figury świętego wyklucza jej dolnośląską, pomorską lub warmińską proveniencję. Najbliższe jej dzieła rzeźbiarskie w tym okresie pochodzą z wiodącej na stołecznym rynku artystyczno-rzemieślniczym pracowni Bartłomieja Michała Bernatowicza (zm. 1730), który skupił w tym okresie większość prestiżowych zamówień sakralnych z całej Warszawy. Warsztat Bernatowicza, współpracujący z ówczesnymi architektami projektantami włoskimi z Carlem Antoniem Bayem (notowany od 1716, zm. ok. 1742) na czele, był odpowiedzialny za powstanie kompleksowych późnobarokowych wystrojów ołtarzowych w niemal wszystkich świątyniach zakonnych: augustianów św. Marcina, dominikanów św. Jacka, franciszkanów św. Franciszka i paulinów Ducha Świętego, ponadto karmelitów bosych i misjonarzy przy Krakowskim Przedmieściu, pijarów przy Długiej czy kanoniczek i sakramentek. Korzenie sztuki zatrudnianych przez niego snycerzy figuralistów sięgały przede wszystkim Pragi czeskiej, zwłaszcza twórczości czołowych tamtejszych mistrzów z ok. 1700 r. – Łużyżczanina Mathiasa Wenzla Jäckla (1655-1738) i pochodzącego ze Spiszu Jana Brokoffa (1652-1718). Poza Warszawą Bernatowicza zatrudniano m.in. w Brześciu Litewskim i Kodniu, Łowiczu czy Toruniu. Po śmierci rzeźbiarza *gros* jego robót przejął utalentowany Bawarczyk Johann Georg Plersch (1704/1705-1774), któremu Warszawa i Mazowsze zawdzięczają najwybitniejsze kreacje figuralne w całym XVIII stuleciu. 🍷

dr hab. Michał Wardzyński, prof. ucz. – Instytut Historii Sztuki Uniwersytetu Warszawskiego

Za udzielenie szczegółowych informacji o tej figurze dziękuję Pani Annie Kośmider, kierownik ds. naukowych Muzeum w Łowiczu.

WYBÓR BIBLIOGRAFII:

J. Gębczak, *Losy ruchomego mienia kulturalnego i artystycznego na Dolnym Śląsku w czasie drugiej wojny światowej*, Wrocław 2000; W. Kieszkowski, *Składnica muzealna Paulinum i rewindykacja zabytków na Dolnym Śląsku napisał...*, „Pamiętnik Związku Historyków Sztuki i Kultury”, 1: 1948, s. 135-158; A. Kozieł, *Losy wyposażenia i wystroju kościoła klasztoru w Lubiążu po 1943 roku*, w: *Kościół klasztoru Wniebowzięcia NMP w Lubiążu. Historia, stan zachowania, koncepcja rewitalizacji*, red. A. Kozieł, Wrocław 2010, s. 129-148; *Organy Katedry Polowej Wojska Polskiego*, red. R. Mokrzycki, L. Górecki, Warszawa 2010; K. Sztarbałło, *Niezwykłe losy obrazów z kolekcji lubińskiej*, „Ochrona Zabytków”, 2000, nr 1, s. 33-38; A. Świtek, *Rzeźba i mała architektura w ogrodach wilanowskich*, Warszawa 2019, passim; M. Wardzyński, *Tarczyn i Loretto – mazowiecki etap losów lubińskiego zespołu obrazów Michaela Willmanna*, w: *Poza Warszawą*, red. A. Pieńkos, M. Wardzyński, t. 1: *Artydziela plastyki dawnej XII-XVIII wieku w świątyniach i rezydencjach Mazowsza*, red. M. Wardzyński, Warszawa 2018, s. 242-246; *Willmann w Warszawie: Willmann encore – męczeństwa apostołów: Willmann – opus minor*, red. M. Nowak, M. Pierzchała, Warszawa 2020.

M. Chudzińska, A.S. Czyż, D. Rutkowska-Siuda, *Kamienica Fukiera w 70-lecie odbudowy Starego Miasta w Warszawie*, Warszawa 2023; *Katalog zabytków sztuki w Polsce, seria nowa*, t. 11: *Miasto Warszawa*, cz. 1: *Stare Miasto*, red. J. Z. Łoziński, A. Rottermund, t. 1-2, Warszawa 1993; G. Kurczewski, *Z „Kłosami” u Teofila Fukiera A.D. 1868* [online], *Bliskotokaju.pl*, 3.11.2013, <http://bliskotokaju.pl/2013/11/z-%E2%80%9Eklosami%E2%80%9Du-teofila-fukiera-a-d-1868/> (dostęp: 22.04.2024); M. Kwiatkowski, *Architektura mieszkaniowa Warszawy. Od potopu szwedzkiego do powstania listopadowego*, Warszawa 1989; J. Sito, *Wielkie warsztaty rzeźbiarskie Warszawy doby saskiej: modele kariery, formacja artystyczna, organizacja produkcji*, Warszawa 2013; K. Szymankiewicz, *Święto w pracowitym życiu po księżaku. Muzeum w Łowiczu i Skansen Ziemi Łowickiej w Maurzycach*, w: *Poza Warszawą*, red. A. Pieńkos, M. Wardzyński, t. 5: *Skarbce, kolekcje i muzea Mazowsza*, red. M. Wardzyński, Warszawa 2023, s. 188-193; M. Wardzyński, *Sztuka nowożytna na Mazowszu. Zarys problematyki*, w: *Dzieje Mazowsza*, red. A. Gieysztor, H. Samsonowicz, t. 2: *Lata 1527-1795*, red. J. Tyszkiewicz, Pułtusk 2015, s. 629-731.



W warszawskim trzewiku po Wąskim i Szerokim Dunaju

Adrian Sobieszczański

Wychodząca z północno-zachodniego narożnika rynku staromiejskiego i biegnąca w kierunku zachodnim ulica Wąski Dunaj, podobnie jak prostopadły do niej Szeroki Dunaj, stanowi ważny element infrastruktury Starego Miasta. Pierwotnie dzisiejszy Szeroki Dunaj nie był odrębną ulicą, lecz rodzajem placu ze źródłami potoku. W XV stuleciu ulicę biegnącą do potoku nazywano *platea eundo de Circulo in Dunai* (ulicą idącą z Rynku na Dunaj) bądź po prostu Dunajem. I tym właśnie mianem aż do połowy XIX w. określano obie staromiejskie ulice

Tysiącom osób przemierzającym codziennie zakamarki Starego Miasta trudno sobie wyobrazić, że potok Dunaj decydował o powstaniu miasta w tym właśnie miejscu. Dunaj, którego źródło lokalizuje się w obrębie dzisiejszej ulicy Szeroki Dunaj, spływając wąwozem obecnej ulicy Mostowej do Wisły, wraz ze swoimi rozlewiskami, chronił miasto od północy, zaś po wzniesieniu murów miejskich, wpuszczony w fosę, stał się elementem systemu miejskich fortyfikacji. Prawdopodobnie już w XVI w. w miejscu źródła Dunaju utworzono studnię dostarczającą wodę na potrzeby mieszkańców. Nazwa strumienia wywodzić się ma od starosłowiańskiego określenia obfitej wody. Według Aleksandra Brücknera miano to zostało przejęte przez Słowian od Gotów – *dunavi* – ci zaś mieli zapożyczyć ją od Celtów.

Teren dzisiejszej ulicy Szeroki Dunaj był początkowo zajęty przez koryto potoku, które od strony wschodniej jeszcze w średniowieczu wzmocniono murem. Znajdująca się w ciągu wewnętrznego muru u wylotu Szerokiego Dunaju wieża powstała zapewne około połowy lub w drugiej połowie XIV w. Niewielka budowla na planie kwadratu miała, ze względu na przepust strumienia, fundament

IS PAN, POLONA



▲ Figura Chrystusa na kamienicy Działotich przy Wąskim Dunaju 8, przed 1915 r.

◀ Wylot ulicy Piwnej na Wąski Dunaj, widok na kamienicę Działotich, przed 1915 r.



posadowiony znacznie głębiej niż inne elementy obwarowań miejskich. Już w XVII w. wieża została zniszczona, zaś na resztkach jej ściany bocznej ustawiono szkarpę. Ze względu na ułożenie w jej okolicy jatek rzeźniczych przejście w murze nazwano Bramą Rzeźniczą. Zachowane dolne części bramy konserwowano w latach 1937-1938 i 1958-1963.

W drugiej połowie XVI w. przy ulicy Dunaj znajdowało się 12 posesji. W końcu tego stulecia ułatwiono komunikację między Dunajem a Podwalem. Zamykająca perspektywę dzisiejszej ulicy Wąski Dunaj, a ułożona w ciągu pierwszej linii murów miejskich wieża na rzucie prostokąta została przebudowana na otynkowaną bramę, o trzech kondygnacjach, zwieńczoną renesansową attyką. Rozpoczęte w 1598 r. prace kontynuowano do 1612 r. Bramę określano jako *porta nova* (brama nowa), tym samym odróżniając ją od istniejących już bram Krakowskiej i Nowomiejskiej. Od połowy XVII w. aż do jej rozbiórki w 1804 r. nazywano ją Bramą Poboczną.



▲ Kamienica Działyńskich dzisiaj

Szeroki Dunaj ▶

Wśród zlokalizowanych przy Dunaju domów wyróżnia się kamienica Pod Chrystusem (współczesny adres Wąski Dunaj 8, nr hip. 147).

Zmieniającą często właścicieli posesję z drewnianym domem kupił od Wojciecha Żylickiego Jakub Działyński/Gianotti – kupiec winny i serwitorkrólowski, rajca i burmistrz Starej Warszawy. W 1632 r. Działyński wznosił kamienicę w formie, jaką mimo burz dziejowych znamy do dzisiaj. Był to liczący trzy kondygnacje dom o trzysosowej elewacji frontowej z umieszczonym na skrajnej prawej osi portalem prowadzącym do sieni, w którego kluczu umieszczono kartusz z gmerkiem Gianottich. Gmerk ten przedstawia bramę o pięciu wieżach i inicjały IG. Identyczny gmerk znajduje się nad portalem kamienicy Rynek 36, na której fasadzie sąsiaduje on z innym gmerkiem, wyobrażającym literę Ż, ponad którą umieszczono litery IG. Na kamienicy przy Dunaju monogram IG z datą 1632 i literą Ż można zobaczyć na chorągiewce umieszczonej na attyce. Do dzisiaj nie udało się jednoznacznie wytłumaczyć powtarzającej się litery Ż, ale te same gmerki potwierdzają właściciela obu niezwykle kamienic staromiejskich.

Fasada kamienicy została zwieńczona jedną z najpiękniejszych staromiejskich attyk. Składa się ona z postumentów połączonych figurami smoków. Dzisiaj pusty centralny postument pierwotnie zwieńczony był figurą Chrystusa – Salvator Mundi – która dała zwyczajową nazwę kamienicy. Cokół postumentu został ozdobiony przedstawieniem św. Weroniki z chustą, zaś wyżej umieszczono szkielet z kosą. Około połowy XVII w. kamienica stała się własnością rajcy i burmistrza, owiesnego królewskiego Stanisława Baryczki mł. Po zniszczeniach wojennych obiekt odbudowano według stanu sprzed zniszczenia, ale bez figury Chrystusa, którą zastąpiono obeliskiem. Fasada domu otrzymała geometryczno-figuralną dekorację sgraffitową wykonaną przez Zofię Kowalską i Mirosławę Karpińską. W nadświetlu portalu znajduje się oryginalna, chociaż w części uzupełniona, kuta krata, przeniesiona z innego budynku.

Pod względem obowiązującego prawa Stare Miasto nie było organizmem jednolitym. Oczywiście dominującą rolę odgrywała jurysdykcja miejska, spod której wyjęte zostały zarówno tereny będące pod bezpośrednią władzą księcia, jak i tereny kościelne, np. kościół i klasztor augustianów. Spod jurysdykcji miejskiej wyjęte zostały

A. Sobieszczański



Targ na Szerokim Dunaju w latach 20. XX w., fot. Zdzisław Marcinkowski



także nieruchomości należące do gminy żydowskiej, o której pierwsze wzmianki pochodzą z 1428 r. Był to zespół działek zlokalizowanych po nieparzystej stronie dzisiejszego Wąskiego Dunaju między Piwną a murami miejskimi.

Chociaż badacze obecność Żydów w Warszawie datują już na koniec XIV bądź początek XV w., to nie wiemy, kiedy na terenie Starego Miasta zaczęła się osiedlać społeczność żydowska. Podobnie jak nie wiemy, czy obszar gminy był od początku przeznaczony dla nich, czy też może został przekazany społeczności żydowskiej w czasie późniejszym. Pewnym jest natomiast, że wybór był świadomy. Żydzi osiedlili się na terenie oddalonym od głównych traktów komunikacyjnych i w pobliżu ważnego, ze względów rytualnych, źródła Dunaju. W początku XV w. w Warszawie mogło mieszkać od 12 do 15 rodzin żydowskich, a więc ok. 130 osób. Społeczność ta trudniła się głównie handlem i lichwą. Według Emanuela Ringelbluma gmina żydowska dysponowała łaźnią, rzeźnią rytualną oraz funkcjonującą zapewne przy synagodze szkołą. Do gminy należał też rozpościerający się nieopodal cmentarza chrześcijańskiego cmentarz żydowski. Oś dzielnicy żydowskiej stanowiła ulica Żydowska, zwana też Abrahamowską, o której najwcześniejsza wzmianka pojawia się w roku 1438. Ulica położona w bloku zabudowy pomiędzy ulicami Piwną, Piekarską, Wąskim Dunajem i ulicą Rycerską

rozpocząła swój bieg między dzisiejszymi posesjami Wąski Dunaj 5 i 7 i biegła równolegle do tyłów posesji ulicy Piwnej, gdzie na wysokości posesji nr 35 (nr hip. 100) załamywała się pod kątem prostym w kierunku ulicy Rycerskiej. Mająca 64 m długości i 4,5 m szerokości, zabudowana była głównie budynkami drewnianymi, spośród których wyróżniała się murowana synagoga u zbiegu Wąskiego Dunaju i ulicy Żydowskiej na działce historycznie oznaczonej nr hip. 153, odpowiadającym przedwojennemu numerowi Wąski Dunaj 7. Dzisiaj to niezabudowana posesja pomiędzy współczesnymi budynkami 5 i 7. Synagoga, na której fundamenty natrafiono w okresie powojennym, była budynkiem niewielkim, o powierzchni 33 m². W 1843 r. książę warszawski Bolesław V, pod naciskiem miejskiego patrycjatu, zabronił zakładania w obrębie murów sklepów oraz warsztatów kupcom i rzemieślnikom nienależącym do bractw lub cechów, do których przyjmowano wyłącznie mających obywatelstwo miejskie. I chociaż dekret nie był formalnie skierowany przeciwko Żydom, to nieznanymi już odpowiednich warunków dla rozwoju działalności gospodarczej w Warszawie w końcu XV w., opuścili ów teren dotychczasowego zamieszkania.

Z początkiem kolejnego stulecia teren gminy zamieszany był już przez chrześcijan. Właściciele zmieniała też murowana synagoga, która przeszła w 1522 r. na własność rodziny Kozyrskich. W 1619 r. właścicielem obu



W XVII w. zmianie uległ wygląd dzisiejszego Szerokiego Dunaju. Obszar ten ze względu na swój charakter i duże jak na warunki warszawskie rozmiary – 60 na 18 m – zaczął być wykorzystywany do funkcji handlowych, stając się tym samym pomocniczym placem dla Rynku Starego Miasta. W 1631 r. specjalnym rozporządzeniem magistrat miejski usunął śledziarki i rybaczki z targowiska przed ratuszem i wyznaczył im nowe miejsce na Szerokim Dunaju. Na targowisku sprzedawano tylko ryby solone, gdyż przywilej sprzedawania ryb świeżych miały jedynie przekupki na Rynku Starego Miasta. Czy na Szerokim Dunaju mogło dochodzić do rybich bójek, takich jak te z udziałem handlujących nieświeżymi rybami – Ahigieniksa i jego żony Jelolsabmariny w wiosce Gallów z komiksów o Asteriksie autorstwa Renè Gosciniego i Alberta Uderza? Źródła o tym milczą, jednak znając porywczy charakter warszawskich przekupek, nie możemy tego wykluczyć. Przekupki wyróżniające się niezwykle, nierzadko podsycanym alkoholem temperamentem stały się nieodłącznym elementem warszawskiego folkloru i krajobrazu Starego Miasta. Za pomocą słów, jak pisał Wacław Szymanowski, oraz zręczności w wychwalaniu towaru umiały osiągnąć upragnione zyski. Dla przekupki każdy klient był równy, o ile miał pieniądze, aby za towar zapłacić. Dość skore do zaczepki, bo według przekupki można towaru było nie kupić, ale nie można było krytykować.

Przekupki za oszustwa na wadze zamykane były przez straż miejską do klatki przed ratuszem. Trafiały tam też

◀ Widok na Kamienicę Szewców z ulicy Piwnej, fot. Tadeusz Przypkowski

Dekoracja sgraffitowa Kamienicy Szewców przy Szerokim Dunaju ▼

posesji ujmujących wylot ulicy Żydowskiej został proboszcz kościoła św. Ducha, sekretarz królewski Stanisław Baryczka. Od jego nazwiska ulicę zaczęto nazywać Baryczkowską, a jej wylot na Dunaj ostatecznie zamknięto. Teren dawnej dzielnicy przetrwał aż do XVIII w. jako niepodlegająca miastu tzw. jurydyka Baryczkowska. W połowie tego stulecia jedynym śladem dawnej ulicy Żydowskiej był już tylko ślepy, zachowany zresztą do dzisiaj zaułek odchodzący od ulicy Ryckerskiej, zwany czasami ulicą Tylną.



Muzeum im. Przypkowskich w Jędrzejowie; A. Sobieszczański



◀ Szeroki Dunaj. Widok na Bramę Rzeźniczą w pierwszej połowie lat 30. XX w.

Widok na międzymurze za Bramą Rzeźniczą w końcu lat 30. XX w. ▼



za kłótnie, pyskówki i awantury. Jeszcze w latach 50. Leopold Tyrmand pisał w powieści *Zły*, że warszawskie „przekupki posiadały specyficzny, warszawski kształt warg, wymodelowanych w długoletniej praktyce pysków, mów i wymyślań; wszystkie też zdawały się mieć jednakowe, mimo różnic kolorów, oczy, wykształcone w błyskawicznym dostrzeganiu i taksowaniu zbliżającego się klienta”.

W 1632 r. poza murami miejskimi pod numerem hip. 504, odpowiadającym numerowi polic. 46 przy Podwalu, powstały jatki rzeźnicze. W zabudowaniach sąsiadujących z nimi odbywały się zebrania założonego w roku 1466 zgromadzenia cechu rzeźników. Połączeniu targu rybnego na Szerokim Dunaju ze znajdującymi się po drugiej stronie murów miejskich jatkami służyła wspomniana Brama Rzeźnicza. W XVIII w. w drugiej linii murów powstało przejście do Bramy Rzeźniczej z ulicy Podwale w formie arkady, którą z czasem obudowano kamienicami. Kamienica Podwale nr 48 została rozebrana w latach 30. XX w. w celu zrekonstruowania fragmentów murów miejskich pomiędzy Nowomiejską a Wąskim Dunajem. Istniejąca do dziś kamieniczka przy Bramie Rzeźniczej pod adresem Szeroki Dunaj 13 jest pozostałością zamykającej ulicę od północy pierzei opartej o mur miejski. Kamienica na posesji nr hip. 137 i częściowo 138 podobnie jak jej sąsiadki (dziś nieistniejące) nigdy nie były związane z rzeźnikami, jak wskazują niektóre opracowania. Podczas prowadzonej w latach 1937-1938 rekonstrukcji murów obronnych

dom nr hip. 137 i przyległa część nr hip. 138 (w obecnym zarysie budynku) wraz z Bramą Rzeźniczą zostały odrestaurowane według projektu Jana Zachwatowicza, pozostała część pierzei została zaś rozebrana. Na przełomie XVIII i XIX w. sprzedawane na Szerokim Dunaju ryby ustąpiły targowisku kwietno-warzywnemu, które przetrwało do dwudziestolecia międzywojennego.

Pod numerem hip. Dunaj 146, czyli przy dzisiejszym Szerokim Dunaju 3, mieściła się drukarnia pochodzącego z Poznania Jana Rossowskiego. Jegomość ten był pierwszym stałym i zawodowym drukarzem warszawskim, który od Zygmunta III Wazy otrzymał, 12 lipca 1624 r., funkcję oficjalnego typografa Jego Królewskiej Mości. Z nadaniem tytułu uzyskał monopol na tłoczenie konstytucji sejmowych i uniwersałów, także z prawem ich sprzedaży. W przywileju królewskim wydanym dla Rossowskiego napisano „...gdy dla braku na dworze Naszym drukarza wielkie widzimy niedogodności dla Rzeczypospolitej, a nawet w ogłaszaniu samych konstytucji, uważaliśmy za słuszne mieć drukarnię w mieście Naszym w Warszawie, gdzie główne sejmy Królestwa odbywają się i My sami z dworem Naszym zamieszkujemy”.

Zanim Rossowski przybył do Warszawy, w latach 1620-1624 prowadził swoją drukarnię w Poznaniu, do którego przyjechał z Kurzelewa w powiecie włoszczowskim. Powołanie do życia drukarni w Warszawie było związane z obecnością w mieście dworu królewskiego oraz licznych dygnitarzy. W ośrodku władzy



Targ na Szerokim Dunaju

królewskiej, jakim pozostawała Warszawa, funkcjonowanie drukarni było niezbędne. Przez 10 lat drukarnia wydawała druki ulotne, religijne, utwory polemiczne oraz kazania, a także gazety ulotne „Nowiny” i „Relacje”. Z drukarni wyszło 61 druków w językach polskim i łacińskim, obejmujących wydawnictwa urzędowe, jak uniwersały i konstytucje dziewięciu sejmów. Po śmierci Jana wdowa Katarzyna wyszła za mąż za Jana Trepińskiego, który w latach 1635-1643 prowadził jedyną w Warszawie oficynę, z tytułem urzędowego drukarza królewskiego. Podobnie jak Rossowski wydawał on druki urzędowe, świeckie, a także publikacje dla sceny dworskiej.

W początku XIX stulecia Szeroki Dunaj zamieszkiwali głównie rzemieślnicy, a wśród nich, stanowiący dość pokaźną grupę, szewcy, wśród których znajdowali się bogaci rzemieślnicy zatrudniający służbę. Na przełomie XVIII i XIX stulecia jednym z nich był właściciel kamienicy przy Szerokim Dunaju 5 (nr hip. 145) – szewc, rajca miejski Jan Kiliński.

Początki wytwarzania obuwia w Warszawie sięgają zapewne początków funkcjonowania samego miasta, a losy warszawskich rzemieślników oraz rodzaje ich wyrobów były nierozdzielnie związane ze statusem materialnym mieszkańców, obyczajowością i, co nie pozostaje bez znaczenia, modą. Dla historyków i archeologów pozyskiwane w trakcie prac archeologicznych

artefakty są dowodem na to, że już w XIV w. ten rodzaj rzemiosła był bardzo zaawansowany. O ile w początkach funkcjonowania miasta kuśnierze i siodlarze mieli swoje warsztaty i sklepy przy Rynku, to szewcy zajmowali boczne ulice Starego Miasta. Widomości o pierwszych cechach w Warszawie pochodzą z końca XV i początku XVI w. W najwcześniejszym okresie swojego istnienia cechy warszawskie podlegały zwierzchnictwu cechów krakowskich. Uciążliwa zależność została zniesiona dopiero na mocy przywileju Zygmunta I Starego z 2 kwietnia 1527 r. Rozkwit rzemiosła przyczynił się do stworzenia jego nowej organizacji i o ile jeszcze w 1529 r., ze względu na niewielką liczbę mistrzów, powstał cech zbiorczy, obejmujący 11 rzemiosł, to już w połowie tego stulecia usamodzielniały się liczne gałęzie produkcji rzemieślniczej. Wiązało się to niewątpliwie ze wzrostem liczby uprawiających je mistrzów. Konsekwencją wzrostu liczby rzemieślników parających się produkcją obuwia było ustanowienie w 1571 r. cechu szewców.

Ustrój cechowy miał za zadanie zabezpieczać byt rzemieślników. Cechy obejmowały opieką członków, niosły również pomoc starym lub chorym rzemieślnikom. Organizacje nierzadko udzielały członkom pożyczek na procent zdecydowanie niższy niż oferowany przez lichwiarzy, a w szczególnych wypadkach udzielały bezwrotnej zapomogi. Własnością szewców była zajmująca parcelę u zbiegu Wąskiego i Szerokiego Dunaju kamienica nr hip. 136. Murowany, piętrowy dom z fasadą od Wąskiego Dunaju i ciągnącym się od Szerokiego Dunaju podwórzem powstał zapewne w początku XVI w. Po spaleniu, jeszcze w drugiej dekadzie XVII w., kamienica została sprzedana cechowi szewców i odbudowana. W drugiej połowie tego stulecia dom został wydłużony na całej długości działki. W roku 1743 była to licząca trzy kondygnacje kamienica o trzyosiowej fasadzie od Wąskiego Dunaju i ośmiu osiach od Szerokiego Dunaju. Mimo że od początku XVIII stulecia dom był ponownie w rękach prywatnych, w jego przyziemiu przez cały czas mieściły się jatki szewskie. W 1782 r. kamienica została podwyższona o kolejną kondygnację i otrzymała

jednolity wystrój obu elewacji. W 1799 r. obiekt został zakupiony od Jana Duponta ponownie przez Zgromadzenie Szewców, w rękach których pozostaje do dzisiaj. Funkcjonuje tu m.in. Muzeum Cechu Rzemiosł Skórzanych im. Jana Kilińskiego. W XIX stuleciu działalność dawnych jatek szewskich kontynuował Skład Główny Obuwia Damskiego i Męskiego Majstrów Warszawskich. O historii domu przypominają wykonane w 1954 r. geometryczno-figuralne dekoracje sgraffitowe autorstwa Jana Zamoyskiego, przedstawiające zwierzęta, których skóry są materiałem rzemieślniczym. Na tle roślinności umieszczono kozły, konia, jaszczura, węża i krowę. Pola pomiędzy oknami trzeciego piętra wypełniono postaciami szewców przy pracy.

Szewstwo w całej grupie rzemiosł skórzanich odgrywało wiodącą rolę. Aby uchronić rzemieślników przed konkurencją zamiejską, nie pozwalano szewcom z innych miast sprzedawać towarów w Warszawie. Wyjątek, i to tylko za odpowiednią opłatą, stanowiły jarmarki. Wzrost liczby szewców owocował także specjalizacją

Tu i obok: handel na Szerokim Dunaju w latach 20. XX w.



poszczególnych rzemieślników. Szewcy warszawscy rozwinęli wyraźnie swe umiejętności, a niektórym udawało się zyskać szczególne uznanie i zająć wysokie miejsce w hierarchii cechowej. Konsekwencją było przede wszystkim podniesienie poziomu produkcji w celu zaspokojenia zwiększonego popytu na ich wyroby. Toteż w znanym powiedzeniu trzewik warszawski obok toruńskiego piernika, gdańskiej wódki i krakowskiej panny zaliczany był do najcenniejszych w Rzeczypospolitej.

Adrian Sobieszczański – historyk, licencjonowany przewodnik miejski, pasjonat polskiej wojskowości i architektury

BIBLIOGRAFIA:

„Architektura”, 1953, nr 9; I. Baranowski, *Z dziejów rodów patrycyuszowskich miasta starej Warszawy*, Warszawa 1915; S. Ehrenkreutz, *Z dziejów organizacji miejskiej Starej Warszawy*, Warszawa 1913; H.M. Fukier, *Wspomnienia Staromiejskie*, Warszawa 1959; B. Grochulska, W. Pruss, *Z dziejów rzemiosła warszawskiego*, Warszawa 1983; *Katalog zabytków sztuki w Polsce*, t. 11: *Miasto Warszawa*, red. J.Z. Łoziński, A. Rottermund, cz. 1: *Stare Miasto*, oprac. zbiorowe, red. M. Kałamajska-Saeed, Warszawa 1993; A. Jagiellak, P. Świątek, *Szyldy na Starym Mieście w Warszawie. Dobre praktyki dla właścicieli i użytkowników*, Warszawa 2015; A. Kraushar, *Dzielnica Staromiejska: szkice historyczno-obyczajowe Franciszka Maksymiliana Sobieszczańskiego*, Warszawa 1920; M. Kwiatkowski, *Architektura mieszkaniowa Warszawy*, Warszawa 1989; M. Lewicka, *Rynek Starego Miasta*, Warszawa 1992; J. Lilejko, *Życie codzienne w Warszawie za Wazów*, Warszawa 1984; *Polichromie i sgraffita na fasadach ośrodków staromiejskich odbudowanych po 1945. Krecja i konserwacja*, red. A. Jagiellak, P. Świątek, Warszawa 2015; *Szkice Staromiejskie*, red. O. Puciaty, Warszawa 1955; *Stare Miasto w Warszawie*, z. 4, red. Z. Szanajca-Kossakowska, Warszawa 1956; *Warszawskie Stare Miasto – autentyzm nieznanym. Zachowanie i konserwacja tynków i malarstwa ściennego zabytku światowego dziedzictwa UNESCO*, red. A. Jagiellak, Warszawa 2020; A. Wojciechowski, *Rynek Staromiejski*, Warszawa 1956; J. Zieliński, *Warszawskie synagogi. Na tropie tajemnic*, Łódź 2020; S. Żaryn, *Trzyznacie kamienic staromiejskich*, Warszawa 1972.



Powódź w Warszawie w lipcu r.b., ulica Bednarska z widokiem na Wisłę, drzeworyt Bronisława Puca wg Wojciecha Gersona, „Kłosa”, 1867, nr 110 z 8 sierpnia

Bednarska 23

Krzysztof Traczyński

Widać go dobrze na drugim planie XVIII-wiecznego obrazu Bernarda Bellotta zw. Canalettem pt. *Widok Warszawy z tarasu Zamku Królewskiego*. Obiekt, który miał niebywałe szczęście przetrwać II wojnę światową i powojenne wyburzenia. Mowa o kamienicy przy ul. Bednarskiej 23

Na pierwszym planie obrazu widać taras wypełniony przez postacie, z których część można rozpoznać. W oknie na pierwszym piętrze król Stanisław August przechadza się z bratową Teresą Poniatowską. Na schodach, przepasany wstęgą Orderu Świętego Stanisława, stoi marszałek wielki litewski Ludwik Tyszkiewicz. W prawym dolnym narożniku, obok ogrodzenia maneżu, Bellotto uwiecznił sam siebie – jako mężczyznę z laską. Poniżej zamkowego tarasu widać bryłę pałacu Lubomirskich (pałac Pod Blachą), dalej po prawej kościół św. Anny, a jeszcze dalej kościół reformatów i wieże kościoła Świętego Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu, pałac Radziwiłłów (obecnie prezydencki) i Pałac

Kazimierzowski. Na widoku miasta w pogodny dzień w godzinach popołudniowych, tuż przed zachodem słońca, malarz sportretował też zabudowania Powiśla i Wisłę z żaglowymi łodziami. Intensywne słoneczne światło oświetla front trzykondygnacyjnej kamienicy w centralnej części drugiego planu. Obiekt stoi przy ulicy Bednarskiej. Ta XVIII-wieczna budowla przetrwała niezniszczona do dziś.

Ulica Bednarska, wcześniej nosząca nazwy Droga ku Wiśle, Gnojowa czy Rzeźnicza, powstała w miejscu jednego z licznych wąwozów przecinających skarpę warszawską, wyłobionego przez potok Jordan spływający do Wisły. W tym miejscu skarpa ma

wysokość 20 m. Stopniowy rozwój zabudowy ulicy rozpoczął się w XVII w. W 1663 r. ziemie przy Bednarskiej zostały kupione przez siostry karmelitanki z zamiarem budowy klasztoru. W kolejnym wieku ulicę wybrukowano, a na dolnym odcinku, u jej wylotu, utworzono groble, która prowadziła do tzw. mostu łyżwowego, stawianego okresowo na potrzeby ruchu w mieście na czas wolnych elekcji, rozbieranego w okresach wysokich wód i zim. Obok mostu wykopano basen portowy dla barek. Część ulicy położoną w dolinie rzeki często nękały powodzie, szczególnie groźne w latach 1838, 1839 i 1844. Podczas powodzi w 1867 r. – uwiecznionej na rysunku przez Wojciecha Gersona – wody rzeki zalewają niżej położoną część ulicy Bednarskiej, w wodzie stoi budynek Łaźni Teodozji. Z kolei Juliusz Kossak na swoim obrazie utrwalił rozlewiska powodziowe rzeki z pływającymi po nich łodziami i niedostępny suchą nogą drewniany budynek z barem serwującym piwo. Ulica Bednarska – niezwykle ważna w tamtych latach w komunikacji miasta – straciła swoje znaczenie po otwarciu w 1864 r. mostu Kierbedzia.

Kamienica widoczna na obrazie Canaletta, prawdopodobnie projektu wybitnego architekta Efraima Szrögera, została wybudowana w latach 1770-1773. Jest murowana, dwupiętrowa, całkowicie podpiwniczona. Właścicielem posesji i budynku był zakon karmelitów bosych, do Warszawy sprowadzony z Krakowa w 1637 r. przez Władysława IV. Karmelici dostali plac przy Krakowskim Przedmieściu i wzniesli prowizoryczny drewniany kościół i klasztor, które spłonęły w czasie wojny ze Szwedami. Nowy, murowany kościół, budowany z funduszy Jana Kazimierza i prymasa Michała Radziejewskiego, został udostępniony wiernym w 1861 r. Po powstaniu styczniowym władze carskie rozwiązały wszystkie zakony, także zakon karmelitów. Kościół i zabudowania klasztorne przejęła diecezja warszawska, a kamienica przy ul. Bednarskiej 23 została przekazana Resursie Ruskiej. Cała posesja znalazła się w rękach Rosyjskiego Towarzystwa Dobroczynności, które w latach 80. XIX w. wybudowało murowane oficyny kamienicy, tworzące dwa podwórza. Na pierwsze prowadzi przejazd bramny od strony ulicy. Prawdopodobnie w czasie budowy oficyn wyremontowana została kamienica frontowa – ta widoczna na obrazie Canaletta. Jej zewnętrzna ściana od strony Wisły stała się wewnętrzną ścianą, do której dobudowano oficynę wschodnią (zlikwidowano

wtedy znajdujące się w tej ścianie okna). Usunięto też widoczną na obrazie attykę i dwie lukarny, a na piętrze umieszczono dwa żeliwne balkony.

Podwórze kamienicy przy Bednarskiej od sąsiadów oddzielają mury. Od strony zachodniej wzdłuż granicy działki przebiega mur ceglany porośnięty bluszczem, oddzielający teren domu od terenu Dziekanki. Z informacji udzielonych mi przez arch. Elżbietę Misztę-Golebiewską wynika, że w przeszłości mur przedzielony był schodkami prowadzącymi do Dziekanki. Pani Elżbieta oraz jej ojciec i dziadek mieszkali przy ul. Bednarskiej 23, a rodzinne zdjęcia z podwórza utrwaliły przejście i te schodki.

Od strony południowej wzdłuż terenu seminarium przebiega drugi mur. Powierzchnia terenu przy seminarium znajduje się 2 m wyżej niż po drugiej stronie muru. Rozebranie jednego z zabudowań gospodarczych przylegających do muru spowodowało katastrofę – dwa przęsła runęły na podwórze przy Bednarskiej. Obecnie trwają badania geotechniczne, których celem jest zbadanie warunków gruntowych i odbudowa, a także remont całego ogrodzenia.

Na zdjęciu lotniczym z 1945 r. wśród morza ruin Starego Miasta i jego otoczenia, zbombardowanych, wypalonych, pozbawionych dachów domów, kamienica przy ul. Bednarskiej 23 i jej oficyny stoją nienaruszone. W czasie Powstania Niemcy mieli w niej punkt obserwacyjny – z jej okien patrzyli na tereny położone wzdłuż Wisły, dlatego nie była ostrzeliwana i bombardowana. Przetrwała niezniszczona do dziś. 🍷

Fragment obrazu Bernarda Bellotta pt. *Widok Warszawy z tarasu Zamku Królewskiego*



Powodzie w dawnej Warszawie

Michał Pilich

Wylewy Wisły nawiedzały Warszawę od zarania jej istnienia, jednak ich katastrofalny rozmiar wzrastał wraz z postępującą urbanizacją – nie tyle całego miasta, położonego na wysokiej skarpie, ile przede wszystkim niżej położonych Powiśla czy Pragi

Powodzie następowały najczęściej podczas wiosennych roztopów, zazwyczaj w marcu albo po ulewnych deszczach w różnych okresach lata. Powstały nawet potoczne trzy określenia: „marcówka”, „jakubówka” i „świętojanka”. „Marcówka” była efektem topnienia śniegu i lodu pod koniec zimy. Natomiast „świętojanka” i „jakubówka” – od wspomnienia św. Jana Chrzciciela 24 czerwca oraz św. Jakuba 25 lipca – były powodzią, które przychodziły w wyniku długotrwałych opadów. Były i powodzie majowe czy też wylewy na przełomie sierpnia i września, których przyczyną był zapewne tzw. niż genuński, który w ubiegłym roku przyniósł katastrofalne opady na południowo-zachodnich krańcach Polski.

Najstarsze wzmianki o niszczycielskich wodach w stolicy pochodzą z XV w., kiedy w 1474 i 1475 r. powódź zalała Solec i Powiśle. Ucierpiał m.in. solecki kościół św. Małgorzaty, drewniana świątynia znajdująca się najprawdopodobniej u zbiegu dzisiejszych ulicy Solec i Ludnej. Obiekt nie przetrwał kolejnej powodzi z 1493 r. Po stu latach parafię odnowiła i nowy kościół pw. św. Anny i św. Małgorzaty wystawiła królowa Anna Jagiellonka – zbudowano go już w bezpiecznym miejscu na wysokiej skarpie, obok dzisiejszego Belwederu. Kościół dotrwał do 1818 r.

Rozproszone źródła wzmiankują i kolejne katastrofalne powodzie z XVII i XVIII w., zalewające nie tylko

Powiśle, Podzamcze, czy Rybaki, lecz także szeroko rozlewające się na prawym brzegu w sposób dziś dla nas niewyobrażalny. Według relacji opisujących powódź z lutego 1751 r. po przerwaniu lodowego zatoru na rzece Praga „stała jakby w morzu”, a woda zalała nawet wieś Bródno.

Szerzej opisywane i relacjonowane były powodzie XIX-wieczne, a to dzięki rozwojowi prasy i relacjom świadków opisujących je we wspomnieniach. Pierwszą była powódź wywołana przez ulewne deszcze nawiedzające Europę latem 1813 r., kiedy dobiegała końca epoka napoleońska. W tym to roku, 29 sierpnia, podczas kulminacyjnej fali zalane zostały Solec, Czerniaków, Wilanów i oczywiście Praga. Ponoć brakowało raptem pół łokcia, aby woda zalała pałac w Łazienkach. Kazimierz Władysław Wójcicki opisywał powódź w *Pamiętnikach dziecka Warszawy i innych wspomnieniach warszawskich*: „Widziałem płynące zabudowania, drewniane domy, obory, stajnie, chlewy, a obok nich konie przywiązane do żłobu, od którego oderwać się nie mogły, bydło i owce, i mnóstwo sprzętów rozmaitych”. Gapię wspominali o dostrzeżonej kołysce z niemowlęciem, którą niosła rzeka. Inna wersja opowieści dodawała psa, który towarzyszył dziecku i swoim ujadaniem przyciągał uwagę obserwatorów, a tym samym uratował niemowlę. Wspominano też o całym młynie niesionym przez wzburzone wody, na którego ganku stała kobieta z dzieckiem, również szczęśliwie uratowana przez rybackie łodzie.



Wylew Wisły 13-15 czerwca 1867 r., widok od Mariensztatu, drzeworyt wg rysunku Juliusza Kossaka

Kolejna powódź dotknęła miasto w końcu marca 1830 r. Woda z roztopów i masy pękającej kry zalała Saską Kępę i Pragę, tak że można było pływać czółnami. Podmycie fundamentów doprowadziło do zawalenia się murej praskiej prochowni.

Nie zawsze udawało się na czas uratować mosty łyżwowe. Były to ze swej natury przeprawy nietrwałe, częściowo rozbierane jesienią przed nadejściem mrozów skuwających rzekę. Mosty były bardzo niskie, ich kładka spoczywała na płaskodennych łodziach zwanych łyżwami. Mosty łyżwowe wznoszono w różnych miejscach. W XVII i XVIII w. budowano je na czas królewskich elekcji lub w związku z przeprowadzaniem się różnorakich wojsk. Mostem łyżwowym, który przetrwał najdłużej, był tzw. most Ponińskiego z lat 1775-1794.

Od początku XIX stulecia, a dokładnie od czasów napoleońskich, kolejny most wsparty na łodziach corocznie łączył lewobrzeżną ulicę Bednarską z prawobrzeżną ulicą Brukową – dzisiejszą Kłopotowskiego. Przy tym moście wystawiono w latach 1824-1825 zachowaną do dziś na Pradze Komorę Wodną (ul. Kłopotowskiego 1/3).

Zdarzało się, że wzbierające wody porwały część niezdemontowanych na czas łyżew, ciągnąc je za sobą. Jak donosił „Kurier Warszawski” (nr 140 z 1837 r.), podczas majowej powodzi w 1837 r. fragmenty rozerwanego mostu zabrały ze sobą przebywające na nim kilka osób i powóz z koniem. Szczęśliwie ludzi uratowano,

a fragment mostu z powozem i koniem osiadł na wiślanej wyspie, skąd został ściągnięty po opadnięciu wód.

Elementy rozerwanego mostu były zbyt cenne, aby zostawiać je jako porzucone, dlatego np. w 1840 r. władze, przezornie spodziewając się wezbrania Wisły, wyznaczyły nagrody dla osób ratujących fragmenty przeprawy lub zgłaszających ich znalezienie po przejściu powodzi. Dodajmy, że już w 1784 r. marszałek wielki koronny Michał Mniszech określił zasady zwrotu znalezionego drewna porwanego prawowitym właścicielem przez wodę.

Śpiętrzona kra doprowadziła do zawalenia się w 1603 r. części pierwszego stałego mostu, który powstał w latach 1568-1573 staraniem króla Zygmunta Augusta. Ten cud techniki, opiewany we fraszce Jana Kochanowskiego *Na most warszewski*, nie został odbudowany. Pozostała tylko tzw. baszta mostowa z 1581 r., stojąca do dziś na końcu ulicy Mostowej, w pobliżu Parku Fontann.

W XIX w. stało się już możliwe szybsze reagowanie na zagrożenie powodziowe. Mieszkańcy miasta i władze nie były zaskakiwane nagłym wzrostem poziomu Wisły, z wyprzedzeniem przybywali gońcy, w formie sztafety. System ten zorganizowano po 1839 r. Gońcy docierali z informacjami o podniesieniu stanu wód z Puław czy Zawichostu, co dawało warszawiakom ok. 48 godzin na przygotowanie. Dane z dalszych miejsc, położonych



Powódź na Solcu, 1884 r.

w górze rzeki, np. Krakowa, nie były wystarczająco precyzyjne, ponieważ nie uwzględniały niżej położonych wiślanych dopływów. Później nastał czas telegrafów, a w końcu i telefonu.

Uzyskanie zawczasu informacji pozwalało zabezpieczyć mienie i ewakuować mieszkańców, choć oczywiście zniszczenia i tak były nieuniknione. Należy pamiętać, że dotyczyły one przede wszystkim ubogich części miasta. Z jednej strony powodzie przyciągały, jak i dziś, gapiów oglądających z wysokości warszawskiej skarpy szeroko rozlane wody niosące drzewa i dobytek, z drugiej organizowano pomoc, która w XIX stuleciu przybierała coraz bardziej zorganizowane i różnorodne formy.

Władze rządowe i miejskie organizowały ewakuację ludności, także przy użyciu łodzi. W wydzielonych pomieszczeniach w pałacu Łubieńskich przy ulicy Królewskiej czy w dawnym pałacu Sapiechów przy Zakroczymskiej organizowano miejsca czasowego zamieszkania powodziaków. Wydawano posiłki i świadczone pomoc lekarską. Działania charytatywne wspierane były przez organizacje pomocowe, jak Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności czy doraźnie organizowane komitety. Zbiórki organizowane były przez redakcje gazet, urzędy czy sklepy. Zbierano środki dla powodziaków podczas charytatywnych koncertów i nabożeństw.

Działania te nie są nam obce i dziś, ale czymś obecnie niespotykanym podczas pomocy poszkodowanym były np. specjalnie pisane okolicznościowe wiersze, które deklamowano podczas charytatywnych spotkań czy też drukowano, aby dochód z ich sprzedaży przekazać poszkodowanym. Do takich utworów należały np. *Strasliwa noc nadwiślańska w czasie wezbrania Wisły dnia 29 sierpnia 1839 roku* autorstwa Wincentego Połtackiewicza czy *Nadwiślanie* Stanisława Jachowicza.

Powstała też okolicznościowa opera! Była to „komedioopera w jednym akcie” pt. *Wezbranie Wisły* autorstwa Ludwika Adama Dmuszewskiego, aktora i reżysera Teatru Narodowego, późniejszego długoletniego wydawcy „Kurier Warszawski”, wystawiona 17 grudnia 1813 r. na deskach Teatru Narodowego, aby upamiętnić sierpniową powódź z tegoż roku. Pomysł na libretto nie był skomplikowany. Młoda Różia zakochana w biednym Eraście nie może za niego wyjść, ponieważ ojciec chce jej małżeństwa z bogatym wdowcem Wolarskim. Niespodziewanie nadchodzi powodziowa fala i weryfikuje ludzkie charaktery. Okazuje się, że w obliczu zagrożenia Wolarski ratuje w pierwszej kolejności stado bydła i dobytek, a nie swojego synka. Z ratunkiem dziecku przybywa Erast. Widzący to ojciec Rózi, decyduje się oddać córkę bohaterowi. W roli Erasta występował sam autor, zaś Rózię zagrała jego żona. Sztuka nie była może zbyt skomplikowana, ale przyjęto ją dość pozytywnie i wracano do niej przy okazji kolejnych warszawskich powodzi, np. w 1839 r., kiedy to zaraz po powodzi wystawiono ją w Teatrze Rozmaitości.

Podczas powodzi w 1867 r. woda i niesione przez nią rzeczy nie zagrażały już nowej stałej przeprawie, jaką był most Kierbedzia oddany w 1864 r. Jednak majowa powódź z 1874 r. uszkodziła nowo budowany most kolejowy przy cytadeli, doprowadzając do zawalenia się kratownicy jednego z przęseł.

Wraz z powodziami wracał temat zabezpieczenia miasta przed wylewami. Do tej pory sypano lokalnie doraźne wały, groble i tamy, po których językowy ślad pozostał w nazwie jeszcze średniowiecznej ulicy Tamka. W 1821 r. rozpoczęła się budowa kamiennego bulwaru na Solcu, mającego chronić tereny Powiśla przed wodami powodziowymi.

Domena publiczna; M. Pillich

Podobnie było na Pradze. Podczas powodzi w połowie lipca 1867 r., jak donosiła „Gazeta Warszawska”, w nowo założonym parku Aleksandrowskim (dzisiejszy park Praski) „w niższych alejach drzew, które są dość już wysokie, całkiem nie widać lub też zaledwie wierzchołki”. W konsekwencji w 1868 r. zdecydowano się na usypanie wału przeciwpowodziowego na odcinku od mostka na Saską Kępę do mostu Kierbedzia, który to jak dotąd skutecznie chroni zabudowę dzielnicy. Większość istniejących dziś wałów powstała już w różnych dekadach XX w.

Miasto pamięć o katastrofalnych wylewach upamiętniało także tablicami z oznaczeniem stanu wód. Już w 1834 r. upamiętniono powódź z 1813 r. poprzez umieszczenie przy Bednarskiej tablicy z oznaczeniem najwyższego stanu wody.

W 1840 r., po kolejnym wielkim wylewie Wisły, jaki miał miejsce w 1839 r., wykonano żelazne tablice upamiętniające zarówno tę powódź, jak i wyżej wspomniany katastrofalny wylew z roku 1813. Tablice informowały,

Tablice upamiętniające wysokie stany wód Wisły na elewacji d. Komory Wodnej przy ul. Kłopotowskiego 1/3 ▶

Zdrój z 1835 r. pod dawnym kościołem kamedulskim w Lesie Bielańskim z oznaczeniem poziomu wód powodziowych ▼



że najwyższy stan wody z sierpnia 1813 r. wynosił 21 stóp (6,4 m), a nieco niżej znalazła się linia oznaczająca maksymalny stan wody z sierpnia 1839 r. Zostały one umieszczone aż na 10 budynkach w Warszawie, zarówno po lewej, jak i po prawej stronie Wisły, m.in. na ulicach Rybaki, Mariensztacie, Bednarskiej, Leszczyńskiej, a także na Pradze przy ulicy Żąbkowskiej (nr hip. 217) oraz na nadwiślańskiej komorze wodnej. Z tych tablic do dziś zachowała się tylko ta ostatnia na budynku, który dziś pełni funkcję Urzędu Stanu Cywilnego dla Pragi-Północ. Projekt budynku w stylu klasycystycznym wykonał Antonio Corazzi. Nad tą tablicą znajduje się druga, nieco węższa, dodana po kilku latach, a upamiętniająca powódź z 26 lipca 1844 r.

Podobne towarzyszyły innym tablicom umieszczonym w 1840 r. Jedna z niezachowanych tablica znajdowała się przy dzisiejszej ul. Żąbkowskiej 12. Oznacza to, że przy katastrofalnych powodziach woda zalewała na Pradze nawet oddalony od rzeki rejon ulicy Żąbkowskiej czy Targowej (!).

Kolejnym miejscem w Warszawie, gdzie można dziś spotkać oznakowanie wysokości wody powodziowej, jest park przy pałacu w Wilanowie. W pobliżu dawnej przepompowni w kształcie niewielkiego zameczku umieszczono na metalowym rusztowaniu pięć tabliczek upamiętniających wysokości, do jakich wznosiła się woda podczas wielkich powodzi, w tym z roku 1934, kiedy zalane zostały Wilanów (sam pałac szczęśliwie ocalał), Siekierki, Czerniaków czy prawobrzeżny Żerań i Pelcowizna. Do lat 90. XX w. oznaczenie to wyglądało

inaczej – były to metalowe opaski z datami wylewów, umieszczone wokół pnia starego drzewa, które rośło w tym miejscu.

Oznaczenie poziomu wód powodziowych znajdziemy także na zdroju na Bielanach, tuż pod dawnym kościołem kamedulskim w Lesie Bielańskim. Na pochodzącej z 1835 r. obudowie źródła wyryto oznaczenia poziomu wód powodziowych dwóch „marcówek” – z 15 marca 1888 r. oraz 11 marca 1891 r.

Także współcześnie w centrum Warszawy na odnowionych bulwarach nadwiślańskich na wysokości przejścia do ulicy Bednarskiej umieszczono w chodniku obok elektronicznego wodowskazu tablice informacyjne podające statystyczne dane dotyczące poziomu rzeki w Warszawie, w tym ponoć najwyższy stan rzeki, z 1844 r., wynoszący 863 cm.

Same pomiary poziomu wody w Wiśle rozpoczęto z inicjatywy Antoniego Magiera, kiedy to zamontowano wodowskaz założony przez kapitana pontonierów (ówczesnych saperów odpowiedzialnych za budowę mostów łyżwowych zwanych też pontonowymi) Jana Chrystiana Fierlinga przy moście łyżwowym u wylotu Bednarskiej. Notowanie wysokości wody w Wiśle rozpoczęło 1 lutego 1799 r.

Warto dodać, że warszawskie powodzie miały przełożenie na... rozwój języka polskiego. Do 1867 r. ofiary wylewu rzek nazywano różnie, najczęściej mówiono o nich jako o poszkodowanych przez powódź. Nie było ustalonego jednego określenia. Zwróciła na to uwagę redakcja „Tygodnika Ilustrowanego” w wydaniu z 10 sierpnia 1867 r. (nr 411): „Jak nazwać nieszczęśliwych tą klęską dotkniętych? Mówimy dotknięci wylewem, ale to zwrot zbyt sztuczny i przewlekły, jak na rzecz bardzo u nas powszednią”. Redakcja zorganizowała plebiscyt i zaproponowała ze swojej strony trzy określenia: „powodzianin”, „powylewiec” i „powodziak”. Jednocześnie zaapelowano do czytelników o podawanie własnych propozycji. Odzew na apel był duży i już w numerze z 31 sierpnia 1867 r. (nr 414) opublikowano wyniki – zdecydowanie wygrało określenie „powodzianin”. 🗳️

Michał Pilich – varsavianista, którego zainteresowania koncentrują się wokół warszawskiej Pragi, autor książek i artykułów o Pradze

Zainteresowanych tematem odsyłam do opracowań publikowanych współcześnie przez Małgorzatę Gutry-Korycką w „Pracach i Studiach Geograficznych” oraz Joannę Popiołek w „Almanachu Warszawy” (periodyk Muzeum Warszawy).

Budynek d. Komory Wodnej przy ul. Kłopotowskiego 1/3



M. Pilich

W 120. rocznicę wybuchu rewolucji 1905 r.



Antoni Uniechowski, *Manifestacja na placu Grzybowskim 13 listopada 1904 roku, 1950 r.*, zbiory Muzeum Warszawy

„W Warszawie krew się leje...”

Anna Kuligowska-Korzeniewska

W Warszawie połała się krew. Łała się także na ulicach Łodzi, Sosnowca, Lublina w końcu stycznia 1905 r., kiedy ciągnęły ulicami ogromne pochody (np. w Łodzi 100 tys. uczestników), solidaryzujące się z ofiarami „krwawej niedzieli” w Petersburgu z 22 stycznia 1905 r.

Tytuł tego artykułu zaczerpnęłam z książki Jana Parandowskiego pt. *Niebo w płomieniach*, wydanej w 1936 r. Cały zapis tego fragmentu brzmiał: „1 lutego 1905. Rozruchy za kordonem, w Warszawie krew się leje, nikt dobrze nie wie, co się tam odbywa. Smutno”. Autorem tego zdania jest w powieści Albin Grzegorzewski, radca dworu w Namiestnictwie Lwowskim, ojciec Teofila, ucznia VIII klasy gimnazjum, przeżywającego wówczas okres budzącej się niewiary w Boga (stąd tytuł powieści). W biurze pana radcy odbyła się tego dnia „wielka dyskusja”, ale dotyczyła ona nie Warszawy, lecz praprzyczyny rewolucji, czyli wojny rosyjsko-japońskiej: „[...] czy wolno się modlić za pogan przeciwko chrześcijanom. Ja – utrzymywał →



Krwawy car - pocztówka, nakładem czasopisma „Naprzód”, 1905 r.

Rysunek Henryka Nowodworskiego na okładce czasopisma „MUCHA”

Polaków o marazm duchowy, o niezdolność do czynu. Tymczasem społeczeństwo Królestwa swoją rewolucyjną aktywnością, swoją walką udowodniło, że się mylił. Objeżdżanie po miastach Królestwa z tą krzywdzącą je omyłką zakrawałoby może na obelgę rzuconą krwi przelanej za wolność”.

Była to odpowiedź udzielona przez Wyspiańskiego Ludwikowi Solskiemu, ówczesnemu dyrektorowi teatru krakowskiego, który chciał zorganizować specjalny zespół i z Weselem ruszyć w objazd po Priwiślinskim Kraju.

Wydarzenia rewolucyjne sprawiły, że jednak „kurtyna się uchyliła” i od 1906 r. widzowie Warszawy, Łodzi, Wilna mogli wreszcie obejrzeć akt pierwszy oraz początek drugiego aktu *Wesela*. Przyjmowano to jako narodowe wydarzenie, o czym świadczy recenzja Stanisława Łapińskiego w łódzkim „Rozwoju” (1906, nr 20): „Bo lud nasz, zwłaszcza ten siermiężny, którego duszy nikt jeszcze należycie nie zbadał, ale każdy odczuwa, ma w sobie moc wielką. Nie zgubił on ani czapki z piórami, ani złotego rogu, co budzi ze snu i do czynu zagrzewa, do czynu, którego ostatecznym wynikiem będzie – odrodzenie”.

Chciałabym się odwołać do widzów dobrze pamiętających finalne sceny *Ziemi obiecanej* w reżyserii Andrzeja Wajdy (1975). Dzieją się one we wnętrzu bogatego pałacu fabrykanckiego, który można bez trudu zidentyfikować: to najbardziej rozpoznawalny w Łodzi pałac – Izraela Kalmanowicza Poznańskiego (obecnie Muzeum Miasta Łodzi). W filmie Wajdy właścicielem rezydencji staje się Karol Borowiecki, po ślubie z Magdą Müller. Odbывается tutaj uroczyste przyjęcie z udziałem licznej plutokracji, złożonej z Polaków, Żydów i Niemców. Okazją jest pokazanie łódzkiemu światu „następcy tronu”, czyli przyszłego właściciela najpotężniejszej fabryki bawełny. Karol Borowiecki, we fraku, trzyma na ręku chłopca o jasnych włosach, w kontusiku, do którego przytroczona jest mała szabelka. Obok jaskrawo ubranej Magdy stoi jej ociec, stary Müller, nieudolnie naśladowujący krok poloneza. Karol wkracza do gabinetu, gdzie stawia chłopca na biurku, pozwala mu bawić się biurowymi przyrządami. Jednocześnie wskazuje ręką

Grzegorzewski senior – sądząc, że w tym wypadku poganie są narzędziem Bożym”. Rewolucjonści mogli też tak sądzić, skoro w listopadzie 1904 r. odmówili włożenia mundurów rosyjskich na Dalekim Wschodzie. Uczestnicy słynnej manifestacji na placu Grzybowskim pod czerwonymi sztandarami, zorganizowanej przez Polską Partię Socjalistyczną, zostali brutalnie zaatakowani przez carskie wojsko. Polała się krew. Lała się także na ulicach Łodzi, Sosnowca, Lublina w końcu stycznia 1905 r., kiedy ciągnęły ulicami ogromne pochody (np. w Łodzi 100 tys. uczestników), solidaryzujące się z ofiarami „krwawej niedzieli” w Petersburgu z 22 stycznia 1905 r.

Warto przypomnieć, jak znaczącą rolę odegrała wówczas Galicja, wspomagająca rewolucję. W Krakowie i Lwowie wychodziły m.in. czasopisma „Naprzód” i „Krytyka”, informujące o wydarzeniach w Królestwie oraz w Wilnie, Grodnie, Białymstoku, Kijowie. Właśnie w Galicji drukowano broszury agitujące do walki, opowiadania i powieści, wreszcie dramaty, które z powodów cenzuralnych nie mogły być grane za zgodą Warszawskiego Komitetu Cenzury (jak *Rewolucja* Kazimierza Przerwy-Tetmajera, *Książę Piatomkin* Tadeusza Micińskiego, *Prologi dramatyczne* Stanisława Brzozowskiego, *Róża* Stefana Żeromskiego). Uderza brak w tym spisie *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego. Zakaz obejmował i druk, i wystawienia tego „arcydramatu” w Królestwie. Nie bez znaczenia była również odmowa samego Wyspiańskiego, który, silnie przeżywając to, co się działo „za kordonem”, zdecydował: „W *Weselu* pomówiłem

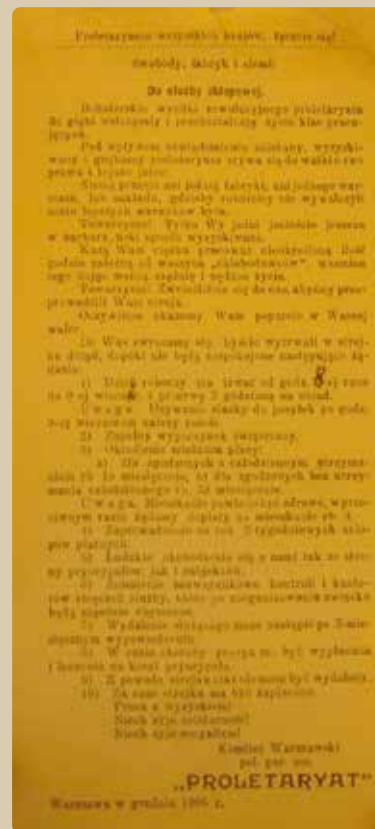


Odezw SDKPiL Na pierwszy maj 1905

Odezw Komitetu Warszawskiego PPS PPS Proletariat



Eksponaty z wystawy 1905. Nowy początek. Rewolucja na Woli i w Warszawie w Muzeum Warszawy



towarzyszącym mu Maksowi Baumowi oraz Morycowi Weltowi, aby przeszli na drugą stronę pałacu. Stąd przez okna widać nieruchome krosna i puste tkalnie. Nie ma wątpliwości: to strajk, a może nawet już zapowiedź lokautu – na przełomie 1906 i 1907 r. fabrykanci zwolnili buntujących się robotników i otworzyli zakłady dopiero po kilku miesiącach, pozabawiając jakiegokolwiek zarobku prawie 100 tys. łódzkich robotników i zmuszając ich potem do podpisania świadectw lojalności. Warto dodać, że ten niechlubny epizod rewolucyjny, relacjonowany w całej ówczesnej prasie, rozpoczął się – i zakończył – właśnie w fabryce Poznańskiego.

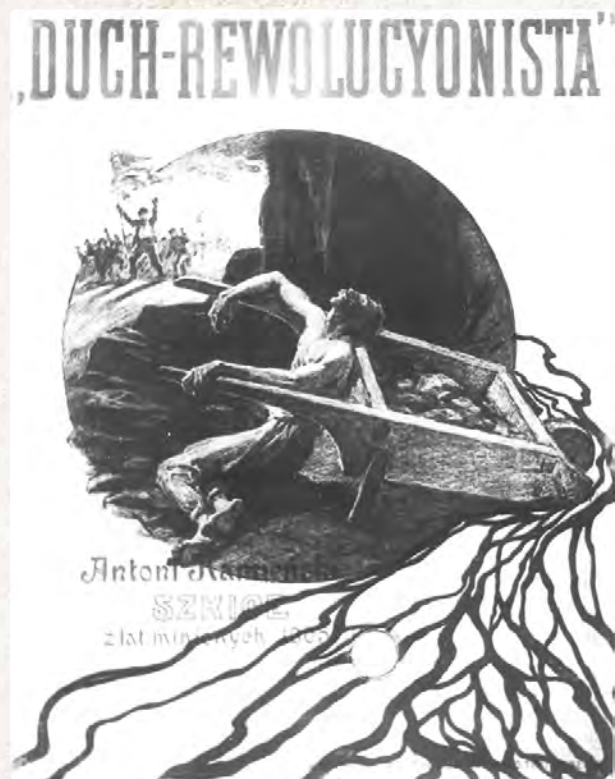
Karol usłyszał głosy i szmery od strony ulicy Ogrodowej, gdzie gromadziły się rodziny robotnicze, oczekujące na pracę. Naprzeciwko robotników nerwowo podrygiwali na koniach carscy żandarmi. Do salonu wpadł, wybijając szybę, duży kamień i z hałasem toczył

się po podłodze. Karol, nie chcąc sam wziąć odpowiedzialności za uciszenie strajku, wszedł do następnej sali, gdzie przy długim stole zebrali się wszyscy łódzcy fabrykanci. Borowiecki podsuwa im kartki do głosowania, a sam siada przy podwyższeniu stołu i czeka na wynik. Jest jedno-głośny: wszyscy są za użyciem karabinów przeciwko robotnikom. To fakt wzięty z początków rewolucji, kiedy zbierali się właściciele fabryk – przy udziale policmajstra, w łódzkim Grand Hotelu (ul. Piotrkowska 74) – i wspólnie decydowali o losach strajkujących, dopóki w przestrachu przed zamachami na swoje życie nie uciekli do Berlina.

Borowiecki, zebrawszy karty, wychyla się przez okno i daje znak dowódcy żandarmerii. Ten nakazuje ruszyć na tłum. Pierwszym zabitym jest młody chłopak, który rozwija niesiony przez siebie czerwony sztandar. Dostaje kulę w głowę i pada twarzą w czerwoną kałużę krwi.

Oczywiście takiego zakończenia nie znajdziemy u Reymonta. Przebywający w Łodzi w połowie lat 90. pisarz zaczął swoją powieść ogłaszać w warszawskim „Kurierze Codziennym” w odcinkach od stycznia 1897 do września 1898 r. Całość wydrukowała krakowska „Nowa Reforma” w 1897 r. Tekst wzbudził wtedy wiele zastrzeżeń, nie tylko ówczesnej krytyki literackiej, lecz przede wszystkim wielu „wzburzonych” łodzian, którzy rozpoznali w powieści niezbyt przychylne swoje konterfekty. Wiadomo, że z tego powodu Reymont wyjechał do Paryża, gdzie schronił się pod przyjacielskie skrzydła wybitnego krytyka Jana Lorentowicza.

A jak skończyła się ta drukowana *Ziemia obiecana*? Można powiedzieć, że stała się bliższa – w co trudno uwierzyć! – oryginalnemu tytułowi powieści! Otóż Karol Borowiecki, po kilku latach kierowania fabryką Müllera, doprowadziwszy ją do niebywałego rozkwitu, poczuł się znużony powiększaniem swojego majątku. On, typowy *łodzermensch*, stracił wiarę



Antoni Kamieński, *Duch Rewolucjonista*. Szkice z lat minionych 1905-1907, eksponat z wystawy 1905. Nowy początek. Rewolucja na Woli i w Warszawie w Muzeum Warszawy

w sens bogacenia się. Nie umiał używać życia na sposób łódzkich milionerów: „Bo i cóż – oddawał Reymont jego myśli – miało go bawić? A teraz za młodość całą, ze wszystkimi jej burzami, miał miliony i – nudę – nudę”. Jeśli się z niej wyzwolił, to zawdzięczał tę głęboką przemianę niespodziewanemu spotkaniu z dawną narzeczoną, Anką Kurowską. To spotkanie nastąpiło w parku w Helenowie, wówczas najwytworniejszym w Łodzi. Anna prowadziła tam długi szereg dziewczynek z dwóch sierocińców, które sama zorganizowała. Zdziwionego Karola przekonywała, że dzięki tej pracy odnalazła spokój, szczęście i sens życia. Pod wpływem jej słów Karol postanowił wyzbyć się egoizmu i napisał do Anki długi list, „prosząc o wskazówki potrzebne mu do założenia ochrony dla dzieci swoich robotników”. Ostatnie zdanie powieści, opatrzone datą Ouarville-Paryż 1897/8, stanowi ostateczne rozliczenie porachunku samego ze sobą: „– Przegrałem własne szczęście!... Trzeba je stwarzać dla drugich – szepnął [Borowiecki] wolno i mocnym, męskim spojrzeniem, jakby ramionami niezłomnych postanowień, ogarnął miasto uśpione i obszary nieobjęte, wyłaniające się z mroku nocy” (W.S. Reymont, *Ziemia obiecana*, Łódź 1987).

Kiedy w połowie lat 90. XX w. Andrzej Wajda odbierał dyplom doktora honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego, byłam przewodnikiem Państwa Wajdów po willi Herba przy ulicy Przędzalnianej. Miałam wówczas okazję

zapytać Pana Andrzeja, dlaczego odmienił przesłanie powieści Reymonta. Wskazał dwa powody. Po pierwsze, zakończenie *Ziemi obiecanej* wydawało mu się niezgodne z obrazem ówczesnej Łodzi – „drapieżnego miasta”, które wabiło możliwością szybkiego wzbogacenia się. Wszak ulicami łódzkimi – jak wówczas pisano – „płynęło złoto”. Rosły fortuny fabrykantów, których świadectwem były nie tylko ogromne gmachy fabryczne, lecz również pałace i wille w ogrodach. Zarazem Łódź przyciągała tysiące okolicznych chłopów, którzy przyjeżdżali tu z nadzieją na zarobek. Tak narodził się w niespotykanej skali na ziemiach polskich, w amerykańskim tempie, fabryczny proletariatus, który w drugim pokoleniu potrafił już zorganizować się w obronie swoich interesów i godności osobistej. Pod koniec XIX w. Łódź liczyła prawie 300 tys. mieszkańców, z czego ponad 70 procent stanowili robotnicy trzech narodowości: polskiej, żydowskiej i niemieckiej. To tutaj przybywali organizatorzy rewolucyjnych partii: Polskiej Partii Socjalistycznej, Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy, żydowskiego Bundu. To właśnie w Łodzi przy ul. Wschodniej 19 Józef Piłsudski wraz z żoną Marią drukowali w latach 1899-1900 czasopismo PPS „Robotnik”. W tym miejscu działa obecnie Oddział Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku i można oglądać stałą ekspozycję pt. *Bibuła – tajna drukarnia Józefa i Marii Piłsudskich*. Aresztowany wraz z żoną przez rosyjskich żandarmów Piłsudski został osadzony w ciężkim łódzkim więzieniu przy ulicy Gdańskiej, a następnie wywieziony do warszawskiej cytadeli.

Andrzej Wajda opowiadał mi także, iż w trakcie kręcenia w Łodzi *Ziemi obiecanej* najbardziej „gorącym tematem” był właśnie finał filmu. Najgłośniejszym dopominał się o jego zmianę Wojciech Pszoniak, którego Reymont „obarczył” – jak całą społeczność żydowskich fabrykantów – odpowiedzialnością za podpalenie nieubezpieczonej fabryki trzech przyjaciół. Chodziło oczywiście o zapowiedź Borowieckiego, że będzie ona produkować wysokiej jakości tkaniny, zarazem dostępne dzięki niskiej cenie. Na taką groźną konkurencję w Łodzi się nie godzono! Pszoniak obawiał się wówczas, że film wywoła falę antysemityzmu, na czym on sam może stracić, jako wspólny wykonawca roli Morycy Welta. Stało się więc na dopisaniu do filmowej *Ziemi obiecanej* epizodu z rewolucji 1905 r. Trzeba przyznać – a mówię to w swoim imieniu – scena krwawej manifestacji przed pałacem Poznańskiego robiła wielkie wrażenie i świetnie puentowała cały film.

Z pomocą licznych opracowań dotyczących 1905 r. w Łodzi spróbowałam znaleźć pierwowzór bohatera, który zginął na oczach Borowieckiego i jego gości. Mógł nim być chociażby 16-letni syn szewca, Tomasz Książczyk. Wziął on udział w manifestacji ulicznej przeciwko mobilizacji na front rosyjski, co przypominało brankę styczniową w 1863 r. Niósł czerwony sztandar, na którym były napisy w języku polskim: „Precz z mobilizacją!



REWOLUCJA NA WOLI

1905. Nowy początek. Rewolucja na Woli i w Warszawie to zapowiadana wystawa w Muzeum Woli przypominająca wydarzenia sprzed 120 lat w kontekście ich wpływu na kształtowanie się tożsamości dzielnic i miasta. Umacniała się wtedy świadomość polityczna i społeczna, zwłaszcza klasy robotniczej, strajkowała młodzież, nastąpiła radykalizacja ruchu emancypacyjnego kobiet. Walczono o ośmiodzinny dzień pracy, prawa pracownicze, powszechne prawo wyborcze i prawa kobiet. Domagano się upowszechnienia niezależności edukacji, w tym nauczania w języku polskim, możliwości zrzeszania się i zakładania związków zawodowych. Wydarzenia w Warszawie miały krwawy, dramatyczny przebieg. Dochodziło do masowych strajków i okupacji zakładów pracy, a manifestacje polityczne i robotnicze przeradzały się w walki uliczne ze stawianiem barykad oraz policyjnymi i wojskowymi pacyfikacjami. Dochodziło do zamachów bombowych. Na wystawie zobaczymy szeroki wybór obiektów ze zbiorów Muzeum Warszawy, jak sztandary z pochodów i strajków, pocztówki i ryciny ukazujące zdarzenia z manifestacji i walk ulicznych czy zdjęcia pokazujące 250-tysięczny pochód patriotyczny na ulicach Warszawy. Od 20 lutego w Muzeum Woli

Niech żyje wolność!”, a po drugiej stronie: „PPS”. Biegł z tym sztandarem ulicą Ogrodową przed demonstrantami. Postrzelony śmiertelnie, padł na bruk. Na wieść o tych wydarzeniach Centralny Komitet Robotniczy PPS wydał odezwę, zakończoną wezwaniem: „Tylko pod caratem możliwa jest taka okropna niewola, jaka zatruwa nasze dusze, tylko pod caratem możliwa jest taka nieprzejrzana ciemnota, w jakiej marnieją masy, tylko pod caratem wreszcie możliwy jest taki bezmierny wyzysk, jaki na nas uprawia burżuazja. Zemsta katowi, zemsta carowi!”.

Trzeba pamiętać, że w wielu miastach chodzimy po ulicach i placach, które w latach 1905-1907 nasiąkły krwią postrzelonych bądź straszonych przez rosyjskich żandarmów, w tym uczniów walczących o polską szkołę i polską niepodległość. Po powstaniach kościuszkowskim, listopadowym i styczniowym rewolucja 1905 r. była przecież kolejnym – czwartym! – powstaniem

narodowym. Julian Tuwim w *Kwiatach polskich* nazwał te uliczne krwawe ślady „purpurą łódzkich kwiatów”. Najwięcej rozlało się jej podczas tzw. czerwcowego strajku w 1905 r., kiedy zgodnie walczyli – budując barykady na ulicy Południowej (obecnie Rewolucji 1905 r.) – robotnicy polscy, niemieccy i żydowscy. Zginęło wówczas 151 bojowców, raniono 234, co upamiętnia mural na kamienicy przy ulicy Rewolucji 1905 r. Właśnie w tym miejscu rozpoczyna się coroczny marsz ulicą Piotrkowską pod hasłem *Żyję w mieście rewolucji*, organizowany przez teatr Chorea. Towarzyszy mu pieśń *Czerwony sztandar*, która była wykonywana w halach fabrycznych podczas strajków i pogrzebów ofiar na łódzkich cmentarzach. Tą pieśnią, obok *Marsylianki*, *Jeszcze Polska...*, *Boże, coś Polskę*, orkiestra i artyści 1 listopada 1905 r. przywitali z balkonów Teatru Wielkiego uczestników narodowego pochodu, który od pomnika Adama Mickiewicza przy Krakowskim Przedmieściu wkroczył na plac Teatralny w Warszawie. Niespodziewanie na ten pokojowy tłum wtargnęła od ulicy Senatorskiej konna żandarmeria, z szabłami, czego skutkiem było 40 zabitych i 170 rannych. Jak mocno utkwiała w pamięci potomnych ta straszliwa rzeź, świadczy *Ballada o placu Teatralnym* napisana przez Władysława Broniewskiego w 1932 r. Że ta krwawa ofiara nie pójdzie na darmo, przekonywała ostatnia zwrotka *Czerwonego sztandaru*, w której Bolesław Czerwieński uwiecznił paryskich komunardów walczących w 1871 r.:

„Dla wszystkich ludzi równe prawa
Wszak równe obowiązki są:
Z tym hasłem lud do walki stawia
I własną okupi ją krwią!
I własną okupi ją krwią
Dalej więc, dalej więc wzniesmy śpiew,
Nasz sztandar płynie ponad trony,
Niesie on, zemsty grom, ludu gniew,
A kolor jego jest czerwony,
Bo na nim robotników krew!
Bo na nim robotników krew!”.

prof. dr hab. Anna Kuligowska-Korzeniewska –
wykładowczyni historii teatru i dramatu w Uniwersytecie
Łódzkim oraz Akademii Teatralnej im. A. Zelwerowicza
w Warszawie

Proszę red. red. Adama Michnika i Jacka Sieradzkiego oraz prof. prof. Andrzeja Mencwela, Małgorzatę Szpakowską, Marcina Kulę, Andrzeja Friszkego oraz Jarosława Cymermana o przyjęcie podziękowań za udział 19 października 2024 r. w promocji mojej książki pt. *Czwarty akt „Wesela”*. Teatr polski wobec rewolucji 1905 roku, wydanej w 2023 r. przez Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszelewskiego w Warszawie. Redakcja STOLICY skorzystała z ilustracji zdobiących tę publikację i wydrukowała fragmenty mojego wystąpienia z tej uroczystości.

Karnawałowe zabawy na królewskim dworze

Joanna Borowska

„W pewnej porze roku chrześcijanie dostają wariacji i dopiero jakiś proch sypany im w kościele na głowy leczy takową” – tak po zimowym pobycie w naszym kraju o niezwykle wesoło obchodzonym karnawale w XVI-wiecznej Polsce pisał do sułtana Sulejmana Wspaniałego jego poseł. Tradycję niektórych zabaw zapustnych kultywuje się po dziś dzień. A jak to wyglądało w czasach saskich?



Jan Chrzciciel Lampi st. (atryb.), *Portret Stanisława Augusta z maską*, zbiory MNW



Para rozpoczynająca taniec, akwafora, ok. 1800 r.

Kiedy na tronie polskim w 1697 r. zasiadł elektor saski Fryderyk August I, przybierając imię August II, Polska i Saksonia zostały połączone unią personalną. Dwór królewski był dworem mobilnym, podróżującym między dwiema stolicami: Drezniem i Warszawą. August II do Rzeczypospolitej przyjeżdżał przede wszystkim w czasie obrad sejmiku i senatu. Najchętniej zatrzymywał się w swej prywatnej rezydencji, która początkowo nazywana była Pałacem Królewskim, a później Saskim. Kupiony w 1713 r. od rodziny Morsztynów pałac stał się dominantą barokowego założenia urbanistycznego – Osi Saskiej. Pałacowe wnętrza urządzono z przepychem. Na piętrze, obok pokoi audiencyjnych, znajdowała się wielka sala balowa z widokiem na ogród. Jej ściany były ozdobione obiciami z czerwono-złotego kurdybanu, czyli skórzanej tapety pokrytej tłoczeniami, malowidłami i złoceniami. Przyjmowano tu oficjalnych gości, organizowano królewskie przyjęcia, koncerty i bale.

Skąd się wziął karnawał?

Szczególne miejsce na królewskim dworze miały imprezy dostarczające nie tylko wyszukanej i artystycznej rozrywki, lecz przede wszystkim umacniające pozytywny wizerunek władcy. Najbardziej wyczekiwano

karnawału, który nazywano także zapustami, zapustem lub mięsopustem. Głównym powodem świętowania była ostatnia możliwość spożywania mięsa przed okresem postu. W związku z tym nazwa karnawał pochodzi najprawdopodobniej od łacińskich słów: *carnem levare* (usuwać mięso) bądź *caro vale* (żegnaj mięso). Istnieje również inna etymologia tej nazwy, która prowadzi do starożytnego Rzymu i wozu w kształcie okrętu *carrus navalis* uczestniczącego w świątecznej procesji ku czci boga Dionizosa.

Kierunek – Wenecja

Zwyczajowo karnawał rozpoczynał się wraz z Nowym Rokiem lub świętem Trzech Króli, a kończył we wtorek przed środą popielcową, która jest pierwszym dniem Wielkiego Postu. Wzorów karnawałowych zabaw w Europie dostarczała Wenecja. Już od 26 grudnia ściągali do niej cudzoziemcy, w tym liczni książęta, spragnieni rozrywek w niezwykłym miejscu. August II jako młody człowiek miał okazję bawić w Wenecji w trakcie karnawału w 1689 r.

Na saskim dworze karnawał nie miał ustalonego początku ani końca. W 1699 r. w Warszawie huczne zabawy trwały przez cały post, co bardzo gorszyło społeczeństwo. August II, nawet kiedy skończył 60 lat

Johann Samuel Mock, *Turek przy kawie*, zbiory MNW

i nie miał już tyle sił ani zdrowia co kiedyś, nadal organizował imprezy. Jak donosił „Kurier Polski” z 1731 r.: „Król jegomość przy konkluzji terażniejszego karnawału codziennie w pałacu swym daje bale”. Podczas karnawału wieczorami odbywały się także przedstawienia teatralne, koncerty oraz bale maskowe zwane redutami. W dzień oferowano inne atrakcje, do których należały polowania, kuligi czy zabawy rycerskie, tzw. karuzele, w trakcie których organizowano biegi do pierścienia i strzelanie do celu.

Festyn turecki

W czasach panowania Augusta II imprezą, która oczarowała zaproszonych gości swoją finezją, był wymysłony i zorganizowany przez króla festyn turecki. Rozpoczął on warszawski karnawał 6 stycznia 1715 r. Zabawa miała odtwarzać życie na dworze sułtana tureckiego. W tym celu kupiony w 1713 r. pałac, należący wcześniej do stolnika litewskiego Jana Henryka Bokuma, August II urządził w stylu osmańskim. Wnętrza budynku, położonego w północno-zachodniej części późniejszego Ogrodu Saskiego, udekorowano tkaninami

i kobiercami wschodnimi. Zawieszane w nich obrazy przedstawiały sułtana, jego oficerów, jak również piękne Turczynki. Podczas zorganizowanego festynu tureckiego orientalnej atmosfery dopełniały ozdobne przedmioty ze złota, srebra, drogich kamieni i porcelany. Efekt przepychu zwielokrotniały ustawione we wnętrzu lustra. Dekoracje znalazły się również w bogato iluminowanym ogrodzie. W imprezie wzięło udział ponad 300 dworzan w strojach tureckich. Straż trzymali czarnoskórzy niewolnicy, których ubrania i fryzury ozdobiono perłami i drogimi kamieniami. Zaproszonych gości, pośród których znalazła się dworska elita oraz ambasadorowie obcych państw, powitała kapela janczarska i trębacze. W jednym z pokojów urządzono seraj, czyli sułtański pałac. Nie było w nim krzeseł i biesiadnicy zajmowali porozrzucane na podłodze ozdobne poduszki. Częstoowano ich kawą i sorbetami, proponowano także perfumy i pachnące wody do obmywania rąk. W pomieszczeniu obok urządzono scenę, na której odegrano komedię Moliera *Lekarz mimo woli*. Po spektaklu goście zostali zaproszeni do trzeciej sali, gdzie ustawiono stół w kształcie półksiężyca. Po trzech godzinach ucztowania, w trakcie których wznoszono toasty przy muzyce i wystrzałach armatnich, powrócono do sali teatralnej zamienionej w salę balową. Przy dźwiękach kapeli wykonywano polskie i francuskie tańce. Zabawa skończyła się o godz. 5 nad ranem.

Reduty, czyli maskarady

W czasie karnawału popularnością cieszyły się reduty, które zapoczątkował w Warszawie August II. Stanowiły połączenie balu maskowego, gier hazardowych i uczty. Pierwsza z serii redut maskowych odbyła się 28 grudnia 1730 r. w Pałacu Saskim. Publiczne zabawy tego rodzaju miały miejsce w kamienicy przy ul. Piekarskiej 105. Brał w nich udział również August II, który bawił się na nich często do późnych godzin nocnych. Za prekursora maskarad w Polsce uważa się pochodzącego z Włoch Salvatora, który wznosił kamienicę na Nowym Mieście i tam urządzał zabawy. Odbywały się one również w wynajętych pałacach u Przeździeckich, Radziwiłłów czy Jabłonowskich.

Za panowania króla Augusta III reduty stały się niezwykle popularne także w innych miastach Rzeczypospolitej: Poznaniu, Lesznie, Lwowie czy Wilnie. W latach 40. XVIII w. wydawano je od października aż do adwentu i potem przez całe zapusty. Spotykano się nawet do pięciu razy w tygodniu. W niedziele maskarady odbywały się w kilku miejscach równocześnie, gdzie zawsze bywało dużo osób. Mógł w nich uczestniczyć



Kobieta i mężczyzna w strojach z XVIII w., pocztówka z lat 1880-1920

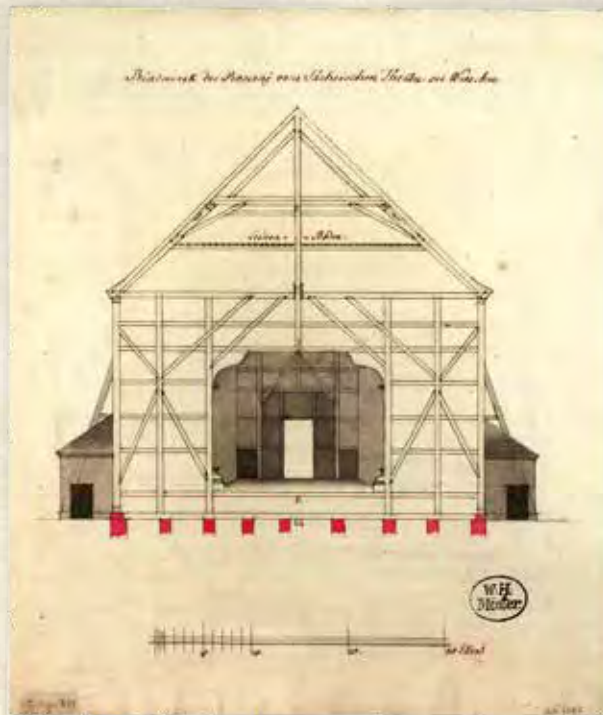
każdy, kto uiścił odpowiednią opłatę. W cenę biletu wliczone były świece i muzyka, ale za jedzenie, napoje i trunki trzeba było dosyć słono płacić. Goście mieli obowiązek zostawienia przed wejściem broni i nałożenia na twarz maski. Ksiądz Jędrzej Kitowicz w *Opisie obyczajów za panowania Augusta III* pisał, że zabawa polegała na „tańcu, grze w karty i przypatrywaniu się jedni drugim”. Strojem mężczyzn wchodzących na redutę, oprócz masek, jak wspominał Antoni Magier w *Estetyce miasta stołecznego Warszawy*, były: „płaszcz kitajkowy, bajuta, czyli gatunek peleryny, kitajkowa, gazowa, koronkowa; strój zwany nobile veneziano (wł. szlachcic wenecki) czarny z popielicami, chauve-souris (fr. nietoperz), arlekin itp.”. Z kolei Fryderyk Schulz, niemiecki literat i profesor historii, przebywający w Polsce pod koniec XVIII w., zauważał, że maski zarówno mężczyzn, jak i kobiet są dość pospolite. Najczęściej panowie wybierali się za diabła, stróża, woźnicę, nietoperza, kozaka czy Żyda, zaś w paniach można było po strojach rozpoznać wieśniaczki, Turczynki i Żydówki. Największe zyski organizatorom redut przynosiło wynajmowanie „zielonych stolików” do gry w karty. Czasem przy jednym z nich z rąk do rąk przechodziło po kilkanaście tysięcy czerwonych złotych.

Romantyczne sam na sam

Na redutach znikwały różnice stanowe, tu odbywały się schadzki kochanków, nawiązywano romantyczne znajomości. Często towarzystwo opuszczało imprezę, aby kontynuować ją w wynajętych pokojach. Zdarzało się,



że ubogie dziewczęta wabiono obietnicą miłej zabawy, a później wykorzystywano ich naiwność; padały one ofiarą gwałtu i przemocy. Pewnego zimowego ranka 1792 r. znaleziono młodą dziewczynę leżącą bez przytomności niedaleko bram Pałacu Saskiego. Odzież miała podartą, włosy potargane, na całym ciele widoczne były sińce i rany. Jak wykazało późniejsze śledztwo, dziewczyna bawiła się na reducie, później uległa namowom młodego szlachcica i udała się z nim na romantyczne sam na sam, które skończyło się dla niej tragicznie, co ku przestrodze odnotowała ówczesna prasa.



Szymon Bogumił Zug, projekt Operalni Saskiej w Warszawie, przekrój poprzeczny budynku, ok. 1765 r.

W czasach panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego reduty cieszyły się niesłabnącą popularnością, choć bale król urządzał już w Zamku. Maskarady przetrwały upadek Rzeczypospolitej. Organizowano je w następnych stuleciach, jednak ich charakter z czasem uległ zmianie.

Zabawa w gospodarstwo

Zabawą będącą ukoronowaniem karnawału i jednocześnie jego zamknięciem była maskarada zwana gospodarstwem. Tego rodzaju imprezę, znaną jeszcze z czasów panowania Władysława IV, na dworze Augusta II urządzano w ostatni dzień okresu karnawałowego. Uczestnicy pochodzący z wyższych sfer dzielili się na zespoły, a po ustaleniu tematu – jakim mogła być np. gospoda wiejska z górnikami i wieśniakami, wesele ludowe lub jarmark z kupcami, kupującymi, a nawet złodziejami i szarlatanami – przebierali się za osoby niskiego stanu. Celem takiej maskarady miała być dobra zabawa, zawierająca jednocześnie elementy spektaklu, tańca, biesiady i hazardu. Pierwsze gospodarstwo zorganizowane przez Augusta II odbyło się 22 lutego 1699 r. w Sali Senatorskiej Zamku Królewskiego. Nazwano je wirydarium lub ogrodem, salę przybrano gałązkami świerku. Sama impreza miała charakter jarmarku i mógł w niej wziąć udział każdy, byleby był w masce. Podobne zabawy odbywały się w Zamku w kolejnych latach. Zazwyczaj poprzedzał je spektakl teatralny. Rolę głównego gospodarza zawsze odgrywał król,

a impreza przebiegała według opracowanego przez niego planu. Pomiedzy tańcami ucztowano, a przy muzyce płynącej z trąbek i kotłów wznoszono toasty. W trakcie tańców gości częstowano konfektami, słodyczami, herbata, kawą i czekoladą.

5 marca 1715 r. zabawa w gospodarstwo odbyła się w dawnym pałacu Bokuma, miejscu określanym mianem pałacu tureckiego. Zgromadzone towarzystwo zostało podzielone na 12 par parobków polskich i tyle samo par parobków niemieckich. Pozostałe osoby przebrały się za postacie z komedii dell'arte: Pantalónów, Skaramuszków, Arlekinów i Hiszpanów. Po spektaklu teatralnym rozpoczęła się zabawa, w której rolę gospodarza, jak zwykle, pełnił król. Uczestnikom maskarady towarzyszyły zespoły muzyczne, których członkowie również byli przebrani. W trakcie uczty przy akompaniamencie muzyki wznoszono toasty, a imprezę tradycyjnie zakończono balem.

Asamble, przedstawienia teatralne, koncerty

Spotkania towarzyskie zwane asambkami lub apartamentami stanowiły stały element wszystkich pobytów dworu królewskiego w Warszawie. Organizowano je nawet podczas karnawału w 1735 r., w dodatku w apartamentach w Pałacu Saskim należących do Marii Józefy, żony Augusta III, która była wówczas w zaawansowanej ciąży. Spotkania odbywały się „przy licznej frekwencji ichmciów tu przytomnych” bez muzyki, dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i czwartki. Chętnie grano wówczas w karty. Popularnością cieszyła się gra w faraona, która, jak pisał Jędrzej Kitowicz, „tak się wszystkim podobała, iż ją na wszystkie kompanie, asamble, bale, reduty i same nawet królewskie pokoje przyjęto”. Po apartamentach na dworze królewskim, w pokojach ochmistrzyni dworu królowej, podawana była kolacja. Potem cała śmietanka towarzyska przenosiła się na bale organizowane w innych warszawskich rezydencjach. Niedziele należały do Henryka Brühla, który w swoich apartamentach w Pałacu Saskim urządzał asamble połączone z koncertami.

W trakcie karnawału w 1749 r. w poniedziałki, środy i piątki wystawiano komedie włoskie w otwartej niedawno w Ogródzie Saskim Operalni. W przerwach publiczności czas umilały występy baletu. Po spektaklu magnaci wydawali w swoich pałacach wystawne kolacje i bale. Kulminacją zabaw był wtorek zapustny. O północy wszystko cichło.

Po szaleństwach karnawału nadchodził czas Wielkiego Postu, który rozpoczynała środa popielcowa. W tym dniu katolicy szli do kościoła, gdzie kapłan posypywał im głowy popiołem. W tym okresie znaczenia nabierała muzyka kościelna. I choć był to czas wyciszenia, to nadal odbywały się spektakle teatralne, a w królewskich apartamentach organizowano asamble. ❁

Jedwabie i aksamity w barwach karnawałowych marzeń, czyli raj dla panienek i piekło ojców



Propozycje sukni balowych, „Nowe Mody”, 1896 r.

Anna Dorota Kamińska

Po pełnym powagi i poświęconym dobroczynności adwencie, po pełnych religijnej i rodzinnej atmosfery świętach Bożego Narodzenia – nadchodziła część roku, na myśl o której szybciej biły damskie serca: karnawał. Kilka tygodni wypełnionych prywatnymi i publicznymi balami, mniejszymi zabawami tanecznymi oraz wszelkiego rodzaju innymi atrakcjami towarzyskimi – ślizgawkami, kuligami, przedstawieniami...





Balowe kreacje dla pań w różnym wieku, „Tygodnik Mód i Powieści”, 1896 r.

Karnawał, powiadają, jest rajem dla pańienek, czyszczem dla matek skazanych na całonocną drzemkę, a piekłem dla ojców rodzin torturowanych ciągłym brakiem pieniędzy” – głosił w 1890 r. „Tygodnik Mód i Powieści”, a osiem lat wcześniej „Bluszcz” przepowiadał ponuro (tu i dalej w cytatach pisownia oryginalna): „Oh, będą się na ten nasz karnawał naszkarpać i ojcowie rodzin, gdy przyjdzie płacić zaległe rachunki, łokciowej długości, i pomęczone gospodynie domu, i głośniejsze, i żałośliwiejsze nad wszystkich, te panny na wydaniu, którym los nie dotrzymał tego, co walet kierowy w pasyansie zapowiadał...”.

Suknie balowe, jako wyjątkowo delikatne i kosztowne, nie należały do stałego wyposażenia garderoby, sprawiało się je z okazji karnawału – lub zielonego karnawału – według najnowszej mody. Ostatecznie można też było wydobyć suknie zeszłoroczne i za pomocą odpowiednich napraw i przeróbek odświeżyć je czy dopasować do aktualnej mody, jednak większość pań preferowała oczywiście kreacje nowe.

Podstawową cechą wszystkich sukni balowych i wieczorowych, niezależnie od mody, był głęboki dekolt i długi tren. W niektórych sezonach mogły pojawiać się, zwłaszcza dla pańienek, suknie do tańca bez trenu lub

z trenem niewielkim, ale w zasadzie nigdy bez dekolty, chociaż u młodych osób dobrze było przesłonić go nieco gazą czy tiulem. Nawet Bolesław Prus w swoim opisie karnawału podkreślał właśnie dekolt: „Panny i mężatki sztukują ogony sukien na debet staników, każdego wieczora w całej pełni okazują wdzięki, które w godzinach porannych zamykają się do szafy ogniotrwałej”.

Obowiązywały pewne zasady co do tkanin i kolorów – były one mocno zależne od stanu cywilnego. Tradycyjnie młode panny miały suknie w jasnych barwach, z lekkich, powiewnych tkanin, jak najprostsze. Oczywiście chodziło o prostotę według ówczesnej, wyjątkowo ozdobnej estetyki, więc daleko jej było do minimalizmu w dzisiejszym pojęciu. Tradycyjnie debutantki towarzyskie obowiązywała biel, potem mogły do niej dołączyć lekkie odcienie pastelowe. „Na pierwszym balu ma zazwyczaj młoda panna toaletę białą, skromną a poetyczną. Zaledwo ubarwia się ją jakimś kwiatkiem we włosach, jakąś niebieską wstążką w pasie, broń zaś Boże od sztucznej, wysoko piętrzącej się koafuury – najprościej splecione warkocze lub loki, oto najpiękniejsza ozdoba!” – pouczał poradnik etykiety z 1881 r. Wtórował mu poradnik ubierania się z 1890 r.: „Pierwszym balem musi zacząć każda panna szereg innych, toalecie też stosownej do tego występu, poświęćmy naczelne miejsce. Prawie

powszechnie przyjętą została suknia biała na powyższy występ uroczysty i to z całą słuszością; żaden inny kolor nie podnosi do tego stopnia świeżości cery i nie nadaje tak poetycznie skromnego wyglądu, jak kolor biały. Gdy jednak cera młodej osoby lub barwa włosów traci w sąsiedztwie powyższego koloru, to śmiało użyć można jakiegokolwiek innego jasnego i delikatnego odcienia. Fason sukni do pierwszego występu musi być możliwie skromny, jednolity, a wdzięczny. [...] Młoda osoba z domu bardzo zamożnego nigdy do pierwszego występu balowego nie powinna wybierać ani ciężkich koronek, ani materyi haftowanych, albo przerabianych srebrem i złotem”.

A specjalista od wszystkiego co światowe, Mieczysław Rościszewski, podsumował w 1905 r. sprawę tak: „Młode mężatki mają na sobie kosztowne toalety jedwabne, aksamitne i koronkowe jasne, przybrane kwiatami. Młode panny mają sukienki powiewne, lekkie, w barwach marzeń. Odcienie blade, niepewne lub skromna sukienka biała z tiulu albo muślinu, lekko wycięta dookoła szyi”.



▲ Zasady co do wyboru tkanin i kolorów były zależne od stanu cywilnego, „Tygodnik Mód i Powieści”, 1897 r.

◀ Młode mężatki błyszczały w kosztownych jedwabach i aksamitach, zależnie od zasobów swych mężów, „Nowe Mody”, 1897 r.

Suknie te mogły być zdobione girlandami czy bukietami sztucznych kwiatów. Zakładano niewiele biżuterii, przy czym młodym pannom przysługiwały głównie kamienie półszlachetne, biżuteria emaliowana, czasem perły. Wspomniany poradnik z 1890 r. określał jasno: „Stosownymi są: nieduży sznurek pereł, kolja z lekkich ogniw srebrnych czy złotych, z drobnych kwiatków, aksamitka, a najlepiej bukietek świeżych kwiatów, przypięty do stanika. Kolczyki z małej perełki, brylantika, lekkie bransoletki ze srebra, emalii”. O brylantach, rubinach i szmaragdach mogły panny na razie tylko śnić w swoich pastelowych marzeniach. I pewnie często to robiły. Na pociechę zapewniano je, że łatwiej jest znaleźć męża tej, która nie sprawia wrażenia mającej kosztowne i ekstrawaganckie upodobania. ➔





Strój balowy, ubranie wizytowe dla starszej osoby, ubranie domowe z szarfą, „Tygodnik Mód i Powieści”, 1901 r.

Za to młode mężatki – o ile nie były akurat w ciąży – mogły błyszczeć w kosztownych jedwabkach i atłasach, olśniewać brylantowymi diademami i kosztownymi koliami – oczywiście wszystko w zależności od zasobów małżonka. „Opowiadać więc chcemy o tegorocznej modzie karnawałowej, która łoży szczególne starania około toalet dla mężatek i zezwala nawet najmłodszym balowe suknie z ciężkich materiałów, n. p. z atlasu «duchesse», materiału «moiré» i brokatu. Moda była bardzo uprzejmą, niechaj i mężowie idą za jej przykładem” – zachwycały się w 1897 r. „Nowe Mody”.

Po ukończeniu pewnego wieku kobiecie nie wypadało już tańczyć na balach – chociaż jeszcze mogła sobie na to pozwolić podczas mniejszych przyjęć w bardziej kameralnym gronie. Bywała na nich raczej jako opiekunka swoich dorosłych córek czy powierzonych jej opiece młodszych krewnych. Siedziała w towarzystwie innych matron, oddając się plotkom towarzyskim i małżeńskim spekulacjom. Jednak musiała przecież godnie wystąpić, a do tego potrzebowała eleganckiej sukni wieczorowej, w ciemniejszych, stonowanych barwach, a także odpowiedniej biżuterii.

Najbardziej działającym na wyobraźnię spośród bałów był bal kostiumowy, na którym występowało się w strojach pomysłowych i fantastycznych. Był on także rozrywką najdroższą i z tego powodu przez niektórych postrzegana niechętnie. W żurnalach zawsze można było znaleźć różnego rodzaju wzory kostiumów – od stylizacji na wieśniaczki z rozmaitych regionów Europy czy postaci

z minionych epok po dość standardowe koncepcje w rodzaju „Wiosna”, „Paw” czy „Bratek” oraz raczej abstrakcyjne, jak „Akcja”, „Piernik” czy „Fonograf”. Kostium na taki bal można było oczywiście zamówić w magazynie mód czy dać do uszycia tańszej szwaczce, ale zawsze był to duży wydatek – każda suknia wymagała wiele tkaniny i znacznego nakładu pracy, a tu jeszcze czas gonił. Nie każdy był gotów do zapłacenia wysokiej ceny za strój – jak by nie było – raczej jednorazowy. Dlatego oprócz żurnalowych wzorów można było znaleźć różne porady, jak zaimprovizować kostium we własnym zakresie. Wiele kostiumów można było stworzyć za pomocą różnego rodzaju przybrań na gładkiej sukni. „Konwalie, bratki, fijołki i t. p. kwiaty pól, łąk, lasów lub ogrodów, bardzo wdzięcznie się do tego nadają: biały tarlatan naszyty liśćmi obranej rośliny, wyciętymi z zielonej materyi, niech tworzy spódniczkę, stanik, który przedstawia kielich czy koronę kwiatu, powinien być jakgdyby jednym tegoż kwiatu bukietem

i tak dalej, cały ubiór, ma obrany kwiat przedstawiać” – pisała Lucyna Ćwierczakiewiczowa dla „Bluszczu”.

Mieczysław Rościszewski również przygotował szereg porad: „Kostium bogini Nocy. Na to dość jest mieć czarną suknię atlasową lub nawet wełnianą; może być zużyta, nawet podartą – jeszcze się przyda. Spódnica gładka powłóczysta; stanik sznurowany z tyłu, dekolotowany wkoło. Kupuje się papieru srebrnego, wykrawa się go w gwiazdki i półksiężycy, które nakleja się tu i ówdzie na całej sukni. Znad każdego ramienia wyrastają nowie księżycy, tylko niejednakowe; należy je przygotować z tektury, ażeby się trzymały sztywno. We włosy można także wpiąć półksiężycy z tektury, oklejonej papierem srebrnym; półksiężyc ten powinien nieco od strony lewej podtrzymywać zbiegający od włosów aż do ziemi welon czarny w srebrne gwiazdy. Włosy posypane pudrem brylantowym. Długie czarne rękawiczki. W prawej ręce berło czarne, z powiewającymi dokoła paskami papieru srebrnego i gałką srebrną. Bukiet z kwiatów srebrnych przy gorsie. Pończochy i trzewiki czarne w gwiazdy srebrne. Dzień robi się tak samo, tylko z białego tarlatanu w gwiazdy złote. Na piersiach wielki słonecznik. Zamiast półksiężyców słońce złote. [...] Wachlarz. Do tego przebrania można spożytkować starą sukienkę wełnianą w kolorach: niebieskim, różowym i zielonym. Tu i ówdzie pstry się ją wachlarzami chińskimi po parę groszy”.

Proponowano także tańsze wersje bałów kostiumowych, np. takie, na których panie miały występować tylko w odpowiednich ubraniach głowy, jak choćby o tematyce kwiatowej.

Ogólnie radzono paniom nie przesadzać z liczbą sprawianych sobie kreacji. Sama Lucyna Ćwierczakiewiczowa napominała surowo w „Bluszczu” w 1887 r.: „Za dawnych, o wiele lepszych czasów, bogate nawet panie, tańcząc w czasie karnawału kilkanaście razy, obywateli się dwoma muślinowymi lub z lekkiej jakiej tkaniny wełnianej w rodzaju bareżów sukienkami, jedną białą, drugą różową lub niebieską, zmieniając czasem kwiatek lub wstążkę — i wierząc mi panie, że w owych czasach, bawiłyśmy się lepiej, niż wy dziś i nawet średnio zamożna bawiła się dobrze, bez nadwyrażania majątku rodziny. I szły takie panie za mąż”.



Ubrania kostiumowe i balowe, „Tygodnik Mód i Powieści”, 1886 r.

Fantazyjne kostiumy: „Muzyka”, „Wieczór” i „Pająk”, „Nowe Mody”, 1896 r.



Jednak wyposażenie karnawałowe nie kończyło się przecież na sukniach balowych. Obejmowało także tzw. *sortie de bal*, czyli ciepłe okrycie na suknię balową, strój wieczorowy odpowiedni do teatru czy na elegancką kolację, strój spacerowy, nadający się także na przejażdżki i na ślizgawkę, strój wizytowy na wizytyienne... A do tego dochodziły wszelkiego rodzaju dodatki w postaci odpowiedniego obuwia, rękawiczek, szali, wachlarzy i wszystkich innych niezbędnych drobiazgów. Antoni Kieniewicz tak opisywał przygotowania do pierwszego karnawału swojej przyszłej żony: „W samym początku karnawału zjechał Aleksander Grabowski z córką, z zamiarem wprowadzenia po raz pierwszy w świat panny Magdaleny, nazywanej w domu w skrócie Lala. Przyjechali zawczasu, by zaopatrzyć pannę w odpowiednie stroje balowe, wizytowe, żakiety, okrycia, kapelusze, buciczki, pantofelki, szaliki i wszelkiego rodzaju niezbędne fintifluszki”.

Rozpaczający nad rachunkami ojciec kilku córek – nawet całkiem oszczędnych – był zatem postacią całkowicie wiarygodną. 🌸



Na wieki wieków belfer

Tomasz Miłkowski

Pewnego dnia nauczyciel literatury zamiast rozpocząć lekcję o *Mizantropie* Moliera, wyciąga z teczki automat i strzela do swoich uczniów. Kładzie trupem połowę klasy maturalnej. Aresztowany i skazany na dożywocie, ma spędzić resztę życia za kratami. Ale jego los się odменя. Zgodnie z wolą ministrów sprawiedliwości i edukacji ma objeżdżać kraj wzdłuż i wszerz, by opowiadać swoją historię, przestrzegając innych przed naśladownictwem jego czynu. Staje się aktorem komiwojażerem, powtarzającym wciąż tę samą opowieść. Ale czy na pewno jest skazańcem? A może właśnie aktorem, który też miałby czasem ochotę unicestwić swoją publiczność. W monologu Belfra pojawia się i takie zwierzenie ministra edukacji, który w przypływie szczerości nie dość, że przyznaje, iż doskonale rozumie motywy, które skłoniły Belfra do wiadomego czynu, to jeszcze przyznaje, że nachodzi go czasem myśl, by wymordować kolegów z Rady Ministrów.

Czym tak naprawdę jest ta opowieść snuta przez tytułowego Belfra? Spowiedzią udręczonego nauczyciela, którego do zbrodni pchnęło poczucie daremności wieloletnich wysiłków, aby zaszczyć w swoich wychowankach ciekawość poznawania świata? Usprawiedliwieniem patologicznego mordercy? Grą z publicznością aktora, który zrazu ją uwodzi, aby potem odrzucić?

Sztuka Jean-Pierre'a Dopagne'a otwiera wiele możliwości interpretacji, z których skwapliwie korzysta Przemysław Bluszcz, uciekając od jednoznacznej, stanowczej odpowiedzi na te pytania. Dzięki temu jego monodram staje się pasjonującą przygodą, podróżą po labiryncie przeszkód, z którymi boryka się ktoś, kto pragnie sprostać obranej misji. Najpierw więc dowiadujemy się o drodze Belfra do szkoły, jego pierwotnej fascynacji zawodem, którą wzbudził w nim za młodu charyzmatyczny nauczyciel łaciny, aby potem towarzyszyć mu w rozzarowaniach, jakie przynosi praca z opornymi na wiedzę uczniami i pozbawionym złudzeń, pogrążonym w rutynie ciałem pedagogicznym.

Na scenie Ateneum stoi zaledwie stół, na którym Belfer ustawi ogromny diaskop, z którego rzucić będzie na ekran umieszczony po lewej stronie zdjęcia uczniów



swojej klasy. Za stołem ciągnąć się będzie korytarz – jak się okaże potem: więzienny. Jest jeszcze krzesło, którym Belfer ciśnie w chwili wzburzenia, a czasami będzie na nim przysiadł. Skromna dekoracja, ale to dość, aby stworzyć atmosferę osaczenia, wspomaganą światłami i ilustracją muzyczną.

Kryminalne mroczne tło nie pozbawia aktora możliwości tworzenia sytuacji groteskowych i zabawnych. Przeciwnie, reżyser spektaklu Jacek Bończyk zadbał, aby Przemysław Bluszcz wykorzystał swoje umiejętności parodystyczne. Aktor kilkoma kreskami, modulowanym głosem powołuje na moment do istnienia kilkanaście innych postaci: uczniów, nauczycieli, ministrów, żonę, córkę, dyrektora liceum. Z ich udziałem powstają celowo przerysowane scenki ilustrujące niemal gombrowiczowski obraz szkoły niczym z *Ferdynanduski*. Dodatkowy komentarz tworzą niepokojące, groźne uśmiechy Belfra, którymi usiane jest to przedstawienie. Aktor hipnotyzuje nimi widzów, w ten sposób akcentując swoją przewagę nad widownią, podobnie jak nauczyciel panujący nad klasą.

Zwierzenia-spektakl Belfra-aktora kończy fragment piosenki *Non, je ne regrette rien* (tłum. *Nie, niczego nie żałuję*) z repertuaru Édith Piaf, zacytowanej w wykonaniu Michała Bajora. To zapewne nieprzypadkowy finał, który daje widzom do myślenia. ●

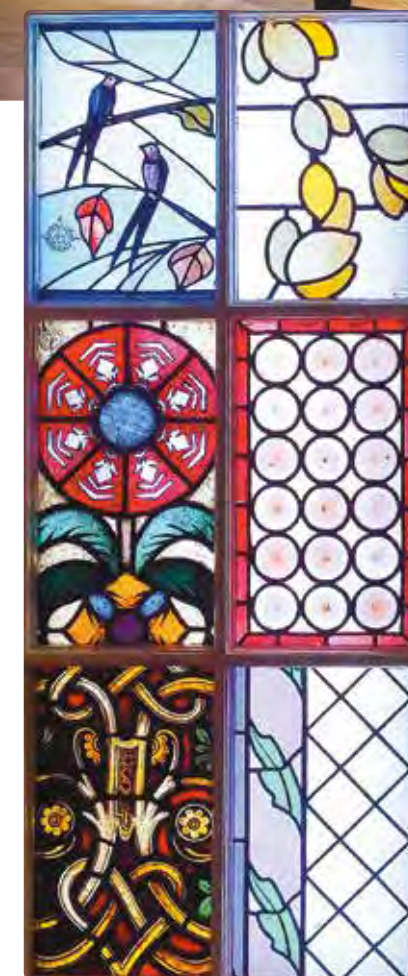
Belfer – autor sztuki Jean-Pierre Dopagne, tłum. Bogusława Frosztęga, reż. i oprac. muz. Jacek Bończyk, scenografia i światła Grzegorz Policiński, Scena 61 Teatru Ateneum, premiera 18 stycznia 2025 r.



Witraży czar

Wystawy w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej przy ul. Dziekania 1 należą do tych, które koniecznie trzeba obejrzeć. Tak jest też z najnowszą pt. *Światłem malowanie. Witraże i mozaiki z Krakowskiego Zakładu Witrażów S.G. Żeleński 1902-1952*, która pokazuje mistrzostwo zarówno projektantów witraży, jak i wykonawców. Ekspozycja jest pierwszą w historii prezentacją dorobku jednego z najważniejszych warsztatów tworzących witraże i mozaiki. Ten krakowski zakład powstał w 1902 r. z inicjatywy architekta Władysława Ekielskiego i malarza Antoniego Tucha. Od 1907 r. właścicielem firmy był Stanisław Gabriel Żeleński (1873-1914), brat Tadeusza Boya-Żeleńskiego i syn kompozytora Władysława Żeleńskiego. Po śmierci Stanisława Gabriela zakładem kierowała wdowa po nim, Iza Żeleńska z Madeyskich (1878-1956). Na wystawie zaprezentowano

prace ok. 30 spośród ponad 150 autorów współpracujących z zakładem. Większość eksponowanych dzieł nigdy nie była wystawiana. Najwięcej jest prac Franciszka Mączyńskiego, który najdłużej współpracował z zakładem i od 1921 r. był jego kierownikiem artystycznym, i Stefana W. Matejki (bratanka i ucznia Jana Matejki), który w latach 1907-1914 kierował działem figuralnym. Są także prace Jana Bukowskiego, Zofii Leśniak, Henryka Uziembły, Antoniego Michalaka, Jana Rembowskiego. Na wystawie nie zabrakło Józefa Mehoffera i Stanisława Wyspiańskiego, choć ich obecność została ledwie zasygnalizowana na rzecz wyeksponowania prac artystów mniej znanych. Dzieła pochodzą z kilku różnych placówek muzealnych, w tym Muzeum Narodowego w Warszawie, Muzeum Narodowego w Krakowie, Muzeum Okręgowego w Toruniu, Muzeum



Diecezjalnego w Płocku, Muzeum Mazowieckiego w Płocku, Muzeum Beskidzkiego w Wiśle oraz ze zbiorów prywatnych. Kuratorem wystawy jest Danuta Czapczyńska-Kleszczyńska. W sklepie muzealnym dostępne są publikacje dotyczące sztuki witrażu Krakowa i nie tylko. **Do 13 kwietnia** ●

Światłem malowanie. Witraże i mozaiki z Krakowskiego Zakładu Witrażów S.G. Żeleński 1902-1952, Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, ul. Dziekania 1

Muzeum Archidiecezji Warszawskiej; K. Komar-Michalczyk



♦ Egzemplarz Biblii Gutenberga ze zbiorów z Muzeum Diecezjalnego w Pelplinie do zobaczenia w stałej Galerii Sztuki Średniowiecznej MNW. Obiekt jest jedną z pierwszych tłoczonych przez mogunckiego drukarza ksiąg, a zarazem jedną z nielicznych zachowanych na świecie.

Do 23 marca

♦ Prezentowana w Zachęcie wystawa *Powtarzajcie za mną II* to zbiorowy portret świadków wojny trwającej w Ukrainie, pokazywany w formie instalacji audiowizualnej. Składają się na nią dwie prace wideo zrealizowane w 2022 i 2024 r. Ich bohaterami są cywilni uchodźcy, którzy opowiadają o wojnie zapamiętanymi dźwiękami broni, a potem zapraszają publiczność do ich powtórzenia. Artyści wykorzystują formułę karaoke, jednak w tym wypadku akompaniamentem nie są znane przeboje, lecz dźwięki wojny – wystrzały, kanonady, wycie i wybuchy, a tekstem – opisy śmiercionośnej broni. **Do 4 kwietnia**

♦ W 80. rocznicę zakończenia II wojny światowej nowa wystawa w Muzeum Historii Żydów Polskich Polin pt. *1945. Nie koniec, nie początek*. Jak potoczyły się powojenne losy polskich Żydów i Żydówek ocalałych z Zagłady? Jak wyglądały wysiłki na rzecz odrodzenia życia żydowskiego w powojennej Polsce? Odpowiedzi na te i inne pytania znajdziemy na wystawie, która będzie otwarta **do 15 września**.

♦ Ponad 500 m² przestrzeni kreatywno-edukacyjnej pełnej zakamarków, pokoi, instalacji do robienia sobie zdjęć. W Selfie Museum przy ul. Grzybowskiej 80/82 można obejrzeć ekspozycje wykorzystujące różne złudzenia optyczne, a przy okazji zrobić sobie selfie, jakiego nikt inny nie będzie miał! Godziny pracy na FB placówki, w poniedziałki nieczynne.

Ballada o balladzie Chopina

XIX Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina odbywać się będzie od 2 do 23 października 2025 r. Poprzedzony zostanie cyklem eliminacji, m.in. do 5 marca na podstawie zgłoszeń i nagrań młodych pianistów wybranych będzie 160 dopuszczonych do dalszych eliminacji. Przed publicznością zagra tylko 80 pianistów. Ważnym wydarzeniem towarzyszącym stanie się przygotowywana przez Narodowy Instytut Fryderyka Chopina wystawa czasowa pt. *Życie romantyczne*, zorganizowana we współpracy z muzeami paryskimi. Zaplanowano ją na okres od czerwca do końca października 2025 r. Swoistą sensacją będzie na niej świeżo nabyty przez NIFC rękopis ballady f-moll Chopina. Umowa sprzedaży jest objęta klauzulą poufności, ale sensacją jest, że ten cenny obiekt jest zapisany w innym metrum niż powszechnie znane, a główna melodia ma nieco inny przebieg niż w wersji ostatecznej. Warto dodać, że Chopin stworzył całkowicie nowy romantyczny gatunek w historii muzyki. Przed nim istniała jedynie ballada śpiewana, rozkwitająca szczególnie w epoce średniowiecza. Cztery ballady fortepianowe Chopina są absolutnym wyjątkiem. I choć twórca tego nie potwierdzał, przypuszcza się, że nawiązywał w nich do *Ballad* Mickiewicza. Ballada f-moll op. 52 była ostatnią z cyklu i nie ma żadnych poświadczonych przez kompozytora treści czy programu literackiego. Sam gatunek znalazł wielu naśladowców w późniejszych latach; są przykłady ballad u Ferencza Liszta, Johannesa Brahmsa, Gabriela Faurého, Juliusza Zarębskiego, Edvarda Griega i Claude’a Debussy’ego. Autentyczność atramentu żelazowo-galusowego, którym zapisane zostały nuty w rękopisie, a którego używano w czasach Chopina, jak też papieru nutowego zostały potwierdzone przez specjalistkę z Laboratorium Badań Archeometrycznych Uniwersytetu Warszawskiego prof. Barbarę Wagner. [Bronisław Tumiłowicz] ♦

Rękopis ballady f-moll Fryderyka Chopina – nowy nabytek NIFC



Materiały prasowe



Czary-mary w Guliwerze

Teatr Lalek Guliwer zaprasza na pierwszą w nowym roku premierę. To spektakl *Trzy piórka* według baśni braci Grimm w reżyserii Darii Kopiec, wielokrotnie nagradzanej reżyserki filmowej i teatralnej. Sztuka Zuzanny Bojdy zabiera najmłodszą publiczność w podróż do krainy fantazji. Widowisko jest pełną magii opowieścią o podróży bohatera, który odkrywa, że jego słabości stają się jego największą siłą. W baśniowej fabule połączonej z widowiskowymi efektami odnajdujemy prawdę o tym, że każdy z nas może być, kim chce, a szczęściem nie zawsze jest zdobycie królewskiej korony. – Spektakl *Trzy piórka* to opowieść o potrzebie każdego dziecka, aby być widzianym i przyjętym w swojej autentyczności. To opowieść o pragnieniu każdego z nas, by móc się wyrażać swobodnie. By być widzianym oczami miłości, a nie kryteriami uwarunkowań społecznych – mówi reżyserka spektaklu Daria Kopiec. Do współtworzenia świata w spektaklu obok dramatopisarki Zuzanny Bojdy reżyserka zaprosiła także Matyldę Kotlińską – autorkę scenografii i kostiumów – oraz choreografkę Magdę Fejdasz. Muzykę skomponowała Natalia Czekala, a autorką projekcji wideo jest Magda Parszewska. Więcej informacji o spektaklu i bilety na teatr-guliwer.pl. **Od 8 lutego** ♦

Nowy portal w Polinie

Muzeum Historii Żydów Polskich Polin otworzyło nowy portal: kolekcje.polin.pl, na którym zgromadzono dziesiątki tysięcy unikatowych obiektów związanych z historią i kulturą Żydów polskich. Obiekty – od prac XIX-wiecznych malarzy, poprzez dzieła z dwudziestolecia międzywojennego po twórczość współczesnych artystów, archiwa z kilkudziesięciu instytucji kultury, dokumenty, fotografie, przedmioty codziennego użytku, osobiste historie oraz 50 nagrań historii mówionej – są teraz dostępne online, w jednym miejscu. Portal powstał we współpracy z 30 instytucjami kultury z całej Polski. To dzięki ich zaangażowaniu udało się zdigitalizować i udostępnić obiekty, które do tej pory były rozproszone i często trudno dostępne dla publiczności. Portal *Kolekcje* powstał we współpracy ze Stowarzyszeniem Żydowski Instytut Historyczny w Polsce. ♦

♦ A tuż obok, przy ul. Grzybowskiej 88, Muzeum Nurkowania, którego narracja sięga aż do czasów Stanisława Augusta, przybliży budowę portu w Gdyni czy opowiada o nurkach, którzy po wojnie oczyszczali baseny portowe z min, wraków i gruzu. Placówka, która jest prowadzona społecznie, zaprasza we wtorki w godz. 11-17. Wstęp wolny.

♦ Wystawa *Uchwycić getto. Codzienności getta łódzkiego oczami artystów* w Żydowskim Instytucie Historycznym przedłużona **do 27 kwietnia**. Na ekspozycji historia łódzkiego getta ukazana jest poprzez biografie artystów i ich dzieła.

♦ Nowojorskie metalowo-hardcore’owe dźwięki **18 marca** w Progresji. Zagrają Biohazard i Life of Agony – po raz pierwszy na wspólnej trasie.

♦ Nieprzewidywalne, iluzoryczne, złudne, rozbudzające ciekawość – Cosmos Muzeum Warszawa przy ul. Łuckiej 15 proponuje interaktywną wystawę, opartą na sztuce cyfrowej. Na dwóch poziomach zgromadzono ponad 50 eksponatów, przy czym są wśród nich rzeczy, których... tak naprawdę nie ma. Szykujcie się na grę prawdy i pozorów! Muzeum otwarte codziennie do godz. 20 (dni powszednie) i 21 (weekendy).

♦ *Skamieniały świat; Magma-tyzm; Metamorfizm; Sedymentacja i diagenеза; Procesy krasowe* – te i inne tytuły wystaw przestaną brzmieć tajemniczo po wizycie w Muzeum Geologicznym przy ul. Rakowieckiej 4. Zobaczymy tu modele jaskiń, pustyni czy zrekonstruowane szczątki zwierząt prehistorycznych! Bezpłatne zwiedzanie indywidualne po niedziawk-piątek w godz. 9-17.30 oraz niedziele 10-15.

♦ Tegoroczna Noc Muzeów odbędzie się 17 maja. Formularz rejestracyjny już dostępny na stronie: nocmuzeow.um.warszawa.pl. Zgłoszenia do 17 marca.

Do repertuaru Teatru Powszechnego wszedł *Wiśniowy sad*. Ostatnią sztukę Antona Czechowa reżyser Paweł Łysak odziera z rosyjskości. *Wiśniowy sad* jest rozrachunkiem z obojętnością i brakiem empatii. W głównych rolach m.in. Aleksandra Konieczna i Ewa Skińska. **Od 8 lutego**

OCH-Teatr wystąpi z nową adaptacją powieści Witolda Gombrowicza. W *Ferdydurke* w reżyserii Mariusza Malca wystąpią m.in. Lidia Sadowa, Maria Seweryn, Sławomir Pacek, Sebastian Perdek, Otar Saralidze, Krzysztof Szczepaniak. Jak zapowiadają twórcy, spektakl jest uniwersalnym traktatem o poszukiwaniu własnej tożsamości, dramatem człowieka wiecznie dojrzewającego i thrillerem obyczajowym. **Od 28 lutego**

W Teatrze Ateneum odbyła się z wielkim sukcesem premiera *Pary nasyconej*. Autorem scenariusza, reżyserem i scenografem jest Marian Opania. Aktor także występuje i śpiewa w spektaklu. Autorem piosenek jest Jan Wołek. **Od 7 lutego**

W okolicach Warszawy błękitno-zielono. Do gminy Łomianki trafi ponad **1,3 mln zł** dofinansowania z programu regionalnego Fundusze Europejskie dla Mazowsza 2021-2027. Przy Jeziorze Pawłowskim powstaną ogrody deszczowe, trawniki rekreacyjne i łąki kwietne. Brzegi jeziora zostaną wzmocnione i obsadzone roślinnością szuwarową. W ramach przedsięwzięcia, które nosi nazwę *Błękitno-zielona infrastruktura przy Jeziorze Pawłowskim w Gminie Łomianki*, zostaną wybudowane kładka spacerowa i taras widokowy. Pojawiają się też nowe nasadzenia. Dopelnieniem będą oświetlone ścieżki przekształcające się w place wypoczynkowe z hamakami, ławkami, leżakami, stojakami na rowery i stolikami. ●

Mur jak nowy

Zakończono remont muru cmentarza Stare Powązki. Prace trwały kilkanaście lat. Miasto przeznaczyło na ten cel 4,2 mln zł w formie dotacji. To wysokie ogrodzenie z czerwonej cegły zostało odrębnie wpisane do rejestru zabytków w 2009 r. Najbardziej reprezentacyjną jego częścią jest brama św. Honoraty, wyremontowana w 2014 r. Od XIX w. w ogrodzenie wmurowano kilkaset nagrobków i płyt nagrobnych. Stan techniczny obiektu przed pracami był bardzo zły. Przyczyną, oprócz zniszczeń wojennych, był brak właściwej opieki, bliskość ruchliwych ulic, warunki atmosferyczne i upływ czasu. Z powodu znacznych uszkodzeń zdecydowano, że najlepszym rozwiązaniem będzie całkowita rozbiórka muru, a następnie jego odbudowa na nowych fundamentach. Większość cegieł pochodzących z rozbiórki użyto ponownie. Kiedy cegły nie nadawały się do powtórnego wykorzystania, zastępowano je zbliżoną wyglądem inną cegłą rozbiórkową. Oprócz nowych fundamentów wykonano izolację, niezbędne żelbetowe wzmocnienia i nowe betonowe czapy wieńczące. Podczas prac zabezpieczenie otrzymały nagrobki wmurowane w ogrodzenie. W 2024 r. wykonano ostatni etap z zaplanowanych, od strony ulic Tatarskiej i Ostroroga, po czym prace zakończono. Stare Powązki to najstarszy katolicki cmentarz Warszawy, założony w 1790 r. Pochowanych jest na nim ok. miliona osób, w tym wielu znanych, zasłużonych i wybitnych Polaków. W 2014 r. cmentarz Stare Powązki razem z pięcioma innymi nekropoliami tworzącymi zespół zabytkowych cmentarzy wyznaniowych na Powązkach został uznany za pomnik historii. ●



Verdi w TW-ON

W Teatrze Wielkim – Operze Narodowej *Simon Boccanegra* Giuseppe Verdiego z librettem Francesca Marii Piavego. *Opera* powstała w latach 50. XIX w. (prapremiera miała miejsce 12 marca 1857 r. w Teatro La Fenice w Wenecji) w czasie, kiedy Giuseppe Verdi, uskrzydłony rosnącą sławą, rzucał wyzwanie tradycji operowej. Jest to dzieło mroczne, z dominacją niskich głosów, z barytonem jako głównym bohaterem, bez drugoplanowych ról żeńskich. Simon Boccanegra – ponoć postać autentyczna, historyczna, korsarz na usługach Genui – dzięki poparciu plebejuszy zostaje pierwszym dożą. Kariera polityczna nie jest jego celem, ma jednak nadzieję, że dojście do władzy pozwoli mu na wykupienie się w łaski niedoszłego teścia odrzucającego związek patrycjuszki z narzeczonym niskiego pochodzenia. Opowieść o korsarzu pnącym się na szczyt niejako wbrew sobie kończy się tragicznie. *Warszawską inscenizację* przygotowała reżyserka filmowa Agnieszka Smoczyńska, debiutująca tym tytułem w teatrze operowym. Sceniczna historia według twórców przedstawienia nie rozgrywa się w średniowiecznej Genui, nie jest także komentarzem publicystycznym do sporów XIX-wiecznych frakcji politycznych w przededniu zjednoczenia Włoch. Akcja opery dzieje się w przyszłości, w postapokaliptycznym świecie dotkniętym katastrofą klimatyczną. ●

Simon Boccanegra, Giuseppe Verdi, reżyseria Agnieszka Smoczyńska, dyrygent Fabio Biondi, dramaturgia Robert Bolesta, współpraca reżyserska i choreograficzna Tomasz Jan Wygoda, scenografia Katarzyna Borkowska, kostiumy Katarzyna Lewińska, premiera 14.02.2025

Putta malowane

Malowidło obramowane sztukaterią, pokrywające cały strop ostatniej kondygnacji głównej klatki schodowej kamienicy przy ul. Wileńskiej 21, jest doskonale znane miłośnikom praskich zabytków. Środek kompozycji wypełnia niebo, a na jego tle unoszą się cztery putta trzymające lutnię, zeszyt, kiść winogron i dzban. W pewnej odległości od puttów umieszczono kartusz z monogramem ze splecionych liter H i M, od nazwiska właściciela kamienicy Haima Winklera. Badania konserwatorskie i prace ratunkowe na klatce schodowej zbudowanej ok. 1911 r. kamienicy właśnie się zakończyły, a objęte nimi zostały m.in.: opisywane tu malowidło, stolarka okienna i drzwiowa oraz ściany klatki schodowej i balustrady schodów. Warto pokreślić, że przykładów polichromii na klatkach



schodowych warszawskich domów z końca XIX i początku XX w. nie przetrwało wiele. Wśród zachowanych do dziś najciekawszych przykładów można wymienić dekoracje malarskie w kamienicach przy ul. Wileńskiej 19, Targowej 84, Inżynierskiej 9, Stalowej 11, Modlińskiej 257, Śniadeckich 18 czy Nowogrodzkiej 10. Mimo że są dużą rzadkością, nie zawsze spotykają się z adekwatnym do swej

wartości traktowaniem, by wymienić przypadek wymalowań na klatce schodowej domu przy ul. Targowej 61. Kilka lat temu, podczas kuriozalnego „remontu” tej kamienicy, dekoracje zostały zamalowane, a przy okazji usunięto dobrze zachowane posadzki z oryginalnych cementowych płytek z motywem szachownicy, by wymienić je na posadzki ze współczesnego granitu. ●

80 lat po wyzwoleniu w MN

Wyzwolenie Warszawy czy nowa okupacja? Od lat data 17 stycznia 1945 r. stoi u podstaw sporu – jak ją określać? Przeciwnicy pierwszego wariantu podkreślają dodatkowo, że przecież w tym czasie miasto było niemal całkowicie opustoszałe – po

podpisaniu aktu kapitulacji Powstania Warszawskiego 3 października 1945 r. Niemcy zarządzili ewakuację, a warszawiacy w większości przeszli przez obóz przejściowy w Pruszkowie. A jak te wydarzenia przedstawiali artyści? W Muzeum X Pawilonu

Cytadeli Warszawskiej, Galerii Malarstwa Historycznego Muzeum Niepodległości trwa wystawa *Wyzwolenie Warszawy*, na której zobaczyć można rzeźby, obrazy, rysunki i inne obiekty z kolekcji placówki przybliżające chwilę, na którą warszawiacy czekali ponad pięć lat – kiedy ich miasto będzie ponownie wolne od Niemców. **Do 31 marca** ●

Wyzwolenie Warszawy (Obiekty ze zbiorów Muzeum Niepodległości), Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej – oddział Muzeum Niepodległości, ul. Skazańców 25, kurator: Małgorzata Karolina Piekarska – Kierownik Działu Zbiorów



katalog wystawy do pobrania ze strony Muzeum Niepodległości





U cioci w domach z betonu?

Paweł Dunin-Wąsowicz

Pół wieku po *Warszawskich balladach podwórzowych* i trzy dekady po *Szlagierach starej Warszawy* doczekaliśmy się trzeciej ważkiej antologii piosenek warszawskich zatytułowanej wprost *Piosenki warszawskie*, wydanej przez Muzeum Warszawy. Jaka jest i czym się różni od swoich poprzedniczek?

Kilogramowa cegła przypomina wydane przez Muzeum Warszawy osiem lat temu *Legends warszawskie* – autorem uroczych kolorowych ilustracji jest ponownie Wojciech Pawliński, zaś redaktorką ponownie Julia Odnous-Pawlińska. Do wyboru i komentarzy redaktorka zaprosiła triumwirat w postaci dwóch dziennikarzy i muzyka: Bartka Chacińskiego, Jacka Hawryluka i Jana Emila Młynarskiego, zaś do naukowej nadbudowy – śmietankę uczonych z Instytutu Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego: prof. dr hab. Agnieszkę Karpowicz, dr. hab. Igora Piotrowskiego i dr. Piotra Kubowskiego (średnia wieku ekipy poniżej pięćdziesiątki).

Dwie poprzednie antologie były dziełami pojedynczych osób. *Warszawskie ballady podwórzowe* z 1973 r. zestawili i skomentowali profesor polonistyki UW Bronisław Wieczorkiewicz (1904-1974), autor popularnej *Gwary warszawskiej dawniej i dziś*, zaś *Szlagiery starej Warszawy* – Stasiek Wielanek (1949-2016), aktywny interpretator, niegdyś członek Kapeli Czerniakowskiej. Były też one książkami przede wszystkim o charakterze dokumentacyjnym. Wieczorkiewicz zaprezentował blisko dwie i pół setki tekstów (i całkiem sporo nut), opierając się głównie na popularnych przed wojną broszurach z piosenkami – często anonimowymi, ale niekoniecznie. Choć *Bal na Gnojnej* czy *Czarną Małkę* przypisujemy chętnie Stanisławowi Grzesiukowi, ten bard Czerniakowa wykonywał wyłącznie cudze piosenki, a w tych przypadkach autorami tekstów byli bynajmniej nie apasze, lecz zawodowi literaci inteligenci. Gdy w PRL zlikwidowano prywatne wydawnictwa, Wieczorkiewicz oprócz nielicznych autentyków (piosenki więzienne, ballada o Paramonowie) musiał przywoływać socrealistyczne propagandówki w rodzaju *Czerwonego autobusu* lub późniejsze stylizacje

z repertuaru Jaremy Stępowskiego (w tym *Taksówkarza warszawskiego* i *Statek do Młocin* z tekstami Wojciecha Młynarskiego). Antologia Wielanka zawierała podobną liczbę piosenek, ale z cezurą 1939 r. Nie ograniczał się on jednak pochodzeniem tekstów, stąd napchał dzieło produkcją głównego, a nie anonimowego podwórkowego obiegu kulturowego – co uświadamiało, że *gros* międzywojennych piosenek napisali autorzy pochodzenia żydowskiego, jak Włast, Tuwim, Hemar, Tom, Starski, Schlechter czy Szlengel. Co więcej, włączył do książki spory blok piosenek... lwowskich.

Nowe *Piosenki warszawskie* rodem z Muzeum, choć są grubsze od poprzednich publikacji, zawierają teksty tylko... 77 utworów z komentarzami do każdego: od XVIII-wiecznej *Dumy dziadów farskich*, dwu *Warszawianek* (z 1831 i 1905 r.) po Pablopavo, Taco Hemingwaya czy najnowsze *Schodki Maty* i *Jak żyć w WWA* Kaza Bałagane. Książka przy tak skromnym wyborze ma zatem ambicje nie dokumentacyjne, lecz raczej refleksyjne – utwory zgrupowane zostały problemowo jako reprezentatywne dla takich kwestii, jak: *Afekty* (uczucie do miasta i w mieście), *Tożsamości* (środowiska, charakter, aspiracje), *Zdarzenia* (inicjacje, konfrontacje, zabawy), *Czasoprzestrzeń* (transformacje, miejsca, nie-miejsca), *Zmysły* (odgłosy, widoki) – acz mam wrażenie, że pewnie można byłoby je swobodnie poprzesuwać. Aż 16 tekstów było wcześniej publikowanych przez Wieczorkiewicza. W jakim stopniu są „warszawskie”? Jak policzyłem, w 48 pojawiają się konkrety topograficzne w postaci nazw dzielnic i ulic. Natomiast w dziewięciu piosenkach identyfikowalna Warszawa... w ogóle się nie pojawia – jak w uniwersalnej *Warszawie* Beaty Kozidrak, którą można byłoby zatytułować nazwą dowolnego miasta rodzaju żeńskiego (np. Gdynia), *W domach z betonu* nie ma wolnej miłości śpiewanej przez Martynę Jakubowicz do słów jej byłego męża Andrzeja



Piosenki warszawskie. Antologia tekstów, koncepcja i redakcja merytoryczna: Julia Odnous-Pawlińska, wybór i komentarze: Bartek Chaciński, Jacek Hawryluk, Jan Emil Młynarski, wyd. Muzeum Warszawy, Warszawa 2024

czy zupełnie bez sensu przytoczonej *U cioci na imieninach* (pióra Andrzeja Własta) – a czemu nie *Przepijemy naszej babci domek cały*? Zdumiewająco często – w kilkunastu utworach – występują odwołania do II wojny światowej. I to nie tylko w piosenkach okupacyjnych i tużpowojennych (choć nie objaśniono, co znaczy: „ja na początku przez trzy lata byłam w Łodzi” w *Deszczu Gałczyńskiego* i Szpilmana), lecz także w *Warszawie* T. Love i nie tylko – o historycznych uwarunkowaniach tutejszej liryki piosenkowej mówi w zamykającym książkę szkicu Igor Piotrowski, przytaczający kapitalny szkic o pisaniu stereotypowej piosenki warszawskiej z kabaretu Owca z końca lat 60. Innymi słowy, książka idealna, reprezentatywna, przygotowana przez fachowców, doskonale zdokumentowana, a nawet wyposażona w adekwatny słowniczek.

Nie ma sensu wymieniać dalej wszystkiego tego, co w antologii jest – zajęłoby to pół numeru STOLICY – rzecz można sobie kupić i sprawdzić. Napiszę za to, o tym, czego w niej nie ma.

W skali ogólnej zabrakło mi trochę refleksji dotyczącej zaistnienia chwili, w której piosenka napisana przez wykonawcę (tzw. singer-songwriter) zaczęła wygrywać z utworami interpretowanymi przez piosenkarzy, ale komponowanymi i pisanymi przez muzyków i liryków zawodowców. Przed wojną piosenki autorskiej niemal w ogóle nie było (chyba wyjątkiem był Marian Rentgen), przełom nastąpił, kiedy własne teksty zaczął śpiewać w latach 60. Wojciech Młynarski, skądinąd ojciec współautora antologii Jana Emila – i chwała za omawianą *Niedzielę na Głównym*. Ale to rock’n’roll w latach 80. zrewolucjonizował w Polsce tę kwestię (choć w Kryzysie i Dezerterze teksty piosenek pisali nie wokaliści, lecz perkusiści), a ugruntował to w końcu lat 90. hip-hop.

Natomiast jeśli chodzi o szczegóły... Nie dziwi mnie nieobecność piosenek śpiewanych przez Lady

Pank – warszawskość sporego przeboju *Stacja Warszawa* jest taka jak adekwatnej piosenki Beaty Kozidrak, czyli uniwersalna – podstawić można każde inne miasto, Andrzej Mogielnicki w odróżnieniu od wcześniejszego hitu *Moje Kilimandżaro* z pierwszej płyty nie silił się nawet na lokalny akcent, jakim była wówczas wpleciona nazwa klubu Park. Niewątpliwie bardzo warszawskim zespołem był Oddział Zamknięty, ale jego wokalista Krzysztof Jaryczewski jako autor tekstów jakoś obywatelił się bez odwołań topograficznych, wyjąwszy aleję Róż w piosence *Debiut* (ale skoro są w antologii *Chryzantemy złociste*, to czemu nie miałyby być Oddziałowej Party o prywatce, której nie zrobił nikt?).

Sic transit gloria... 30 lat temu fakt podpisania przez Różę Europy kontraktu płytowego o rekordowej wartości trafił na pierwszą stronę „Wyborczej”, a zespół miał przeboje na szczytach list. Zanim jako gwiazda na chwilę trafili na firmament, byli ulubieńcami Piotra Bratkowskiego, który w swoich felietonach z cyklu *Prywatna taśmoteka* zrewolucjonizował pisanie o rockowej poezji, czyniąc teksty tworzone przez wokalistę Róż jej czołowymi przykładami. A były one właśnie bardzo warszawskie, pojawiał się Pałac Kultury (*List do Gertrudy Burgund*), robotnicy Huty Warszawa (*Stańcie przed lustrami*) i po raz pierwszy chyba kolejka podziemna (*Przyjedziesz metrem*). Klatta nie zacytowano w książce ani razu, nawet w szkicach przekrojowych jako kontekst. Podobnie w ogóle nie istnieją w *Piosenkach warszawskich* Elektryczne Gitary i autorzy tekstów nagrywanych przez nich coverów The Kinks i The Velvet Underground, takich jak *Stacja Wilanowska* (też o metrze) czy *Ja nie wiem, co to sen* (z motywem Wawrzyszewa) z Kubą Sienkiewiczem na czele. Raz jeden w indeksie pojawia się nazwisko Jacka Kaczmarskiego – przywoływany jest jako autor *Naszej klasy*, a przecież był autorem takich piosenek o Warszawie stanisławowskiej, jak *Rejtan*, czyli *raport ambasadora* czy *Krajobraz po uczcie* – poezji ulotnej tych czasów poświęcił bard zresztą swoją pracę magisterską.

Nie żał mi *Mokotowa* – ani tego z przypadkowej piosenki poznańczyka Grabaża firmowanej przez Strachy na Lachy, ani tego z piosenki Lilly Hates Roses sprzed dziewięciu lat, słusznie przepadnie anglojęzyczne *Goodnight Warsaw* duetu Paula i Karol, gdzie pod nazwę nadwiślańskiej stolicy można równie dobrze podstawić Moskwę albo Kyjów. Szkoda jednak, że zapomniano o takich spontanicznych kontynuatorach folkowej, a uwspółcześnionej miejskiej tradycji, jak Płyny (*Nikt nie ma ziola na Sienkiewicza*, ale i piosenki o clubbingu, plaży, zapachu z Wedla i Stadionie) czy Trawnik (*Franek, ja i Hela* czy nagrany także przez Elektryczne Gitary *Marymoncki Dżon*). Ale pewnie się czepiam – coś za coś. ●



Przez uchylone drzwi

Rafał Skąpski

Tym razem odstępuję od przyjętej kilka lat temu zasady, iż zachęcam tu Czytelników do lektury książek o tematyce warszawskiej z obszaru literatury faktu. Ten felieton będzie o prozie

Autor jest już Państwu znany z łamów STOLICY, ponieważ w styczniu 2021 r. pisałem o jego ważnych publikacjach dokumentujących pamięć o warszawskim klubie Hybrydy. Są to trzy kolejne tomy, za każdym razem znacznie poszerzane, z coraz bogatszą dokumentacją fotograficzną i wspomnieniową. Sławomir Rogowski jest medioznawcą, nauczycielem akademickim w stopniu doktora, ale też autorem zbioru opowiadań *Zima stulecia* i powieści *Widok z dachu*. W dorobku ma kilkanaście słuchowisk radiowych, scenariusze filmowe, produkcję i reżyserię kilku filmów. Człowiek orkiestra.

Pamiętam, z jaką przyjemnością czytałem jego debiut, odnajdując niemal Hrabalowski nastrój i zwięzły styl narracji, podziwiając gęstość akcji opowiadań i wyobraźnię autora. Przyszło mi także, już wtedy, na myśl nobilitujące debutanta skojarzenie z prozą Marka Nowakowskiego.

Najnowszym zbiorem opowiadań *Za tamtymi drzwiami* Rogowski odsłania przed nami zachowane w chłopięcej pamięci skrawki rodzinnych, a może i sąsiedzkich zdarzeń. Dzieli się z nami tym, co zapamiętał w przekazie rodzinnym od dziadków czy rodziców. Każde opowiadanie rozpoczyna się, toczy, kończy lub ociera o ziemię jędrzejowską, o miasteczka i wsie tego regionu. Jest to ziemia bliska mojej rodzinie, tam walczyli w powstaniu styczniowym dwaj bracia przyrodni mojego dziadka, tam w bitwie pod wsią Cierno jeden z nich zginął i został pochowany na cmentarzu w Jędrzejowie. Każde opowiadanie jest odrębną historią, z odrębnymi bohaterami, a łączy je charakterystyczny styl autora i rodzaj powinowactwa tematów.

Dzięki uprzejmości autora poznałem, kilka miesięcy przed wydaniem książki, opowiadanie *Benek z lasu* zamieszczone w publikacji jako pierwsze. Czytając gęstą od scen i wydarzeń akcję opowieści, poczułem nastrój przypominający mi znakomity film Janusza Majewskiego *Lokis*. Proszę moich skojarzeń prozy Rogowskiego z Bohumilem Hrabalem, Markiem Nowakowskim czy Januszem Majewskim w żadnym wypadku nie traktować jako zarzut, odwrotnie – wyrażam w ten sposób uznanie, połączone być może z rodzajem zawodowej, ale życzliwej, zazdrości.



Sławomir Rogowski
Za tamtymi drzwiami,
Warszawskie
Wydawnictwo
Literackie MUZA,
Warszawa 2024

Sławomir Rogowski nie zawsze wprost, ale jednak opowiada nam na tytułowe pytanie: co jest i co mogłoby być za tamtymi, umownymi, drzwiami. Uchylając przed czytelnikiem owe drzwi, zaprasza nas do rozległych obszarów swojej intymnej pamięci. Wprowadza nas w swoje postrzeganie świata, relacji międzyludzkich, wskazuje, jakie wartości są dla niego ważne. Nawet kiedy – do czego we wstępie się przyznaje – wprowadza elementy fikcji literackiej, to w większym jeszcze stopniu dzieli się z nami swoim intymnym wnętrzem.

Wspólna cecha opowiadań Rogowskiego to obecny w nich element emocji miłosno-erotycznych pomiędzy bohaterami. Autor pisze o tym nie wprost, niedosłownie, bez szczegółów, którymi niektórzy pisarze coraz częściej i bez oporów epatują czytelników. Rogowski daje nam jedynie sygnał, co łączyło, co mogło łączyć lub co było tylko marzeniem o miłości i jej spełnieniu. Iluż autorów nie hamowałoby się (i nie hamuje), by niemal bezwstydnie i bez ogródek pisać o uczuciach i o ich spełnianiu się. Rogowski docenia czytelnika i wierzy w jego wyobraźnię. Każda niemal scena, także niezwiązana z miłosnymi fascynacjami bohaterów, pobudza naszą wyobraźnię, każdy ma możliwość dopowiedzenia swojej wizji szczegółów, dalszego ciągu autorskiej narracji, dalszych losów bohaterów. Autor wierzy w nas i daje świadomie nam tę szansę, by „pisać” razem z nim. Przypomina mi to oszczędną kreskę grafika czy delikatne pociągnięcie pędzlem przez malarza, którzy inspirują naszą wyobraźnię, ze świadomością, iż interpretacja wcale nie musi być identyczna u twórcy i u odbiorcy.

Akcja opowiadania *Zupa cebulowa* toczy się na tle najbardziej dramatycznych wydarzeń w polskiej historii XX w. Edward, pochodzący – jakże by inaczej – z okolic Jędrzejowa, po ukończeniu seminarium nauczycielskiego mieszka i pracuje „za Bugiem” w małym miasteczku garnizonowym. Przeżywa tam rozterki, obawy i koszmary związane z niemal równoczesną agresją na ten teren wojsk niemieckich i radzieckich. Ucieka, wraca do rodzinnego Łysakowa, zamieszkuje na powrót w domu rodziców, ale już wiosną 1940 r. usamodzielnia się w Jędrzejowie, bo tam ma nadzieję czuć się bezpiecznie. Zostaje jednak uwikłany w relacje z nachalnym, ale życzliwym mu i nieagresywnym hitlerowcem, z narażeniem życia ratuje żydowską rodzinę swego szkolnego kolegi, w czym pomaga mu, o dziwo, ów Niemiec. Zostaje wciągnięty w ryzykowną działalność miejscowej Armii Krajowej.

Wreszcie z niepokojem i całkowitą nieprzewidywalnością przyszłych zdarzeń wita wojska radzieckie. Czy może nas dziwić, że mając taką okupacyjną przeszłość, stał się ofiarą powojennych pomówień i kłamliwych zarzutów? Rogowski w całym tym opowiadaniu pomieścił tak wiele wątków, że starczyłoby ich na kilka opowiadań lub całą powieść. Na szczęście autor nie przegaduje, nie rozwleka swojej prozy. Nie ma w niej zdań i słów niepotrzebnych, jest sama esencja, a to rzadka sztuka.

Książka zadedykowana jest: „Mojej Ani”. Nie zdziwi się więc autor, kiedy przyznam, że czytając ostatnie, najbardziej osobiste opowiadanie *Puste mieszkanie*, łza mi się w oku zakręciła.

Zachęcam, by otworzyli Państwo książkę Rogowskiego i sami się przekonali, co jest ukryte za tamtymi drzwiami. Warto. ●

Jak opiekować się kamienicami

W grudniu 2024 r. ukazały się dwa kolejne tomy z serii poradników konserwatorskich dla wybranych zagadnień i dzielnic Warszawy: *Poradnik dobrych praktyk architektonicznych – Ochota* oraz *Poradnik dobrych praktyk architektonicznych – warszawskie kamienice przełomu XIX i XX wieku*. Książki przybliżają typologię architektury przedmiotowych obszarów tematycznych, dobre i złe praktyki konserwatorskie, wytyczne w zakresie prawidłowego użytkowania obiektów historycznych, remontów konserwatorskich, finansowania prac konserwatorskich i prac budowlanych etc. Seria poradników zyskała już szerokie grono czytelników, dopytujących o kolejne tomy. W poprzednich latach ukazały się poradniki poświęcone kamienicom Pragi-Północ, prawobrzeżnym fabrykom, powojennym osiedlom Pragi, zabytkom Mokotowa, Żoliborza, Muranowa, Saskiej Kępy, architekturze drewnianej Warszawy czy socmodernizmowi. Książki skierowane są do właścicieli, użytkowników i zarządców obiektów zabytkowych, poszukujących informacji o tym, jak prawidłowo opiekować się obiektami historycznymi, z którymi stykają się na co dzień, jak również do osób profesjonalnie zajmujących się konserwacją zabytków. Ale to także publikacje dla wszystkich miłośników zabytków Warszawy, chcących poszerzyć swoją wiedzę o dziedzictwie poszczególnych dzielnic Warszawy. Na każdą z książek składa się ok. 10 tekstów napisanych przez specjalistów danej



Poradnik dobrych praktyk architektonicznych – warszawskie kamienice przełomu XIX i XX wieku, autorzy: Grzegorz A. Buczek, Andrzej Cichy, Anna Gola, Piotr Kilanowski, Katarzyna Komar-Michalczyk, Jerzy S. Majewski, Grzegorz K. Mika, Katarzyna Onisk, Anna Rostkowska, Sylwia Trzałkowska, Władysław Weker, fotografie współczesne: Kaja Diks, Wojciech Kmiec, red. J.S. Majewski, G. Mika, wyd. Fundacja Hereditas, Warszawa 2024

Poradnik dobrych praktyk architektonicznych – Ochota, autorzy: Grzegorz A. Buczek, Katarzyna Domagalska, Hanna Faryna-Paszkiewicz, Anna Gola, Jerzy S. Majewski, Grzegorz K. Mika, Katarzyna Onisk, Maja Skibińska, Aleksandra Wiktorko-Rakoczy, fotografie współczesne: Wojciech Kmiec, Mariusz Majewski, red. J.S. Majewski, G. Mika, wyd. Fundacja Hereditas, Warszawa 2024

dziedziny. Publikacje zostały bogato zilustrowane zdjęciami archiwalnymi i współczesnymi. Poradniki wydała Fundacja Hereditas przy dofinansowaniu m.st. Warszawy – Biura Stołecznego Konserwatora Zabytków. ●

Leśmian – poeta z Warszawy

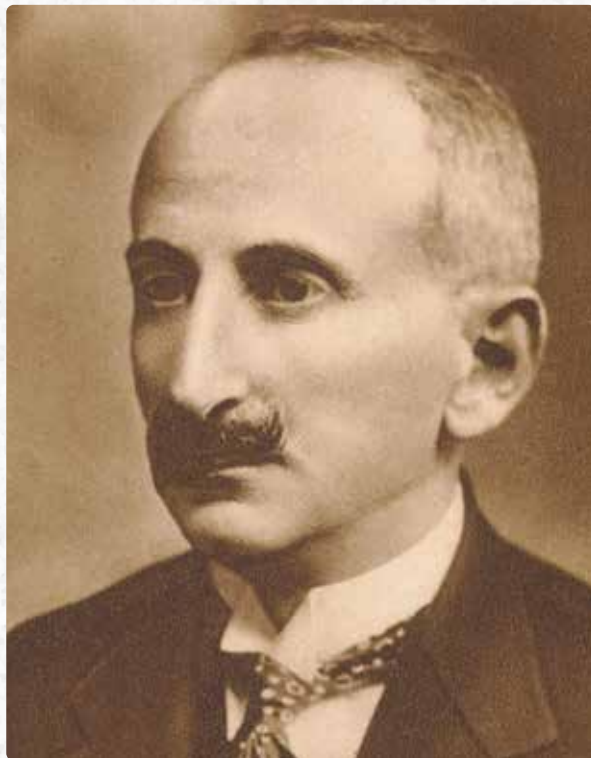
Piotr Łopuszański

Bolesław Leśmian, jeden z najwybitniejszych polskich poetów, uważany był często za człowieka wywodzącego się z prowincji, z Hrubieszowa i Zamościa. Tymczasem był warszawiakiem od kilku pokoleń. Urodził się w Warszawie, do Warszawy tęsknił w Kijowie, bywał w warszawskich kawiarniach, w Warszawie wydawał swoje książki i tu umarł

Jego przodkiem był Antoni Eisenbaum, dziennikarz, cenzor, wolnomularz, kierownik Warszawskiej Szkoły Rabinów, która kształciła późniejszą elitę intelektualną i gospodarczą Królestwa Polskiego. Eisenbaum był zwolennikiem asymilacji Żydów, a Szkoła Rabinów nauczwała według wzorców oświeceniowych. Paradoxem jest, że z jej progów nie wyszedł ani jeden rabin, za to jej absolwentami byli np. Orgelbrandowie, wydawcy encyklopedii. Antoni Eisenbaum był dziadkiem poety Antoniego Langego, pradiadkiem Bolesława Leśmiana (właściwie Lesmana), a także bajkopisarza Jana Lesmana (czyli Brzechwy) i filozofa Henryka Elzenberga, który po II wojnie stał się mentorem Zbigniewa Herberta.

Drugi pradiadek Bolesława, Lewin Selig, założył wytwórnię fajansu w Iłży i wytwarzał fajansowe naczynia stołowe. Stał się protoplastą rodziny Sunderlandów. Nieprawdą jest to, co pisał Jan Brzechwa, jakoby Stanisław Staszic sprowadził go z Anglii. Pradiad poety przybył do Warszawy samodzielnie, tu handlował fajansem i dopiero później przyjął ofertę założenia fabryki rodzimego fajansu.

Dziadek poety, Bernard Lesman, i stryj Antoni byli warszawskimi wydawcami i księgarzami, ojciec Leśmiana, Józef Lesman, studiował matematykę w warszawskiej Szkole Głównej, a następnie został redaktorem



Bolesław Leśmian, właśc. Lesman (1877-1937)

czasopisma popularyzującego naukę „Przyroda i Przemysł”. Józef ożenił się z Emmą Sunderland, wnuczką iłżeckiego fabrykanta fajansu. Brat Emmy, Seweryn, był powstańcem styczniowym, wydawcą czasopisma „Przyroda i Przemysł”, a później notariuszem. Ożenił się z siostrą Józefa Lesmana, Gustawą.

Do 2000 r. nie było biografii Leśmiana i pisano o nim na podstawie wydanego w 1966 r. tomu wspomnień o poecie. Wspomnienia nie zostały przez wydawcę zweryfikowane ani opatrzone komentarzem. Wynikło stąd wiele nieporozumień, np. Jan Brzechwa odmłodził swego stryjecznego brata o dwa lata i błędną datę urodzenia, rok 1879, kazał wyryć na płycie nagrobnej

Leśmiana. Wiele nieprawdziwych informacji podawała Izabela Stachowicz (Czajka), która wymyślała rozmaite anegdoty. Podobnie mało wiarygodne są wspomnienia Heleny Wiewiórskiej, Juliana Tuwima. Do mało rzetelnych należą opracowania Adama Bednarczyka i Jarosława Marka Rymkiewicza.

Prawda o Leśmianie i jego rodzinie jest ciekawsza niż wymyślane zdarzenia i spekulacje. Bo czyż nie są ciekawe powiązania rodziny poety z agentem wywiadu brytyjskiego? Mężem młodszej córki poety, Wandy, został w 1939 r. Denis Hills, odgrywający w rzeczywistości rolę agenta niczym James Bond z książek Fleminga. Był on dziennikarzem i nauczycielem języka angielskiego. Wywiadowi brytyjskiemu przekazywał informacje o wydarzeniach w Niemczech po dojściu Hitlera do władzy, o sytuacji w Wolnym Mieście Gdańsku, a następnie w Polsce przed wybuchem II wojny. W czasie wojny przebywał w Egipcie, potem współdziałał z polskim wojskiem i był świadkiem bitwy o Monte Cassino. Z Wandą Denis Hills miał córkę Gillian. Po rozwodzie ożenił się ponownie. Działał w Turcji i w krajach Afryki, które zrywały wówczas więzy kolonializmu. Aresztowany w 1975 r. w Nigerii pod zarzutem szpiegostwa, cudem uniknął śmierci. Wyratował go rząd brytyjski. W latach 80. ponownie przyjechał do Polski, jednakże władze PRL szybko zmusiły go do opuszczenia kraju. Hills zmarł w 2006 r.

Takiego zięcia poety nie wymyśliłaby Czajka-Stachowicz. A czy ktoś przypuszczałby, że córka Leśmiana będzie grać w warszawskich teatrach, m.in. Kameralnym i Narodowym, a z kolei wnuczka poety zagra w filmach Vadima, Antonioniego i Kubricka, a do tego będzie śpiewać popularne piosenki? Córka Wandy Lesmanówny i Denisa Hillsa, Gillian, grała m.in. w *Powiększeniu* i *Mechanicznej pomarańczy*.

Według autorów późniejszych opracowań, którzy podali wiele nieprawdziwych informacji, poeta miał się urodzić w Kijowie, na świat przyszedł w Sylwestra, był synem Aleksandra Lesmana, rzekomo wydawcy (Aleksander był pracownikiem kolei, a ojcem Jana Brzechwy). Twierdzono, że Leśmian zadebiutował utworami w języku rosyjskim, że był ateistą. Niektórzy pisali o Leśmianie jako o starozakonnym. Podawano, że poeta nadużywał alkoholu, że zmarł 7 listopada 1937 r. To wszystko była nieprawda.

Poeta przyszedł na świat 22 stycznia 1877 r. w istniejącej do dziś kamienicy przy ul. Chmielnej 17 / róg Brackiej 22. Według aktu urodzenia stało się to o godz. 3 po południu w domu o numerze hip. 1564a. W latach 70. XIX w. kamienica należała do księcia Jana Tadeusza Lubomirskiego. W okresie międzywojennym w partezie na rogu domu mieścił się popularny sklep delikatesowy firmy Bracia Pakulscy. Warto dodać, że kiedy

w latach 30. Leśmian zanosił swoje wiersze do „Gazety Polskiej”, siedł do redakcji mieszczącej się parę kroków od miejsca, gdzie przyszedł na świat.

Z nekrologów wiemy, że matka poety, Emma z Sunderlandów Lesmanowa, zmarła latem 1887 r. Bolesław miał wtedy 10 lat. Ostatnim adresem, pod jakim mieszkała (i prawdopodobnie jej dzieci), był dom przy ul. Marszałkowskiej 8. Obiekt nie istnieje, w latach 1935-1936 wystawiono w tym miejscu kamienicę według projektu Maksymiliana Goldberga i Hipolita Rutkowskiego), w której mieścił się teatr Marii Malickiej, a po wojnie Teatr Rozmaitości i... redakcja tygodnika „Stolica”.

Poeta wbrew temu, co pisano, pamiętał swoją matkę. W rękopisie wiersza *W smutku*, znanym potem jako *** (*Bóg mnie opuścił, nie wiem, czemu*), napisał:

„Matka szła wcześniej w mogił knieje.
Dziś mi, jak córka, w snach młodnieje”.

Nie jest prawdą, że Emma Lesmanowa zmarła na Ukrainie i tam znajduje się jej grób. Matka poety została pochowana w Warszawie na cmentarzu żydowskim. Według napisu na steli nagrobnej umarła 1 sierpnia 1887 r. Tymczasem w nekrologu z 2 sierpnia tegoż roku „Kurier Warszawski” podał, iż zmarła „po długiej i ciężkiej chorobie” 31 lipca.

Bolesław studiował prawo na uniwersytecie św. Włodzimierza w Kijowie. Pisano, jakoby Leśmian, który nie przykładał się do nauki, na egzaminach dostawał bardzo dobre oceny. Z dokumentów wynika, że „jechał” na trójczynach. Nie interesował się prawem, które studiował na życzenie ojca, lecz literaturą i filozofią.

Leśmian zaczął pisać wiersze wcześniej. W jednym z wywiadów powiedział, że zachował zeszyt z najdawniejszymi utworami. Autorka rozmowy w „Kuźni Młodych” z 1935 r. wyjaśniała czytelnikom: „Bolesław Leśmian ukochał poezję całą duszą i już w zaraniu młodości tworzył. Jako dziesięcioletni chłopiec ułożył wiersz o zimie. Leśmian ma swój albumik z pierwszymi utworami poetyckimi [pisownia ówczesna]”. Gdyby udało się kiedyś odnaleźć ten kajet – byłaby sensacja.

Nie jest prawdą, że poeta zadebiutował wierszem rosyjskim. Pierwszy opublikowany jego wiersz ukazał się w warszawskim tygodniku „Wędrowiec” w grudniu 1895 r. i nosił tytuł *Sekstyny*. Poeta podpisał się jako St[anisław] Lesman. Stanisław miał na drugie imię. Kolejne wiersze ogłaszał w „Tygodniku Ilustrowanym”, w „Głosie”. To czasopisma wydawane w Warszawie. Wiersze po rosyjsku opublikował dopiero w 1906 r., a więc ponad dekadę później.

Za życia wydał tylko trzy – wprawdzie obszerne – tomy wierszy, czwarty, pt. *Dzieńba leśna*, został wydany rok po śmierci Leśmiana. Poeta opublikował też dwie książki z baśniami dla dzieci: *Klechy sezamowe* i *Przygody Sindbada Żeglarza*. Mimo tak małej liczby dzieł ➔

przekręcano tytuły jego utworów. Jako badacz życia i twórczości poety spotkałem się z takimi dziwolągami: *Klechdy sezonowe*, *Sad roztargniony*, *Napój ciernisty*, *Gędzba leśna*.

Leśmian nie był starozakonnym ani ateistą, jak pisali niektórzy, lecz katolikiem – i to wierzącym. Został ochrzczony w katedrze warszawskiej w styczniu 1887 r. Dwukrotnie zaproszono go na świadka konwersji, a raz był ojcem chrzestnym – swej kuzynki Celiny Sunderland.

Próbowano zrobić z poety pijaka. Izabela Stachowicz pisała, jakoby Leśmian w latach 30. pod wpływem alkoholu zaczął wyciągać ryby z akwarium w restauracji Bachus. Anegdota była konfabulacją, jak wiele „wspomnień” Czajki. Sceny u Bachusa rzeczywiście się rozegrały, lecz ich bohaterem był malarz skandalista Romuald Kamil Witkowski. To on wyciągał ryby. Lubił też chadzać po ulicach warszawskich z oswojoną kaczką, którą prowadził na smyczy jak pieska. Czajka zapewne usłyszała w Ziemiańskiej anegdotę o Witkowskim i przypisała ją Leśmianowi, co więcej – twierdziła, że była świadkiem zdarzenia. Nie ma żadnej relacji wiarygodnych świadków o tym, aby poeta się upijał. Stachowicz pisała też o rzekomo bliskich relacjach, jakie łączyły ją z Leśmianem. Tymczasem córka poety informowała, że Czajka nigdy nie była u nich w domu.

Nie umiał się natomiast wyzbyć innego nałogu – bardzo dużo palił. Kiedy był w Paryżu, często brakowało mu pieniędzy. Gdy pod koniec marca 1904 r. otrzymał z domu pieniądze, szybko je wydał i po tygodniu znowu jego kieszenie świeciły pustkami. W liście do Zenona Przesmyckiego pisał wtedy: „Cały miesiąc przechodziłem przez męczarnie z powodu braku papierosów. Za to teraz dymię, niczym – komin. Jak Dant, za życia przeszedłem przez piekło”. Nic dziwnego, że po latach palenia chorował na serce. Kiedy miał 50 lat, przeszedł zawał, kilka lat później drugi. Wyglądał jak starzec. Trzeci atak serca, 5 listopada 1937 r., go zabił.

Poeta umarł 5 listopada 1937 r. – a nie 7 listopada – w mieszkaniu przy ul. Marszałkowskiej 17. Dom ten istnieje. Co ciekawe, w akcie zgonu omyłkowo napisano, że mieszkał i zmarł w domu przy ul. Mokotowskiej 17.

Leśmiana traktowano jako poetę z prowincji. Faktycznie, w latach 1918-1922 mieszkał oficjalnie w Hrubieszowie, a potem do 1935 r. w Zamościu, gdzie prowadził kancelarię notarialną, lecz pomieszkiwał tam po kilka dni, a potem na miesiąc lub parę tygodni jechał do Warszawy. Uwielbiał warszawskie kawiarnie. Na początku XX w. należał do stałych bywalców kawiarni Miki



Bolesław Leśmian, zdjęcie legitymacyjne

przy placu św. Aleksandra (dziś Trzech Krzyży) oraz Udziałowej, a w latach 20. zachodził do Ziemiańskiej. Nie siadał na półpięterku skamandrytów, którzy drwili z jego poezji, lecz przy stoliku artystów. Siadywał koło rzeźbiarza Henryka Kuny, malarki Zofii Stryjeńskiej. Jego kawiarnianym towarzyszem i dożgonnym przyjacielem był Franciszek Fiszer. Leśmian mówił o nim Franio. Fiszer nazywał Leśmiana Bolkim. Fizycznie różnili się bardzo. Fiszer miał niemal 2 m wzrostu i ogromną tuszę. Poeta według moich obliczeń miał 1,55 m – notabene tyle, co Sienkiewicz – i był drobny. Obaj interesowali się filozofią (Fiszer ją nawet studiował), obaj lubili dyskusje na rozmaite tematy.

W latach 20. Leśmian przyjeżdżał do stolicy jeszcze z jednego powodu. Tu, w kamienicy przy ul. Marszałkowskiej 148, mieszkała jego kochanka, doktor medycyny Teodora Lebenthal. Leśmian poznał ją w domu rodziny Sunderlandów w Iłży w 1917 r. i zakochał się. Poświęcił Dorze erotyki z tomu *Łąka*, w tym wspaniały cykl *W malinowym chruśniaku*. Kiedy w 1921 r. Dora pojechała do Paryża, poeta słał za nią listy: „Czy będziemy razem w Paryżu? [...] Strasznie jestem ciekawy Twego listu, ale mi tęskno do mojej rusałeczki. Dziecinko cudowna, rozkoszna, słodziuchna – mam nadzieję, że Ci się wszystko uda zrobić dla Siebie i dla mnie. Mam przecucie, że jesienią już na stałe będziemy w Paryżu. Jak myślisz? Będzie tam lepiej niż w Hrubieszowie [...] Czekam na Twój list, jak na zbawienie. Całuję, liżę i wacham nóżki twoje i pupuchnę, i kędzierzawkę – tęsknię i kocham bez granic. Twój Bolek”.

W edycji listów poety z 1962 r. redaktorka, kierując się pruderią, ocenzurowała dwa z trzech znanych listów Leśmiana do Dory i usunęła wzmianki o pupuchnie i kędzierzawce. Dora była dla poety „dziecinką”, „rusałeczką” i „szczęściem”. Leśmian w grudniu 1921 r. roił, że porzuci żonę i córki, a następnie osiadł z ukochaną w Paryżu. 26 grudnia tak do niej pisał: „Nie masz pojęcia, jak wyczekuję wiadomości, może zmieni się nam życie, wierzę w Ciebie, słowem, czekam. Życzę Tobie i sobie na Nowy Rok nowych triumfów życiowych, ustalenia się za granicą i miłości bezgranicznej, takiej jak zawsze, miłości i nowych krajów. Zlizuję brudziki z Twoich nóżek wonnych i z kędzierzawki mięciuchnej, ślinię Twoje usteczka i piersiczki, wacham i liżę Twoją pupuchnę i czekam na list. Twój Bolek”.

W Sylwestra był już zaniepokojony brakiem odpowiedzi: „Dotąd ani jednego słówka nie mam od Ciebie. Co to znaczy? Czy spotkałaś kogoś, co Ci się więcej spodobało? Czy wychodzisz za mąż? Czy jesteś chora? Nic nie wiem – tylko rozpaczam na niewiadome. Jak możesz

tak postępować ze mną? Czy Ci trudno kilka słów napisać i wysłać? Czy Cię już wcale nie obchodzi? Przecież mi trudno żyć bez listów od Ciebie. [...] Pomyśl, jak ja się tu czuję bez wiadomości o Tobie, o moim szczęściu jedynym, które tak daleko odjechało. Mam przecucia, że zapomniałaś o mnie. Czy tak? Czy to możliwe? [...] Może twoja wielka miłość nie była tak wielka?”.

Po powrocie Dory romans rozkwitł na nowo. Wprawdzie w Hrubieszowie, a potem w Zamościu, były żona i córki, ale poeta swoje częste wyjazdy do Warszawy tłumaczył wizytami u lekarzy, sprawami wydawniczymi, wreszcie wymyślił, że... masło warszawskie jest lepsze niż zamojskie i woli je przywozić ze stolicy. Po przyjeździe do Zamościa okazało się, że na etykiecie masła – niby warszawskiego – jest firma z Zamościa Żona, Zofia z Chylińskich, przez lata żyła w nieświadomości. Wreszcie wydało się, że Bolesław ma kochankę w Warszawie. Zofia, która wyszła za poetę z miłości w 1905 r. (w Paryżu) i dla niego porzuciła karierę malarską, zdecydowała się na rozwód. Leśmian ublażał ją, by nie odchodziła. Jakoś udało mu się ją przekonać. Przez 10 kolejnych lat żona tolerowała istnienie kochanki. Kiedy umierał, spytała go, czy wezwać Dorę. Leśmian nie chciał.

Archiwum Państwowe w Zamościu, FBC; K. Komar-Michalczyk

Strona tytułowa czasopisma „Przyroda i Przemysł”



Kamienica przy ul. Marszałkowskiej 17, w której Leśmian zmarł

Został pochowany na Starych Powązkach w grobie siostry. Aleksandra Lesmanówna zmarła na gruźlicę 20 czerwca 1921 r. w sanatorium w Otwocku. Leśmian poświęcił jej wiersz *Do siostry*, w którym pisał:

„Świat się zmniejszył na zawsze o twą drobną postać,
I zmalał cały świat!”.

Po jego śmierci wdowa, Zofia Lesmanowa, niedoceniana jako artystka, trochę przemilczana jako żona i adresatka erotyków z tomu *Sad roztajny*, wydała z Alfredem Tomem pośmiertny tom wierszy *Dzieńba leśna*, a po Powstaniu Warszawskim uratowała kilka rękopisów męża, m.in. *Skrzypka opętanego*, *Zdziczenie obyczajów pośmiertnych*, *Satyra i nimfę*, felieton *Życie – snem*. Razem ze starszą córką została wywieziona do obozu koncentracyjnego Mauthausen w Austrii i do innych obozów. Po wojnie zamieszkała w Argentynie, gdzie zmarła w 1964 r.

Dora zmarła na tyfus (nie popełniła samobójstwa, jak pisali niektórzy autorzy) w szpitalu w Iłży. Odeszła 22 stycznia 1942 r., w dniu 65. urodzin Leśmiana. Na ilżeckim cmentarzu jest tablica pamiątkowa poświęcona lekarce.

W rodzinnym mieście poety nie ma tablicy pamiątkowej ani na domu, gdzie się urodził, ani na fasadzie kamienicy, w której zmarł. W 2017 r. przygotowałem tekst napisu na tablicę, która miała być umieszczona na domu przy ul. Marszałkowskiej 17. Do jej odsłonięcia nie doszło. Mimo to pamiętajmy o poecie z Warszawy. 🍷

Piotr Łopuszański (ur. 1966) – z wykształcenia filozof; pisarz i publicysta, autor 14 książek, w tym pięciu o Leśmianie i trzech z cyklu *Warszawa literacka*. Obecnie przygotowuje *Kalendarz życia i twórczości Bolesława Leśmiana i jego rodziny*

OSTATNI SPACER ST. OLICY BEZ MARII TERLECKIEJ



Maria Terlecka nas opuściła. A wydawało się, że będzie z nami zawsze. Marię niezmiennie widywaliśmy w znakomitej formie i dobrej kondycji – optymistyczna, pełna energii, wędrowała z plecaczkiem po Warszawie, wpadała do redakcji, zawsze wnosząc sobą dobrą energię. Wrażliwość i delikatność. Nie ominęła żadnej okazji, by obdarować nas jakimś drobiazgiem, a to białym aniołkiem czy kolorowym mikołajkiem, a to oprawionymi w ramce swoimi rysunkami piórkiem. Była dobrym, uskrzydlałym nas duchem, a może raczej duszkiem z wielkim sercem.

Była artystką – artystką w pełni, całą sobą, z ducha, ciała, wrażliwości – artystką sztuk wizualnych i artystką słowa. Zaczynała od malarstwa, potem były mozaiki, kolaże, rysunki, grafiki, a także scenografia w Teatrze Adekwatnym i współpraca z Marią Teresą Wójcik i Henrykiem Boukołowskim.

Ale wypowiedanie się sztukami plastycznymi jej nie wystarczało. Jej wrażliwość na otaczający świat, a przede wszystkim na ludzi, empatia, widzenie wraz z czuciem duszy drugiego człowieka wymagały SŁOWA. Była jeszcze trauma wojenna, była dzieckiem wojny i jej najwcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa miały kolory pożogi i ruin.

Pierwszy tekst opublikowała w 1977 r. – właśnie w STOLICY. Nosił tytuł *Moja wojna*. Potem ta wojna często w jej pisarstwie będzie w jakiś sposób obecna: miasto, ulice, domy i ludzie mają swoją przeszłość, wpłatają się w proces przemijania, przemiany, zanikanie i odchodzenie.

W STOLICY rok później zadebiutowała jako poetka. Dużo pisała. Reportaże, impresje, felietony, opowiadania, wiersze publikowała nie tylko w STOLICY, lecz także w „Literaturze”, „Więzi”, „Wiadomościach Kulturalnych”, „Twórczości”. Wydała trzy powieści: *Plaża*, *Stranga*, *Niepokój* oraz zbiory wierszy, opowiadań i miniatur literackich. Jeden z nich, zatytułowany *Piórkiem o Warszawie*, wydaliśmy w 2009 r. w ramach serii *Biblioteka STOLICY*.

Kiedy w 2006 r. powróciła STOLICA, po kilkunastoletniej nieobecności na rynku wydawniczym, Maria Terlecka od razu dołączyła do zespołu. Nie weszła jednak

do ścisłego zespołu redagującego, była wolnym, swobodnym, kolorowym ptakiem, zawsze niezależna. Bardzo ceniła sobie tę wolność. Ale regularnie do każdego numeru przynosiła felietony. Jej cykl felietonów nosił nazwę *Z notatnika miastoluba*. Z Warszawą związana była niebywale, całe życie spędziła w tym mieście. Nie pisała o architekturze ani o budynkach – pisała o mieście, które przemija, które przez współczesny jazgot i przemiany jest zagłuszane i unicestwiane. Jej bohaterami byli zwykli, zwyczajni ludzie – bezdomny z placu Hallera, konduktor w pociągu, ostatni dorożkarz z Brzeskiej Ryszard Karton, który mieszkał na Bródnie, a konia trzymał na Strzeleckiej... Pewnego razu uczestniczyła w Wigilii dla bezdomnych, by doświadczyć i opisać w STOLICY, jak obchodzą Święta najubożsi w jej mieście.

Po kilkunastu latach poczuła się znudzona formułą felietonu *Z notatnika miastoluba* i zaproponowała coś nowego – spacerki po Warszawie w towarzystwie

Stanisława Olicy (St. Olicy), warszawiaka z krwi i kości, z dziada pradziada, któremu nic – co warszawskie – nie jest obce. *Spacerki St. Olicy* były zapisanymi obserwacjami dzisiejszej Warszawy przeplataneymi wspomnieniami. A ich nierozłączną częścią był rysunek piórkiem Marii.

Maria opuściła St. Olicę, już nie pójdą razem na spacer po Warszawie. Dołączyła do grona autorów i twórców reaktywowanej STOLICY – Krzysia Jaszczynskiego, Jarka Zielińskiego, Krystyny Kolińskiej, prof. Kwiryny Handke, Olgierda Budrewicza, Marka Nowakowskiego i innych. Reaktywowana STOLICA od początku postrzegana była jako czasopismo międzypokoleniowe, łączące wiedzę, doświadczenie i postrzeganie Warszawy przez ludzi w różnym wieku. Po 20 latach coraz bardziej staje się tytułem pokoleń urodzonych kilka dekad po wojnie. Wszystko przemija. A przecież nikt jak Ty, Mario, właśnie o przemijaniu nie pisał, nie ubierał jej w piękne poetyckie słowa. Żegnaj, jedyna w swoim rodzaju poetko słowa i sztuki. 🍷

Ewa Kielak-Ciemniewska



rys. Maria Terlecka

13 grudnia 2024 r. odeszła Maria Terlecka, debiutująca na łamach STOLICY w 1977 r., a po reaktywowaniu tytułu regularnie pisząca dla naszego czasopisma felietony. Poniżej publikujemy jej luźne notatki, w których proza miesza się z poezją, wspomnienia z dniem dzisiejszym, a rzeczywistość ze snem. To zapiski z ostatnich miesięcy Jej życia. Niewiele w nich zmieniliśmy – tu i ówdzie przedstawiliśmy przecinki, usunęliśmy niepotrzebną kropkę i... tylko trzy podwójne spacje! Pisała tak, jak rysowała – sprawnie, pewną ręką i z bezbłędną, drobiazgową oceną otaczającej ją rzeczywistości. Widziała świat na ostro, ale opisując go, zawsze chwytła za serce.

Ostatnie notatki Marii Terleckiej przekazał nam Jej syn, Marcin Dyjasiński.

Pamiętnik z utraty albo cud codzienności

Jestem sama ze swoją kruchą pamięcią. Muszę powołać do życia teatr życia, zapisać, dać mu materialny byt. Na razie jestem nikim, stanę się kimś, gdy utrwale swoje istnienie w czasie i przestrzeni. Teraz jestem u kresu bytu, to ostatnia chwila, żeby zaistnieć jako niepowtarzalny byt. Podobno mam wszystko na twardym dysku pamięci. No więc dalej!

.....

W pamięci bałagan, pomieszanie czasów i przestrzeni. Żadnej chronologii.

Jest lato 2024 r. Upalne. Wietrzne.

Lato 1944 r. było ciepłe. W ogrodzie dojrzewały pomidory. Ale piwnica była niska i zawaliła się po bombardowaniu. Trzeba było nas odgruzować. Przenieśliśmy się do piwnicy sąsiadów.

Zostawmy tamto lato. Niech sobie żyje w niepamięci. W pamięci jest rozłożysta jabłoń – papierówka. No więc w jej cieniu siedzimy, pijemy herbatę, jemy ciasto i gadamy od rzeczy – my, małolaty, za kilka lat ja i on pewnie się całujemy. O czym mówimy? Nie pamiętam. Przecież rozmawialiśmy – słowa, jak dmuchawce latawce uleciały z wiatrem, z czasem, w przestrzeń, gdzieś.

Zostawmy jabłoń, której nie ma.

Nie smakuje mi koniak, który sącę. Po co go piję? Żeby odblokować zardzewiałe wrota niepamięci. Przerwa na podejście do okna, wyjrzenie, sprawdzenie, co się dzieje na ulicy. Nic się nie dzieje.

Nic się nie dzieje. Ale to cud codzienności.

To dziennik z utraty. Utraty lat, dni, pamięci i radości, smaku. Utrata, czyli odchodzenie, czasami umieranie, czasami zmartwychwstanie.

Ranek. Zmartwychwstanie, ale też odchodzenie, ze snu, nocy. Żyję. 11 sierpnia 2024 r. Niedziela. Super!

Super! Cud codzienności!

Zapominanie. Utrata pamięci, szczegółów. Nazwisko. Imię. Nazwa – trzeba trudu przypomnienia. Zapomniałam, kim był generał Haller. Przykre, upokarzające, jeśli są świadkowie zapomnienia.

Ale są też chwile olśnienia.

Galopującej pamięci. Wszystko wrze, wszystko powraca. Dół, góra. Dobrze, źle. Euforia, depresja. Tak to jest w procesie utraty. Nic constans. Nic constans.

Znowu ranek, darowany. Jak wszystkie przyszłe dni. Dar cenny, coraz cenniejszy. Po kilku łykach kawy – euforia. Super! Super! Cud codzienności. Wiem, potem przyjdzie depresja. No cóż, przyjdzie. Odejdzie. To też wpisane jest w utratę.

Wychodzę.

Tak naprawdę utrata zaczęła się 24 lutego 2022 r. w dniu wybuchu wojny na Ukrainie. Przedtem owszem, była, ale jakaś taka niewyraźna. Prawdziwa zaczęła się w lutym 2022 r., bowiem uświadomiła mi nie tylko naturalną utratę (wiek), ale też zagrożenie utratą płynącą z zewnątrz. No i wróciła moja własna wojna (utrata) sprzed 80 lat. I tak, pożenione utraty wspólnie napadły na starą kobietę, zmuszając do bilansu życia, zmuszając do uważności dnia dzisiejszego.

Jest dziś.

Jest tylko dziś. Nie ma przeszłości, nie ma przyszłości. Jest cud codzienności. Idę spać.
.....

Żyłam, jak chciałam.

Żyłam, jak chciałam, unikałam zniewolenia. Czasami miało to swoją cenę. Ale trudno. Tak chciałam i niczego nie żałuję, nawet utraconych szans. Szans na co? Nie wiem, na co....
Żyłam, jak chciałam, czasami pod prąd. Pod prąd, pod prąd. I niech mi wybaczą ci, którym zrobiłam przykrość lub skrzywdziłam.

Jest noc.

I księżyc. Księżyc kusiciel. Będę ćwiczyć jogę, choć noc. Wiem, piszę pierdoły. Tak wyszło. Ale pamiętam ogród. Ogród – stamtąd się wzięłam. I wracam do ogrodu, choć go nie ma. Ale jest, skoro go pamiętam.

Ogród. Cud codzienności.

No więc pamięć, sprawa kluczowa, bo uciekają z niej słowa. Ale po pewnym czasie wracają. Wracają słowa i puzzle układają się na powrót. Ogród był dziki, rosło w nim, co chciało. I dziczało. Nikt nie miał czasu zadbać o ogród. I nie chciał. Dolne miasto było dzikie. Zaniebane zielsko rosło wszędzie. Ruderalna przyroda rządziła. Rządził chaos, destrukcja. Dlatego lubię destrukcję. Jest twórcza, pobudza wyobraźnię.
.....

Uważność w codzienności, nie szybko. Powolna celebrowanie codziennych rytuałów. Codzienność jako wartość. Gest jako wartość. Wejście do sklepu jako wydarzenie. Wszłam do sklepu, powiedziałam „dzień dobry”, uśmiechnęłam się do kogoś. Wyszłam ze sklepu. Słońce, wiatr, gołębie. Super.

Ciach mach.

Ciach mach i polska złota jesień. Ładnie. Miasto w kolorach natury.

ONA

Zagłada mi w oczy. Kusi. Mami. Odbiera energię. Zagaduje, prowokuje. Obiecuje raj. Ona – ta pani ostateczna. A niech ją szlag trafi. To piszę 7 listopada 2024 r. Jeszcze żyję, proszę pani! Wkrada się w sen, a niech ją! Poczekaj jeszcze. Poczekaj, moja niemiła! I straszy, że to już koniec. Potem odchodzi i daje nadzieję. Na jeszcze jeden dzień, tydzień, miesiąc. Taka ona jest. Straszy, odchodzi – tak w kółko. Niemniej kroczy wokół mnie.

TERAZ

Jest jak jest. Teraz jest tak, że nie wiadomo jak jest. Więc jest jak jest. Ja przemijam czy czas przemija? Przemijamy.

WSZECHŚWIAT

Jest w człowieku. Zatem wszechświat jest we mnie. Galaktyki. Bezkres. Nieogarnięta przestrzeń. Przestrzeń.

PYTŁASIŃSKIEGO

To kraina mityczna. Początek wszechrzeczy, prakraina. No więc wracając do Dolnego Mokotowa na ulicę Pytłasińskiego – tam się zaczęłam, ukonstytuowałam. Wojna, po wojnie, głód, nędza, ogród, drzewa, gruzy, ogrodzenia z drutu kolczastego – wszechobecnego. Druty kolczaste grodziły wszystko, co powinno być ogrodzone albo były resztkami jakiegoś ogrodzenia. I szkło z rozbitych butelek z fabryki wody sodowej i oranżady. Druty i szkło. Chodziłam boso. Więc stopy miałam pokaleczone. To było dzikie, prymitywne życie, niemiejskie, takie półwiejskie, podmiejskie. I teraz za żadne skarby nie oddałabym tamtego życia – zahartowało mnie. Tak to widzę. Amen.

.....

Dziś są moje imieniny. I co z tego? Dzień jak dzień. Żyję. I to się liczy. Ile dni mi zostało – Bóg raczy wiedzieć. Zatem każdy dzień jak darowany. I ja przyjmuję ten dar.

.....

SNY

W snach jestem młoda, sporo biegam. Czyli w jakimś sensie, w jakiejś mierze nie się zmieniło. Ale jednak w snach nie jestem dzieckiem, jestem dorosła, w sile wieku i sprawna fizycznie. Rozbrat między fizis a metafizyką jest faktem, coś, co siedzi w mózgu, nie podlega upływowi czasu. To, co w głowie, nie umiera. Zatem to, co duchowe, jest wieczne. Sny to jakaś duchowość niepodlegająca ograniczeniom. Tam wszystko jest możliwe, ulotne, zawieszone w przestrzeni i czasie. Lubię swoje sny, to podróże w nieznane doświadczenia, wędrówki bez barier. Tej nocy śniłam absurd w realnym świecie. Czysta literatura. Nic tylko zapisywać. Ja jestem młoda, choć dorosła, ogród inny, ale mój. I ten rower archaiczny, z innej epoki, czeka na mnie. Jadę. Dokąd? Po co?



Maria Terlecka w swoim ogrodzie

Lotne szynki

Jarosław Górski

Choć w Warszawie knajp z wyszynkiem nie brakowało, to jednak większość z tych dostępnych dla szerokiej publiczności lokali drugiej, trzeciej i niższych kategorii zamykała swoje podwoje najpóźniej o godz. 10 wieczorem. W nocnych klubach, Oazie, Adrii ceny były kosmiczne, a do szemranych czy stylizowanych na szemrane knajp całonocnych wchodzili albo stali bywalcy, albo szukający guza. Niedopitym konsumentom wyrzuconym o godz. 10 z przybytków warszawskiej gastronomii pozostawały już tylko lotne szynki lub lotne bufety pod chmurką.

Przechadzającego się wieczorem po chodnikach śródmiejskich, praskich czy wolskich ulic właściciela, personelu i lokal lotnego szynku w tej samej osobie można było rozpoznać po obszernym palcie, chałacie lub płaszczu z porządnie wypchanymi przepastnymi kieszeniami. Zazwyczaj w jednej kieszeni mieściła się litrowa butelka wódki oraz mikadko, czyli szklaneczka w sam raz na duży łyk. W drugiej niewyszukana zagrycha składająca się najczęściej z pokrajanych wcześniej kromek chleba, kawałków kielbasy, ćwiartek cebuli, kiszonych ogórków. W górnej kieszeni paczka papierosów sprzedawanych na sztuki. Jednak zdarzało się i tak, że pod połami palta lotny szynkarz mieścił prawdziwe cuda sztuki kucharskiej. Reporter „Ostatnich Wiadomości Krakowskich” (1934, nr 32) przedstawił jeden z takich zakładów gastronomicznych jako warszawską osobiwość:

„Stolica ma takie udogodnienia, jakiemi chyba żadne inne miasto poszczycić się nie może. Do takich udogodnień należy t. zw. «knajpa lotna», w której spóźniony, a głodny przechodzień może dostać wszystko, czego dusza zapragnie, o każdej porze nocy. [...] Taka właśnie knajpa w osobie Zygmunta Drozda (nigdzie niemeldowanego) zatrzymała się pewnej nocy w pobliżu Dw. Głównego. Było w niej wszystko. Wódka, zimne zakąski i świeżutkie kotlety wieprzowe, które p. Drozd przywiązał sobie sznurkiem pod koszulą, żeby nie wystygły. Ruch w interesie był duży.



Udało się.
— Dziś mogę wrócić później...
— Dłaczego?
— Bo moja stara skaleczyła się w rękę i jak mi jedną ręką otworzy drzwi, to drugą nie będzie mogła dać mi w łeb...

- Proszę dwie czyste i dwie parówki
- Już się robi! — uwijał się p. Drozd, sięgając co chwila do innej kieszeni. — Może dla damy coś delikatnego? W kamizelce mam jeszcze jedną porcję sałatki śledziowej. A może kotlecik wieprzowy? Ciepłutki! Prosto z piersi.
- Kotlety pan na piersiach nosi? — skrzywiła się obsługiwana klientka.
- Królowno! Za czystość ręczę! W naszym interesie, czystość gront. Cały się szarem mydłem co dzień szoruję, bo by mnie inaczej komisja sanitarna jenteres zamkła!
- Kotlet mało wysmażony! — grymasiła znów wybredna klientka.

„Mucha”, 1933, nr 51, s. 6 / WBC; MBC

— Momencik! Niech mi paniusia na plecy sięgnie, bo mnie niewygodnie. Tam mam jeden w sam raz!...”.

Zazwyczaj jednak interes załatwiał się szybko i rzeczowo. Na skinienie głowy szynkarz wskazywał bramę lub załom murów, rozglądał się uważnie, pobierał opłatę, nalewał mikadko wódki, konsument wypijał, zagryzał, po czym obaj rozchodzili się w swoją stronę bez zbędnych pożegnań.

Wódka u lotnego szynkarza bywała w butelce monopolowej, ale często z solidną domieszką bimbru lub denaturatu filtrowanego przez węgiel drzewny i zaprawianego sokiem malinowym.

Niedopity biesiadnik, niemający cierpliwości, aby szukać podobnej instytucji po ulicach, ale znający warszawskie realia, prosto z knajpy kierował się na postój dorożek. Tam mógł być pewien, że któryś z sałaciarzy dorabia lotnym szynkarstwem. Oczywiście zamówienie składał nie wprost, ale przy pomocy gestów i mimiki. Najpierw musiał poddać się uważnej lustracji szynkarza, który gdy doszedł do wniosku, że ma do czynienia z policyjnym wywiadowcą, udawał greka, aby uniknąć nieprzyjemnej sytuacji, jak ta opisana przez reporterów „Czerwoniaka” (1925, nr 6):

„Na ul. Moniuszki we wnęce bramy domu nr 12 policja 10 komisarjatu, podczas obchodu nocnego, ujrzała kilku dorożkarzy, wśród nich zaś znanego zawodowego właściciela ruchomego bufetu nocnego, Bolesława Jankowskiego

Nowe firmy / Z teki humorystycznej Franciszka Kostrzewskiego, 1899 r.



NOWE FIRMY.
— Jakież nowe gatunki masz papierosów?
— Tak, panie, mam francuskie Drejfusiki i wiedeńskie Dzumki.

(Podwale nr 14). Znalaziono przy nim dwie pełne butelki wódki, zaś w kieszeniach spodni — przekąski w postaci sera białego i surowego chleba”.

O wódkę można było też zapytać dozorców śródmiejskich kamienic, którzy często prócz miejsca do spania nie dostawali od właścicieli domów żadnego wynagrodzenia i poszukiwali możliwości dodatkowego zarobku. W sensacyjnej powieści *Upiorne cienie* autor ukrywający się pod pseudonimem Jan Grom przedstawił taką sytuację:

„Ćmok szedł tak rażno, że nikt by nie przypuścił, że to ten sam dozorca skulony, pokaszujący i czegoś niedomagający. Po drodze, mijając przechodniów, niby tak od niechcienia pod nosem mówił, jakby do siebie:

— Papierosy, papierosy.

Kilka sztuk zdołał już utargować. Szedł dalej. Napotkał jakiegoś robotnika, dobrze podchmielonego. Sprzedał mu 5 sztuk «Grandów».

— A nie macie tak, co do wypicia? [...]

— A to musi panoczek pójść tam w ulicę, bo tu się stracham.

Skręcili w poprzeczną ciemną uliczkę. Ćmok sięgnął do kieszeni, wydobyl butelkę, szklanę; nalał wódki i ze słowami «niechaj idzie na zdrowie» podał nocnemu «klientowi».

— A zagrycha?

— Owszem, ale co by pan podjadł?

— A co macie?

Ćmok rozpiął swe palto i sięgnął do obszernych spodni.

— Kielbasa, boczek, kotlety i śledź też jest, a jakże, niech pan sobie wybierze, zaraz dam chleba”.

Policja robiła, co mogła, ale lotne bufety kwitły. W bramach ulicach Śródmieścia: Chmielnej, Złotej, Wielkiej do rana trwały obsługiwane przez lotnych szynkarzy libacje. Podczas okupacji wyrugowała je godzina policyjna, ale odrodziły się w gruzach wyzwolonej Warszawy. Jeszcze Marek Hłasko zwykł był korzystać z usług podobnego zakładu w latach 50. w drodze z Retmana na Mariensztacie do Kameralnej na Foksal. Później, wraz z postępami społecznego budownictwa i częściowym zaspokojeniem stołecznego głodu mieszkaniowego, lotne szynki zostały wyparte przez stacjonarne meliny, mety, speluny. 🍷

Majstrunio

Przemysław Śmiech

I de sobie raz Grochoską ulicą, wozdych wciągając piersiami i kogo ja widzę własnoręcznie? Pana Benka Baryłko, mego odwiecznego sąsiada! Pan Benek wychodził z placówki handlowej z branży remontowo-budowlanej. W dłoni dzierżył puszki farby. Białej.

– Serwus sąsiedzie! Co jest, jak pragne zakwitnąć? Nowy rok dopiero się zaczyna, a pan już domowe ręczne robótki uskuteczniaż?

– Sylwestra ciut za hucznie obchodziliśmy, co spowodowało daleko idące konsekwencje.

– Referuj pan, panie Benku.

– A co tu referować. Familia się zeszyła w celu pożegnania starego oraz powitania nowego. Bufet obficie zaopatrzony, zakąski zimne i gorące, także napoje, tańce wirujące oraz stąpające. No i szampan.

– Wiadoma rzecz.

– Zbliżała się nieubłagana północ. Szampan wyjęty, lecz kto będzie miał zaszczyt uroczystego otwarcia?

– Saloonowe alibi twierdzi, że czcigodny gospodarz.

– Jednakowoż wynikła kontrowersja na tle tego, że trzylitrowego szampana przyniósł szwagier. Więc skrzyżowaliśmy małuską pyskówkę apropos, wyrwijąc sobie flaszki. Rzecz rostrzygnęła instancja wyższa. Czyli moja małżonka. Złapała butelkę, która niestety wskutek wobec licznych wstrząsów wystrzeliła! No i sufit do odmalowania, panie szanowny.

– Sam pan będziesz malował czy jakiegoś majstrunia pan wezwiesz, panie Benku?

– Sufit sam, rzuce tylko biały kolorek i fertig. Co innego gdybym chciał gołe facetki wyobrazić, jak we Wilanowie u Sobieszczaka, wtedy bez fachowca by się nie obeszło.

Pan Benek się zamyślił i przeszedł do dalszego ciągu.

– A z tymi fachowcami były przygody, oj były...

– Co pod jakim względem?

– Pierepałki akonto punktualności, szaconku do pracy, powszczywywania się lub nie od napojów wysokowych... I wiele innych doświadczeń, przeważnie smutnych...

– Podziel się pan tem smutkiem, panie Benku, to panu ulży.

– Jeden na przykład majsterek przyszedł, od razu klapnął na kanapę i zaczął nawijać, że jest do cna wyčerpany i czy nie ma jakiej okruszyny dla głodnego artysty. Na to Terenia, małżonka moja ślubna, melduje, że okruszyna owszem, a konkretnie? Na to majster, że wystarczy jajeczniczka na boczeniu, chlebuś żytni, pomidorek z cebulką, dzwonko śledzia, kielbaski ułamek, plasterek szyneczki i szklanka zwykłej herbaty. Z cukrem. Trzy łyżeczki.

– I co? Po takim frysztyku odzyskał wigor?

– Odzyskał, ale na godzinkie. Zszedł z drabiny i czy kawę można, zapytuje. Siorbał te kawki z pół godzinki, potem coś dłużył w ścianie, ale jak usłyszał, że Terenia schaboszczaki tłucze, to się do kuchni wmeldował.

– Po co?

– Z pomocną dłonią. A że faktycznie się pokazało, że ma dryg do gotowania, to już tam został. Weki na zime pomagał robić, a ja chwyciłem pędzel i na drabine... Inny fachura z kolei bał się wejść na szczebelki, gdyż czmeralo mu w główce. Przysięgał się, że to z powodu ciśnienia atmosferycznego i czy mogię dać mu pić. Więc grzecznie pytam: Wody? Nie, mówi on, inne coś. Limonady? Inne coś. W końcu ostatnie pifko z lodówki mu dałem i wyobrażaj pan sobie – od razu pomógł!

– Co pan powie, panie Benku!

– A jeszcze inny rycerz pędzla notorycznie się spóźniał i terminy przekładał. Ale tak farmazon wstawiał, tak bujał moje Tereskie, że moje ukochanie zamiast go opatrywać z góry do dołu, słuchało z roztwartą gębusią.

– Pańską czcigodną małżonkę bujał? Duży artysta! – zawołałem.

– Dajmy na to, spóźnił się godzinkie. Więc Terenia do niego z pyskiem, a on, że sikor mu nawala, bo zegarek po dziaduniu posiada. I że to jedyne co dziadunio z Powstania wyniósł. Przepadli meble, przepadli srebrne łyżeczki, serwis przepad fajansowy z Włocławka na 12 osób, harmonia, z którą dziadunio po grochoskich podwórkach krążył w celach zarobkowych, tylko zegarka kanclerz tysiącletniej Rzeszy w ząbek czesany nie sfajczył... I lżę roni...

– A pani Terenia?

– Jak bóbr się spłakała nad dziaduniową cebulą. Innym razem trajlował mojej ślubnej, że spóźnił się z powodu, że madmazela jedna w trambaju zemglała i on ją ratował metodą usta-usta. I jak uratował, to ona go pokochała i chciała z niem wstąpić w związek małżeński. Więc pojechali do jej tatusia po błogosławieństwo, lecz niestety tatuś powiedział po moim trupie, więc panienska do Wisły skoczyła, więc on ją znów uratował niezawodną metodą usta-usta, więc ona go pokochała jeszcze bardziej i w dyrdy do tatusia po błogosławieństwo, tatuś niestety nadal twarde nie, więc dziewczyna hop pod pociąg i tu już metoda usta-usta była zupełnie nieprzydatna, mówi nasz łowca przygód i znowu beczy. A Terenia razem z nim.

Tu pan Benek nagle zbladł.

– Zdaje się, że jest spóźniona godzina. No, to teraz ja się nasłucham...

– Napisać panu usprawiedliwienie? – zażartowałem.

Niestety, pan Benek się nie uśmiechnął. Westchnął głęboko i wolno ruszył ku przeznaczeniu... ☹



M. Ejsmont

Bednarska

Jacek Fedorowicz

Jako dwunastolatek przeczytałem ocalałą przedwojenną książkę o Dzikim Zachodzie. Zakazaną – dodam – bo za Stalina zdrowa socjalistyczna młodzież musiała być chroniona przed czymś takim. W książce, polskiego autora o angielskim nazwisku, pseudonim rzecz jasna, występował szlachetny rewolwerowiec Polak, który w trakcie jakichś wydarzeń – fałszywe posądzenie czy coś – pokazywał szeryfowi paszport, w którym miał adres: Warszawa, ulica Bednarska. To pobudzało wyobraźnię, zbliżało świat przygód Dzikiego Zachodu i urealniało typowe marzenie nastolatka, żeby pojechać tam i osiedlić się w charakterze szlachetnego rewolwerowca.

Mam różne miłe wspomnienia z Bednarskiej, jeśli nie liczyć wspinania się pod górę. Na Bednarskiej mieszkała Babcia Wiktoria Bykowska z domu Fedorowicz. Nie pamiętam, w której kamieniczce, pamiętam za to, gdzie na Bednarskiej urządziliśmy świętowanie pomyślnie zdanej matury. W mieszkaniu kolegi maturalisty Andrzeja Gelo. Było ono jednopokojowe i trochę dziwne. Półokrągłe okno (okna?) wychodzące na Bednarską, ale na wysokości chodnika, więc na niskości raczej, wewnątrz poniżej poziomu ulicy, ale nie tak głęboko, żeby można było z czystym sumieniem powiedzieć, że to piwnica. Nikt się zresztą nie zastanawiał nad przedpowstaniowym przeznaczeniem wnętrza.



rys. Jacek Fedorowicz



J. Roqueblave

W latach 50. mieszkało się, gdzie się dało, i trzeba się było cieszyć, że się w ogóle mieszka. Potem bywałem u rodziny Gelów jako klient, bo prowadzili sklep z farbami po przeciwnej stronie ulicy.

Na samym szczycie Bednarskiej stoi Dziekanka. Poszedłem tam na początku lat 60., by wyprosić u któregoś ze studentów szkoły muzycznej akompaniament dla kolegi po szkole plastycznej (to ja), który postanowił zdawać egzamin eksternistyczny omijający szkołę aktorską, ale dający stosowne uprawnienia (bez których na scenie czy estradzie ani rusz). Zgodził się i zaakompaniował (za darmo!) młodzieńki energiczny chłopaczek Jerzy Maksymiuk. Tak! Ten. Obaj do dziś pamiętamy to wydarzenie.

Z podnóżem skarpy, czyli miejscem, w którym Bednarska dopiero zaczyna się wspinać, miałem do czynienia niedługo po odzyskaniu niepodległości i to dość intensywnie. Na rogu Sowiej ulokowało się Centrum im. Adama Smitha, które postawiło sobie za cel zapoznanie Polaków z nowym systemem. Nowym dla nas, bo Smith wiedział o nim sporo już w XVIII w. Peerelowską „gospodarkę planową” uważałem zawsze za szkodliwy idiotyzm, ukryty za wzniosłymi hasłami, więc ochoczo zabrałem się za propagowanie i tłumaczenie kapitalizmu, w szczególności reform Leszka Balcerowicza, czym dożgonnie naraziłem się milionom Polaków. Ale nie żałuję. Miałem m.in. cykl felietonów w Radiu ZET, który zaczął się dość zabawnie – od długiego ustalania, ile kto ma płacić komu i za co. Centrum Smitha podbiło kwotę honorarium za tekst i wykonanie dla mnie, co Radio chętnie, aczkolwiek nie bez zdumienia akceptowało, myśląc, że to Centrum będzie płaciło Radiu za umieszczaną tam reklamę. W końcu przeważał interes społeczny, Radio nie zakwalifikowało tego jako reklamy płatnej i mogłem przy pomocy felietonów oswajać złowrogie słowo kapitalizm, synonim zbrodni i upadku. Moje tłumaczenie zasad kapitalizmu odbywało się na poziomie przedszkolnym, dziś proszę mnie o nic nie pytać, bo na tym poziomie zostałem, dziś kapitalizm jest już po maturze. Uczcić ją może w eleganckim lokalu na Bednarskiej, który – o ile prawidłowo identyfikuję po przebudowach i remontach – mieści się dokładnie tam, gdzie odbyło się ponad 70 lat temu świętowanie mojej matury. Czym jeszcze wbije mi się w pamięć Bednarska – zobaczmy. ☹

Kamienica Abrama Włodawera, ul. Łucka 8

Patrycja Jastrzębska

Wraz z ostatnimi ostańcami na bliskiej Woli znika niepowtarzalny klimat tzw. Dzikiego Zachodu, fragmentu przedwojennej Warszawy. Ustępują nowej zabudowie – apartamentowcom i biurowcom

Kamienica położona przy ul. Łuckiej 8 powstała, kiedy rozpoczynał się gwałtowny rozwój tej części Warszawy. U podstaw owego rozwoju stała Kolej Warszawsko-Wiedeńska, przy której bocznicach utworzono w rejonie dzisiejszego Dworca Głównego stację towarową, a wzdłuż obecnej ulicy Towarowej splantowano okopy Lubomirskiego, dzięki czemu miasto otworzyło się na swoje zachodnie przedmieścia.

Kamienica przy ul. Łuckiej 8 jest uznawana za najstarszą kamienicę na Woli. Kiedy ją ukończono, nieopodal, u zbiegu Miedzianej z Sienną, powstawał plac handlowy Kaliksta Witkowskiego (potem Kazimierza Wielkiego, po wojnie w tym miejscu stanął Dom Słowa Polskiego). Wkrótce w ten rejon dotarł tramwaj konny. Budynek wzniesiono w 1878 r. dla kupca żydowskiego Abrama Ajzykowskiego Włodawera. Właściciel od strony zachodniej dobudował do domu frontowego dwukondygnacyjną oficynę (przed 1918 r. podwyższona o cztery kondygnacje). Dość szybko kamienica została odsprzedana Józefie Koch. Obiekt przetrwał wojenną pożogę i jeszcze niedawno był jednym z nielicznych ostańców na ulicy Łuckiej. Prezentował starszy typ budownictwa czynszowego, stanowiąc relikty dawnej zabudowy kamienicznej. Był to piętrowy budynek z przejazdem bramnym i mansardowym dachem z ułożonymi w nim mieszkaniami. W przyziemiu mieściły się sutereny. Skromna dekoracja fasady (naczółki okien, gzymsy) została skuta po wojnie, ocalały jedynie balkony. Jak większość czynszówek na Woli, w okresie PRL-u obiekt, choć zamieszkały, nie był remontowany. Tętniło tu życie tzw. Dzikiego Zachodu, z jego szmerami i interesami, pośród licznych warsztatów i codziennej wrzawy robotniczej dzielnicy czy łopotu skrzydeł gołębi z gołębników. Obiekt jednak stopniowo niszczał, choć jego wartość została doceniona, kiedy w 1992 r., staraniem społeczników, został wpisany do rejestru zabytków. W 2011 r. Zakład Gospodarowania Nieruchomościami w dzielnicy Wola, będący zarządcą nieruchomości, wystąpił do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego o skreślenie kamienicy z rejestru. Wniosek oddalono. ZGN nie podejmował remontów i nie stosował się do konserwatorskich nakazów zabezpieczenia obiektu. W 2012 r. kamienica na fali reprivatyzacji trafiła do prywatnych właścicieli, już bez lokatorów,



choć ci nadal zamieszkiwali oficynę. Od tamtej pory można było zauważyć przyspieszoną agonię budynku, do której w największym stopniu przyczyniły się pożary, które „z niewyjaśnionych przyczyn” trawiły kamienicę i przylegającą oficynę co najmniej kilkanaście razy. W kwietniu 2020 r., w Międzynarodowy Dzień Ochrony Zabytków, oficyny przy ul. Łuckiej 10 i 12, dostawione do kamienicy Abrama Włodawera, zostały wyburzone, mimo że figurowały w gminnej ewidencji zabytków. Inwestor (spółka JM Invest) nie poniósł za to żadnych konsekwencji, a w 2017 r. wystąpił do MKiDN o wykreślenie obiektu z rejestru. Resort odmówił, podobnie jak zrobił to w 2012 i 2013 r. Właściciel wystąpił do sądu. W końcu dopiął swego: 9 października 2024 r. budynek przy ul. Łuckiej 8 został skreślony z rejestru zabytków i nic już nie stało na przeszkodzie, by inwestor mógł go zburzyć. Mazowiecki konserwator zabytków próbował powstrzymać rozbiórkę. Na wniosek strony społecznej – Stowarzyszenia „Masław” oraz Obrońców Zabytków Warszawy – wszczął postępowanie administracyjne w sprawie wpisu do rejestru zabytków reliktyw kamienicy przy ul. Łuckiej 8, co skutkowało ochroną prawną obiektu na czas trwania postępowania. Właściciel jednak, którym w dalszym ciągu jest spółka JM Invest, nie respektując prawa, zburzył kamienicę w weekend przed świętami Bożego Narodzenia 2024 r. Tak zakończyła się historia blisko 150-letniego ostańca Warszawy. ☹

Społeczne Archiwum Warszawy, fot. P. Jastrzębska, 2011

DO NABYCIA W KSIĘGARNI
MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE
I NA KSIEGARNIA.MUZEUM-NIEPODLEGLOSCI.PL

Marzena Jaworska



PAMIĘĆ W KOLORZE SEPII

KOLEKCJA FOTOGRAFII Z OKRESU POWSTANIA STYCZNIOWEGO
W ZBIORACH MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE

Nasze publikacje zakupisz w księgarni stacjonarnej lub internetowej:

ksiegarnia.muzeum-niepodleglosci.pl

tel. (22) 826 90 91 wew. 17,

e-mail: ksiegarnia@muzn.pl; prenumerata@muzn.pl

G teatr
GULIWER

PREMIERA
8 lutego 2025

Trzy piórka

Zuzanna Bojda
wg braci Grimm